

BABILON

STOK

 GENIUS
CREATIONS

ROD

EMIL STRZESZEWSKI

Emil Strzeszewski

Ród

GENIUS CREATIONS
Bydgoszcz 2014

Copyright © Emil Strzeszewski
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover by Anna Faraś-Pągowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze

druk: ISBN 978-83-7995-007-2

ePub: ISBN 978-83-7995-008-9

mobi: ISBN 978-83-7995-009-6

Redakcja: Sławomir Spasiewicz

Korekta: dr Małgorzata Berend

Ilustracja na okładce: Anna Faraś-Pągowska

Projekt okładki: Paweł Dobkowski

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Skład wersji elektronicznej: INPINGO SA www.inpingo.pl

Copyright © for the cover font Neon - Emil Bertell from www.dafont.com

Copyright © for the cover font Beauty School Dropout I - Nick Curtis from
www.dafont.com

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarniach partnerskich:

www.MadBooks.pl

www.Bookiatryk.pl

Spis treści

Rozdział I [Matka](#)

Rozdział II [Ojciec](#)

Rozdział III [Syn](#)

Rozdział IV [Tron](#)

[O Autorze](#)

Rozdział I

Matka

– Możesz wyć, kochanie.

Mówię, mknąc samochodem dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. W radiu leci nastrojowa, cicha muzyka, a czarny, nocny asfalt autostrady wygląda jak gładki dywan w świetle reflektorów. Białe, przerywane pasy stają się jedną ciągłą linią.

Pędzimy przed siebie czteropasmówką, przerażeni, choć gotowi. Chłopiec mocno ściska moją rękę, wpatrzony w blokadę. Nie krzyczy. Głos uwiązał mu w gardle.

Za nami jedzie trzydzieści ton potworów, czterdzieści kół i cztery tysiące czterysta koni. Lśniące mercedesy au pair, słynne policyjne „niańki”, odcinają nam drogę powrotu. Wszyscy gnają na złamanie karku.

Wszystko na nic. To koniec.

– Boisz się?

Pytam bez sensu, zbliżając się do policyjnej barykady rozstawionej kilkaset metrów przed nami. Zerkam na niego, czekając na cokolwiek, choćby skinienie. Nic takiego się nie dzieje. Siedzi bez ruchu jak sparaliżowany.

– Zawyjemy razem?

I dociskam pedał gazu, nie czekając już na nic więcej.

*

Słyszałam w życiu wiele słów. Wystarczająco, aby wyrobić sobie o nich złe zdanie. Pomimo to szczerze w nie wierzyłam, chyba na przekór. Były lepsze niż milczenie, któremu przez lata nauczyłam się nie ufać. Sama bowiem nie mówiłam wiele. Miałam za dużo sekretów.

Domów miałam mnóstwo. Domy dziecka, pierwszy dom tymczasowy, drugi, pierwsza rodzina zastępcza i kolejne. Za braci musiałam uważać

obcych mi ludzi, a siostrami były nieznajome. Dom to sprzeczne pojęcie, to smutne pomieszczenia. Dom równa się cudza rodzina.

Potem były zaplecza knajp, w których pracowałam i spałam, nie mając gdzie się podziać. Były to wyspy względnego spokoju, miejsca, w których można nabrać sił przed kolejnym rejsiem. Sporo podróżowałam, choć tak naprawdę nigdzie nie byłam. Wiecznie niezmienny krajobraz betonowej dżungli, ten sam zaduch papierosowego dymu i piwo płynące z kranu zamiast wody.

Byłam sprzątaczką, bo to proste zajęcie. Byłam opiekunką małych dzieci, bo nie trzeba z nimi rozmawiać o niczym ważnym. Byłam tą, tamtą, ową; z takich lub innych powodów.

Jak na ironię, biorąc pod uwagę moje milczenie, najczęściej byłam damą stolikową.

Knajpy nigdy nie są puste. Ktoś zawsze tam jest. Popija piwo, czyta książkę, rzuca zalotne spojrzenia znad kieliszka wina. Gra w rzutki, w bilard, wpatruje się w telewizor. Może nawet rozmawia przez telefon, pisze coś na laptopie, rysuje.

Zawsze ktoś jest. Dzięki temu przychodzą też inni.

Byłam więc właśnie kimś takim.

Zadaniem damy stolikowej jest siedzenie tuż przy oknie i spoglądanie na zewnątrz. Łapie się wzrok obcych, znudzonych mężczyzn, którzy widząc siedzącą samotnie kobietę, wchodzą do środka. Zamawiają drinka, przysiadają się, wydają pieniądze. Potem kupują coraz droższe trunki i upijają do nieprzytomności, kiedy orientują się, że dziś się nie uda. Dama stolikowa nigdy nie wychodzi z klientem. Ma flirtować, rozkochiwać, upijać, ale nie opuszcza lokalu.

Człowiek, który wejdzie do baru skuszony tęsknym wzrokiem damy stolikowej, już nigdy doń nie wróci. Za nim przyjdą jednak inni.

I oni zostaną.

Nie jestem ładna – duża myszka na prawym policzku i poźółkłe od papierosów zęby. Nie jestem też łatwa – nikogo tak naprawdę nie dopuszczam zbyt blisko siebie. Pomimo to odnalazłam się w tej roli.

To było w pubie Babilon, który wystrojem wskazywał raczej na powinowactwo z czymś zupełnie innym. Nikt jednak, jak to zwykle bywa, nie zwracał na to większej uwagi. Trafiłam tam zmęczona długą podróżą znikąd donikąd. Byłam gotowa zrobić po raz kolejny to samo. Nie sądziłam, że zostanę tak długo.

Wystarczyło, że właściciel – stary człowiek, zmęczony życiem bogatym we wrażenia i ludzi – wyobraził sobie mnie przy okiennym stoliku. Od razu więc dał mi posadę, wierząc, że wreszcie lokal odżyje. Nie pomylił się. Tego samego wieczoru sprowadziłam do klubu liczną grupę mężczyzn.

Zwykle szybko uciekałam z tego typu barów. Nic mnie nie zatrzymywało, na niczym mi nie zależało. Płynęłam z prądem wypełniona niezrozumiałymi obawami, uciekając od banałów w inne banały. To było jedyne, co znałam. Trudno zaprzyjaźnić się z kimkolwiek, gdy codziennie widzi się nowe twarze. A tamte stare, znajome, zmęczone życiem, mówią o rzeczywistości więcej, niż chciałoby się wiedzieć. Nikt nie przyciąga uwagi, gdy z każdym trzeba zamienić kilka nieznaczących słów.

Tym razem jednak zostałam. Wpierw na chwilę, potem chwila przekształciła się w miesiąc. Czas przeciągał się, a na Babilon zaczęłam patrzeć jak na tętniący życiem organizm. Przetaczający się przez niego ludzie byli jak krew, a alkohol, który pili, jak limfa. Mózgiem był właściciel, zmęczony już ludźmi (zbyt wielu poznał, zbyt wielu stracił), ale bardzo przychylny oraz wdzięczny za postawienie biznesu na nogi. Sercem był barman. To było pierwsze i jedyne miejsce, które przypominało prawdziwy dom. Nigdy jednak tak tego nie nazwałam.

Ludzie przychodzili i odchodzili. Nieustanna fala klientów, przypływ wieczorem, odpływ nad ranem. Rozmawiałam z wieloma, głównie z mężczyznami. Przychodzące tam kobiety zwykły upijać się szybko, głównie po to, by nabrać śmiałości. Przeważnie szukały przygody, jednonocnej eskapady. Na początku ciche, niepozorne, niechętne nowym znajomościom, z kieliszka na kieliszek coraz bardziej towarzyskie. Zrzucały z siebie resztki wątpliwości i z każdym wypitym drinkiem coraz śmielej zagadywały każdego, kto był w zasięgu wzroku. Ich delikatność zmieniała się w pożądliwość, ich dotyk stawał się szorstki, obiecujący. Nie były dobrymi klientkami. Wychodziły za szybko. Za nimi wychodzili mężczyźni.

Ci jednak, którzy zostawali, zapatrzeni byli w dno kufli i własne problemy. Nie cieszyły ich kobiety. Nie chcieli ich poznać. Ledwie tolerowali ich obecność. W Babilonie paradoksalnie nie panowała rozpusta.

Obfitość słów, historie z nich splecione, fałszywe lub nie – szybko zrozumiałam, jak bliska była mi ta rzeczywistość. Rozgościłam się w niej,

zadomowiłam. Dawała poczucie bezpieczeństwa – ruch, który nie był ruchem, miejsce, w którym pomimo ciągłego gwaru tak naprawdę nic się nie działo. Nuda i obumarłe marzenia topione w wódce. Wszystko to cieszyło mnie swoim smutkiem.

Za barem stał młody chłopak – Adam. Był stworzony do tej pracy. Miał zręczne ręce i jasny umysł. Nigdy nie ulał ani kropelki, choć zdarzali się tacy, którzy gotowi byli zapłacić każde pieniądze, aby to zobaczyć.

Jednak nie był lubiany. Ludziom, którzy nie piją, z reguły się nie ufa. Tym bardziej kiedy stoją za barem.

Adam wiedział wszystko o alkoholu. Znał wszystkie smaki, zapachy i niuanse. W jednej chwili rozróżniał odpowiednio wyleżakowane single malt od drogiej, lecz produkowanej przemysłowo whisky. Po kolorze rozróżniał typ wina. Potrafił mieszać jedno z drugim w odpowiednich proporcjach, tworząc drinki nieznane nawet koneserom.

Mówił, że wszystkiego nauczył się z fachowych książek i opracowań. Przeczytał mnóstwo opinii oraz recenzji, zarówno profesjonalnych, jak i całkowicie amatorskich. Nikt nie dawał temu wiary, ale fakt faktem – chłopak potrafił nieomylnie powiedzieć, ile lat czerwone wino dojrzewało w beczce, a także jak łączy się likier miętowy z rumem. Zazdrości nie było końca.

Głównym powodem, dla którego nie cieszył się popularnością, było to, że nie budził zaufania. Pozostawał ciągle trzeźwy, a to oznaczało, że zapamiętywał wszystko, co się działo każdego wieczoru w Babilonie. Adam wiedział, jak kto się upija. Widział, słyszał, czuł. Oglądał upadek setek ludzi i nie potrafił sam się stoczyć.

- Naprawdę nigdy niczego nie wypiełeś? – pytałam Adama. – Dlaczego?
- Nie muszę – odpowiadał, jakby miało to cokolwiek wyjaśniać.

*

Nie potrafiłam go rozgryźć. Im silniej zbliżałam się, tym bardziej się oddalał. Wreszcie przestałam pojmować, czy zależy mi na nim, czy na jego sekretach. Bo że takowe miał, dowiedziałam się trzy miesiące później.

Tamtego wieczoru rozmowy się nie kleiły. Słowa nie chciały płynąć, a jeśli już płynęły, rozcieńczone alkoholem, to deformowała je cisza, która jak groźba wisiała między ludźmi. Nikt nie chciał milczeć, ale też nikt nie potrafił mówić. Duszność papierosowego dymu unosiła się pod sufitem.

To był wieczór gier. Szef raz na jakiś czas urządzał nielegalne turnieje pokerowe, dzięki którym pub w ogóle przetrwał. Warunkiem uczestnictwa było wniesienie niewysokiej opłaty, co przyciągało tłumy i gwarantowało solidny zarobek dla knajpy. Stali bywalcy omijali jednak wydarzenie z daleka. Zamiast nich zjawiały się tabuny przegrańców, którzy w tego typu grach stracili wszystko, choć zawsze mogli stracić jeszcze więcej. Wokół nich przechadzali się półbogowie półświatka, udzielając krótkoterminowych pożyczek na wysoki procent.

Moim zadaniem było zapewnienie im towarzystwa. Adam trzymał kasę, zaś szef nadzorował przebieg rozgrywek. Babilon w te dni zasługiwał na swoją nazwę.

Przechadzałam się między stolikami wśród oczekujących na swoją kolej. Zaplecze mogło pomieścić raptem kilka osób, więc rozgrywano partie tylko przy jednym stole. Wygrany przechodził dalej, zaś przegrani wychodzili z niczym. Wtedy szemrane rekiny bandyckiej finansjery osaczały ich i oferowały możliwość odegrania się, na co łąpało się wielu.

Jednym z gości był niewysoki człowiek zwany Zajęczą Wargą, choć jego twarzy nie zniekształciły wady genetyczne, lecz blizny po dawnych walkach. Ludzie, którzy się biją, nie muszą opowiadać swoich historii. Zwykle nie pragną rzucać się w oczy, starają się niepozornie przemykać korytarzami, wybierają ustronne stołki w knajpach. Ale to na nic. Widać ich z daleka, tak bardzo odróżniają się na tle innych. Zajęcza Warga był właśnie takim człowiekiem. A jednocześnie był kimś zupełnie innym.

Ludzie odwracali się, kiedy patrzył na nich. Szeptali coś do siebie, zerkając czasem w stronę baru, za którym stał Adam przeliczający pieniądze i rozdający żetony. Barman także unikał kontaktu z mężczyzną. Omijali się wzajemnie. Zajęcza Warga nawet piwo zamawiał nie wiadomo kiedy. Nie rozstawał się z kuflem, nie dostrzegłam jednak, aby kiedykolwiek nalewano mu piwa.

Na pozostałych gości mężczyzna patrzył jednak hardo i wyzywająco. Łowił z tłumu młodych i niespokojnych. Chciał, aby każdy go dostrzegł. Jednocześnie nie zagadywał do nikogo, nie zaczepiał. Był dusznym powietrzem – każdy zdawał sobie sprawę z jego istnienia, ale dla wszystkich stawał się niewidoczny.

Gry toczyły się zwykle do białego rana i kończyły zawsze tak samo. Zajęcza Warga nie grał, ale ogrywał wszystkich. Przepowiadał przyszłość każdemu, kto odważył się płacić. Bezbłędnie odgadywał, sobie tylko

znanym sposobem, kto za chwilę zasiądzie przy partii i jak będzie mu się wiodło. Podpowiadał, co należy zrobić, aby zwyciężyć. Radził, kiedy odpuścić.

Tylko raz się pomylił. Wściekły gracz podszedł do niego po sromotnej porażce, gotów rozwiązać problem pięścią, mężczyzna po prostu wstał i zatrzymał go ruchem ręki. Oddał mu wszystkie pieniądze i wparował na zaplecze, które opuścił dopiero wtedy, kiedy gra się skończyła.

Tej nocy zwycięzców było dwóch. Jak się okazało Zajęcza Warga poszedł na układ z pewnym amatorem, któremu bardziej od pieniędzy zależało na pokonaniu wszystkich innych. Zajęcza Warga sekundował mu, szepcząc do ucha, jak powinien grać. Nikt nie miał śmiałości zareagować, nikt nie chciał zadzierać z człowiekiem, który zna przyszłość.

Pula została podzielona między obu uczestników. Koniec końców, okazało się, że lepiej wyszedł na tym przegrany.

Dopiero po wszystkich jasnovidz podchodził do baru i z torby, którą nosił przy sobie, wyjmował sporą kasetkę. Stawiał ją na blacie, wymieniał wreszcie kilka zdań z Adamem, choć ten ewidentnie nie miał na to ochoty. Potem opuszczał Babilon, by pojawić się znowu na kolejnej nocy gier.

Adam za każdym razem przekazywał kasetkę szefowi.

– To twoje – mówił. – Ja tego nie chcę.

Czekał, aż wyjdzie ostatni gość i wybiegał jak oparzony.

W kolejne dni Adam nie pojawiał się w pracy. Nikt nie wiedział, gdzie go szukać, może poza właścicielem. Zasztywniał się, ginął.

W końcu jednak wracał na swój posterunek. Wyglądał normalnie, tak jakby nic się nie wydarzyło. Ze swoim zwykłym, serdecznym uśmiechem, który nijak do niego nie pasował, zabierał się do rozlewania trunków.

To chyba wtedy zakochałam się w nim. A raczej – w jego sekretach.

*

Wyjemy. Tak głośno i przeciągle, jakby ktoś rozrywał nas od środka. Jakby pękała skóra i wszystko wypływało na zewnątrz. Tak rozdzierająco, że w tej jednej chwili jestem gotowa uwierzyć, że jednak mam serce. Prawdziwe serce.

Przekrzykujemy radio, zagłuszamy ryk silnika. Ostre dźwięki informujące o zbyt szybkim zbliżaniu się do dużej przeszkody, giną w naszym zawodzeniu.

Jesteśmy tam we dwoje. Matka i syn. A między nami wyjący spokój.
Ktoś zaczyna strzelać.

*

Bywało, że odnajdywała mnie przeszłość. Nauczyłam się z tym żyć bardzo wcześnie. Człowiek nie jest samotną wyspą. Nawet ktoś taki jak ja.

Są takie dni, kiedy trzeba opuścić azyl, aby nie stał się więzieniem. To właśnie był taki dzień. Ostatni klient wyszedł przed wschodem słońca i zamknęliśmy knajpę. Adam zajmował się kasą, ja czyściłam główną salę. Zmęczenie, ale nie fizyczne, dawało o sobie znać. Patrząc na Babilon, czułam irytację. Wracały do mnie strzępy rozmów, jakie prowadziłam tej nocy, widoki wyłapane kątem oka. Z każdym kolejnym krokiem orientowałam się, że szłam po swoich własnych śladach, kręcąc się w kółko.

Przy tym stole siedział młody mężczyzna, który co wieczór szukał tej jedynej, jakkolwiek banalnie by to nie brzmiało. Na tym krześle chwiał się nerwowy mięśniak o zadziwiającej wręcz nietolerancji na alkohol. Wystarczyły dwa kufle piwa, aby zaczął swój rytualny taniec przekleństw, czym irytował zwykle bardzo spokojną dziewczynę palącą przy barze wyjątkowo cuchnącego papierosa.

W pubie wszyscy myślą o sobie jak o indywidualnościach, tymczasem każdy kopiuje wzorce, ukrywa się w archetypach. Po kilku nocach spędzonych w Babilonie mogłam wytypować knajpianego głupca, żartownisia oraz ponuraka. Przychodziły kobiety o różnych twarzach, ale o bliźniaczych zamiarach. Mężczyźni zachowywali się tak, aby zasłużyć na swe miano.

Tego poranka Babilon był tylko bladą kopią każdego innego baru. I musiałam z niego uciec, aby znowu chcieć do niego wrócić.

Adam wyszedł wcześniej, uwinąwszy się błyskawicznie z pieniędzmi. Z lekkim zdziwieniem przystał na moją propozycję, abym tym razem to ja odniosła utarg do banku. Mimo to chętnie udzielił wszystkich potrzebnych instrukcji, wdzięczny, że wreszcie może pójść do domu porządnie się wyspać.

Po odświeżeniu się oraz wypaleniu papierosa do mocnej, aromatycznej kawy, chwyciłam teczkę i otworzyłam drzwi Babilonu.

Nie było mi dane jednak wyjść.

W progu stał wysoki chłopak z zapalką w ustach i kpiną w oczach.

– Cześć siostrzyczko – powiedział.

– Co tu robisz? – zapytałam wzburzona.

– Wreszcie cię znalazłem. Tym razem naprawdę dobrze się zaszyłaś, ale chyba straciłaś czujność, co? Za długo siedzisz w jednym miejscu. To do ciebie niepodobne.

– Dobrze mi tutaj.

– Nie wątpię – rozłożył ręce w geście zrozumienia. – Jesteś tu dłużej niż w niejednym domu zastępczym. Można by pomyśleć, że wiesz gniazdko. Mieszkasz na tyłach?

– Nie twoja sprawa.

– Oczywiście, że mieszkasz na tyłach. Jestem rozczulony. To piękne, że wreszcie się na coś zdecydowałaś. I co dalej? Zostaniesz tu jeszcze?

– Słuchaj, mam sprawę do załatwienia. Spieszę się.

– No właśnie nie widzę, abyś się spieszyła. Naprawdę wyszłaś z formy.

Zrozumiałam, że nie pozbędę się go, dopóki nie pojmę, o co znowu mu chodzi. Nie widziałam go od kilku miesięcy. Ostatnim razem rozmawialiśmy na komendzie, gdzie wpłacałam za niego kaucję. Patrol zgarnął go za bójkę na dworcu, a w kieszeniach znaleziono prochy.

– Dobra – powiedziałam, wyjmując papierosa. Po chwili zastanowienia wyciągnęłam paczkę w jego kierunku. Zdziwiony, poczęstował się, dziękując skinieniem głowy. – Pogadajmy. O co chodzi tym razem? Znowu handel? Długi? Co się stało?

– Po prostu stęskniłem się. Nie można już normalnie spotkać się z siostrzyczką?

– Nigdy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

– Nie muszę chyba wspominać, przez kogo to wszystko? To ty lubiłaś spieprzać z każdego miejsca, w które nas rzucono. Ja pokornie czekałem na ciebie.

– Jesteś młodszy. Spowalniałbyś mnie.

– Ja wiem, że zawadzam. W końcu jestem młodszym braciszkiem, czarną owcą rodziny.

– Nie ma żadnej rodziny. Nigdy nie było.

– Kiedyś była.

– Matka była. Przez chwilę. Nie wiem nawet, czy ją pamiętasz. Byłeś za mały. Ale chyba nie przyszedłeś gadać o tym, co nas łączy?

Wzruszył ramionami. Jego wiecznie spuchnięta twarz wyglądała tego

ranka na jeszcze większą niż zwykle – znak, że brał za dużo. Dłoń trzymająca papierosa trzęsła się wyraźnie. Mimo wszystko uśmiechnęłam się przelotnie. Dalej palił lewą, jak go nauczyłam. To była jedyna rzecz, jaką zapamiętałam od ojca. Powiedział mi kiedyś, że nie wypada, aby ręka wyciągana na powitanie śmierdziała dymem. Moje jedyne wspomnienie po tym skurwielu, który opuścił nas, zanim jeszcze ujrzał swojego syna.

– Nigdy nie lubiłaś gadać – odezwał się brat. – Nie mogłem tego zrozumieć. Ile razy pytałem cię, dlaczego ode mnie uciekasz?

– Nie uciekałam od ciebie. W każdym razie nie tylko od ciebie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, ale wiedziałam, że nie pojął niczego.

– Potrzebuję forsy – wypalił wreszcie. – Wiszę jednemu takiemu z Greki.

– Kurwa...

– Ano nie jest sielsko.

– Nie mam dla ciebie nic. Ledwo starczy na moje potrzeby.

– To daj z kasy. Ten bar musi nieźle prząść, skoro się w nim zagnieździłaś.

– Absolutnie nie.

– Kiedyś nie miałaś problemów z wybieraniem. Pamiętasz, jak ten jeden raz przyjechałaś po mnie? I wykradłaś mnie? Pojechaliśmy za Miasto. Pamiętasz? Wtedy też ukradłaś z kasy.

– To było co innego. Wtedy mi nie zależało.

– Słuchaj, ja naprawdę mam problem...

– Weź się w końcu, kurwa, w garść – nie wytrzymałam. – Chcesz, to przyniosę papier ścierny na otarcie łez. Spieprzaj stąd, nie mam czasu.

W tej chwili po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak nie ufam słowom. Materializacja myśli, fizyczny przekaźnik, przyczyna powodująca skutek, zwykle niepożądany – oto czym są. Mówić to wybierać drogę, nawet gdy nie chce się ruszać donikąd.

Zerwał się w jednej chwili i chwycił mnie za gardło. Miał silne, długie ręce, zaś wściekłość podpowiadała mu tylko jedno rozwiązanie. Krzesło upadło, ze stołu spadła popielniczka. Rozbiła się na tysiąc kawałków, wbijając się w nogę, nic jednak nie mogłam poczuć. Rozpaczliwie chwytalam powietrze, okładając napuchłą twarz pięściami. Drapałam i kopałam, coraz bardziej osuwając się w dół, tracąc grunt pod stopami.

Wtedy życie nie przelatywało mi przed oczami. Nie było niczego, co chciałabym pamiętać, do niczego nie żywiłam głębszych uczuć. Nie żał mi

było nawet siebie, więc nie zorientowałam się, kiedy przestałam się opierać i poddałam się żelaznemu uściskowi. Wzrok zakryła mgła, sprowadzając niesłychany spokój.

Wpadłam w nią, jak w głęboką studnię. Wszystko ciemniało, ktoś u góry zamykał wieko. Zimne słońce rzeczywistości gasło, a ja pływałam już w ciepłych, otulających całe ciało ciemnościach.

I wtedy właśnie odetchnęłam pełną piersią w bólu, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam.

– I żebym cię tu więcej nie widział! – krzyczał Adam, dzierżąc w dłoni ułamaną poręcz barowego krzesła.

Mój brat chwiejnie dobiegał do drzwi, tamując krew tryskającą z ogolonej czaszki.

– Masz szczęście, że musiałem się wrócić – powiedział barman, pomagając mi wstać. – Co to był za skurwiel? Mam wzywać policję?

– Jest... w porządek... ku... – wykaszałam, wypluwając płuca.

Nie miałam już ochoty opuszczać swojego azylu. Znalazłam prawdziwego obrońcę.

*

Prawie całe miasto już spało. Jednak niektóre z dzielnic, miejsc oraz zaułków dopiero budziły się do życia. Na ulicę wychodzili mężczyźni w czarnych strojach. Za nimi szły kobiety w jasnych, upiornych makijażach, ubrane w czerwień. Rogi i ciemne zakamarki okupowali dilerzy, nie zagadując do nikogo, za to wyciągając dłoń do wielu. Na głowach kaptury, na nosie okulary przeciwsłoneczne, w garści kilka gramów prochów.

Szłam niepewnie, przystając co chwila, gotowa natychmiast zawrócić. Jednak po krótkim namyśle ruszałam dalej. Cały czas prosto, aż do ronda, na którym pod szklanymi szybami kwitła roślinność. Skreśliłam w prawo, na Grekę. Nie miałam celu. Po prostu szwendałam się, pragnąc oczyścić umysł.

Niewiele wiedziałam o Grece, a i tak było tego dość, bym zawahała się na moment. Osiedle wyjątkowo źle sławy, wysunięte najdalej na południe. Nie było tam posterunku, nie jeździły patrole, brakowało monitoringu.

Dziwki jak małe, zwinne żmije pełzały wśród mafijnych kurierów, a po ulicach kursowali żołnierze gangów, patrolując, budząc respekt. Drobni

handlarze sprzedawali broń na zapleczach furgonetek, a prawdziwie grube ryby – śmierć oraz życie. Zza okien blokowych mieszkań dobiegał szelest banknotów i świst rzucanych kości – to prywatne kasyna, gdzie topili smutki ci liczący na szybki zysk.

Z grekami nie pija się ouzo – mówiło miejskie przysłowie.

Tak widziałam Grekę oczami wyobraźni. Ukazało mi się jednak coś zupełnie innego.

Osiedle było ciemne i senne. Nocne twarze przez okienne szyby zerkwały na puste ulice, skąpane w mętym świetle latarni, nierozjaśniającym niczego, za to rzucającym długie cienie. Było ciasno, zaś bloki mieszkalne poszarzały ze starości. Cisza dzwoniła w uszach.

Ludzie chowali się prędko, dostrzegłszy mój zaciekawiony wzrok. Samochodów było niewiele – wszystkie za to wiekowe, rozsypujące się i pożarte rdzą rupiecie. Rower oparty o poręcz pobliskiej klatki schodowej nie miał kół ani kierownicy.

Najchętniej zatrzymałabym się i uciekła. Ta zapomniana przez wszystkich dzielnica, wykrzywiona legendami i opowieściami tych, którzy nigdy w niej nie byli, budziła niepokój swoją obcością. Prawda okazała się straszniejsza niż mit – to miejsce ziało pustką, chłodem i rozpadem.

Nagle mignął mi Adam, przynajmniej tak mi się zdawało. Nie byłam pewna, gdyż zniknął równie niespodziewanie, co się pojawił. Ledwie odwróciłam spojrzenie, już go nie było. Pomyślałam, że wciągnęła go ciemność, że wpadł w otchłań Greki i nigdy już nie powróci. To miejsce było jak lodowaty krąg piekła, a milcząca groźba, wisząca w powietrzu, działała lepiej niż krzyk niejednej prawdziwej ofiary. W tych niezrozumiałych dla mnie samej rozmyślaniach straciłam orientację. Obróciłam się dookoła i osłupiałam, nie wiedząc, gdzie jestem.

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech, po czym ruszyłam przed siebie z duszą na ramieniu. Powietrze pachniało zgrozą, stawiając zmysły na baczność.

Po sześciu krokach wreszcie dostrzegłam coś na wzór oazy, obietnicy schronienia. Zza rogu wyłonił się szylk. Brudny, ledwie widoczny, dziwny.

Stoik – przeczytałam. Ze środka dobiegały ciche dźwięki rozmów oraz delikatnej muzyki. Więc to tu – pomyślałam. – To tutaj szedł.

Nie zastanawiając się dłużej, przekroczyłam próg, zmieniając całe swoje życie.

*

Pierwsza kula trafia w tylną szybę. Druga rozbija boczne lustro. Schylam głowę, teraz dopiero uświadamiając sobie, co tak naprawdę się dzieje. Przychodzi to nieoczekiwanie, zupełnie mnie zaskakując. A przecież zdawałam sobie sprawę, jak to wszystko może się skończyć.

Z prędkością dwustu dwudziestu kilometrów pędzimy na spotkanie śmierci, gonieni przez bezlitosnych policjantów, wyjąc jak zwierzęta. Myślę, że wilki czasami zagryzają swoje młode.

*

W środku Stoika panował prawdziwy spokój. Po wejściu do budynku zauważyłam kolejny szyld z nazwą sali – stoa kolorowa. Paradoksalnie wewnątrz panowały jedynie odcienie szarości. Wszystko składało się tylko z nich: ściany, bar, stoliki, siedzący przy nich ludzie. Wszechobecna szarość, ujednolicająca, organizująca – trzymająca obraz klubu w żelaznych ramach.

Rozejrzałam się uważnie, ale nie dostrzegłam Adama. Każda twarz wyglądała jednakowo – smutna w swojej obojętności. Wydawało się, że tak naprawdę siedzi tu tylko jeden człowiek powielony kilkadziesiąt razy.

– Apateję? – spytał jakimś głosem barman. Zastanowiłam się, w jaki sposób znalazłam się przy ladzie? Ledwo weszłam, a już byłam w sercu lokalu.

– Co takiego?

Mężczyzna odwrócił się i chwycił ciemną butelkę. Ustawił kieliszek i przechylił naczynie. Do środka nie wpadła nawet kropla.

– Co ty robisz? – byłam zbita z tropu.

– Pierwszy na koszt firmy. Nie bój się, jeśli nic nie poczujesz. Zawsze tak jest.

Poirytowana rozejrzałam się po sali. W oddali czekał jeden wolny stolik. Wyjęłam paczkę mentolowych, cienkich papierosów. Odpaliwszy, poczułam beznamienne spojrzenia spoczywające na mojej twarzy. Wszystko wokół zgęstniało, jakbym zrobiła coś niestosownego. Nikt jednak nie zwrócił mi uwagi. Za moment goście wrócili do obojętnego wgapienia się w przestrzeń.

Nikt nie odzywał się do nikogo. Czasem tylko ktoś rzucił słowo bądź

dwa, jakby do swoich myśli. Proste brzdąkanie na lirze zastępowało muzykę. Więc jednak ten pub żył. Zdawał się karmić samą ludzką obecnością.

Podniosłam kieliszek i przyjrzałam się krytycznie. Jeśli ten facet coś nalał, to chyba powietrze – przyszło mi na myśl. Wszystkie naczynia były tutaj pełne niczego, a jednak podnoszono je do ust i spijano tę nicość jakby była czymś.

– Raz się żyje – powiedziałam i poszłam w ich ślady.

Nic nie poczułam, tak jak mówił barman.

I wtedy na środek lokalu wyszedł Adam. Wyłonił się nagle, jakby był tu cały czas, tylko ukryty, rozwodniony w zupie obojętnie patrzących ludzi. Stał na podwyższeniu i otworzył usta.

Z gardła jednak nie wydobył się żaden dźwięk.

Dopiero potem dotarło do mnie, że wsłuchiwałam się w uczucia, które z siebie wyrzucał.

Opuściłam Stoik nad ranem, pełna niczego, pusta we wszystkim.

*

Babilon smakował słowami.

Rozmowy ulewały się wraz z piwną pianą, szept płynął kieliszkami do ust. Krzyk towarzyszył toastom, a śpiew rozpraszał papierosowy dym.

Ja jednak mówiłam niewiele, jak miałam w zwyczaju. Zaś to, co padało z moich ust, było ostrożne i ciężkie. Raz zrzucony ciężar za chwilę wracał na nowo, wraz z każdą odpowiedzią, z każdym słowem do mnie skierowanym.

Babilon smakował słowami. Smakował gorzko.

Adam był za to bardzo rozmowny, jakby wszystkie niewypowiedziane w Stoiku słowa dopiero tutaj do niego wróciły. Ludzie go słuchali, pragnęli jego towarzystwa. Ucichły pretensje oraz szyderstwa pokątnie rzucone za jego plecami. Tego dnia wszystko wyglądało inaczej.

Zastanawiałam się, czy to na pewno był on, tam w Stoiku. Dokładnie widziałam jego twarz, ale miałam wrażenie, jakby to w ogóle nie był on. Teraz, w niedawnych przecież jeszcze wspomnieniach, wszystko rozmazywało się, mętniało. Ja sama byłam oddalonym punktem.

Zaczynałam uświadamiać sobie, co rodzi się we mnie – nieznanne uczucie, coś rozczulającego. Rozgrzewałam się tą myślą, pierwszy raz

w życiu. Nauczona przez los dystansu zawsze unikałam czegoś głębszego. Pozostawałam na powierzchni, starając się utrzymać głowę powyżej zdradzieckiej tafli rzeczywistości, w którą i tak przecież wpadałam raz po raz.

Ale tonęłam, na pewno. Jeszcze wierzgałam, próbowałam płynąć, ale już tonęłam. Jak nigdy wcześniej.

Usiadłam w rogu, przy najmniejszym stoliku, pragnąc zamyślić się jeszcze mocniej. Nie chciałam dziś z nikim więcej rozmawiać. Patrzyłam na Adama, paląc długie, cienkie papierosy.

Kilku przyszło i odeszło zawiedzionych. Paru innych zostało. Byli na tyle pijani, że właściwie nie dostrzegali mojego towarzystwa. Nie przeszkadzali, przysypiając na krzesłach. W krótkim czasie wokół baru skupiło się kilka atrakcyjnych kobiet. Poczulałam ukłucie zazdrości. Adam zdawał się dziś zamienić z kimś innym na dusze.

W końcu wstałam i najzwyczajniej w świecie poszłam do magazynu, nie dbając o to, czy ktoś zauważył moje zniknięcie. Musiałam odpocząć, pozbierać myśli. Zawsze tak robiłam – znikałam, chowałam się. W domu dziecka często znajdowano mnie w małej szafie pod schodami. W końcu któryś z opiekunów zaniósł tam poduszkę. Ta szafa była najcieplejszym miejscem mojego dzieciństwa.

– Źle wyglądasz – usłyszałam zza pleców.

To był właściciel. Wszedł niezauważony. Kiedy chciał, potrafił być bezszelestny jak kot. Nie wiedziałam, ile czasu tak nade mną stał.

– Zaraz wracam – odparłam pośpiesznie.

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Idź do siebie. Wyśpij się. Masz dziś wolne. Jutro wyskocz gdzieś, kup coś. Jakąś szmatkę, jakąś szminkę. Uzupełnij zapasy, nabierz energii.

Odpowiedziałam uśmiechem, najszczerzym, na jaki mogłam sobie pozwolić.

– Bo jutro na pewno nie będziesz tak bezużyteczna, jak dziś – dodał, trzaskając drzwiami magazynu.

*

Wskazówka licznika drży. Dociskam pedał gazu, a wóz rozpędza się do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Dziesięć.

Zaczynam odliczać.

– Dziewięć.

Kolejna kula mija mnie o włos. Leci tuż przy uchu, gorąca i szybka. Rozrywa powietrze i wreszcie trafia w przednią szybę. Odłamki szkła uderzają mnie w twarz.

– Osiem.

Ryk silnika i nasze wycie. Świszczące pociski i trzask rozbitej szyby. Głośne bicie spanikowanego serca. Ucieczka donikąd. Igranie ze śmiercią.

– Mamo...

Chłopiec płacze.

– Mamo, proszę cię...

– Siedem.

Odpowiadam.

*

Tym razem przyszli wcześniej, we dwójkę, jeszcze przed otwarciem baru. To miała być kolejna z hazardowych nocy, szybko jednak okazało się, że może nie dojść do skutku.

– Więc albo płacisz, albo... – powiedział pierwszy. Nawet siedząc na stołku wydawał się wysoki. Był wyjątkowo zadbany, gładko ogolony, uczesany i w garniturze. Gdy milczał, sprawiał odpowiednie wrażenie, nawet przyciągał wzrok. Za to gdy tylko otwierał usta, czar pryskał i znowu był ordynarnym półgłówkiem.

– Nie rozumiem – odpowiedział szef. – Przecież do tej pory wszystko grało, pasował wam układ. Ja zarabiam na udostępnieniu lokalu, a wy na pożyczkach. Co się stało?

– Nie twój interes – burknął ponownie pierwszy. – Rzeczy się pozmieniały. A rachunki muszą się zgadzać.

– Powiedźcie Pneumie, że powinien chociaż przysłać kogoś, kto wytłumaczy mi, o co chodzi. Znamy się przecież od dawna, a ja uparty nie jestem. Potrzebuję tylko wyjaśnienia, to chyba nie jest za dużo? Tym bardziej że na dłuższą metę nikt na tym nie zyska. Dla Babilonu ta kasa jest niezłym zastrzykiem. Długo bez niej nie pociągnę, a wtedy będę musiał zamknąć biznes. Turnieje się skończą i w ogóle niczego nie będzie.

– Nie pyskuj, kurwa, bo...

– Czekaj – wtrącił się wreszcie drugi.

Ten znowuż jawił się jako dokładne przeciwieństwo swojego partnera. Niedomyty, z wielodniowym, dziwnym zarostem. Do pewnej długości włoski na brodzie rosły prosto, potem jednak kołtuniły się, niszcząc i tak szpetną, ospowatą twarz. Nosił ortalionowe dresy, przebój tamtego lata, dopełniające żalostnego obrazu całości. Do poprzedniej chwili nie powiedział ani słowa.

– Pytasz, co się stało, że Pan Pneuma zmienia zdanie? – kontynuował. – Opowiem ci dowcip, bo to najlepiej zobrazuje sytuację.

Wychylił duszkiem szklanę whisky i zaczął:

– Wyścigi chartów. Panowie lordowie spotykają się w specjalnym pokoju. Popijają trunki, palą cygara, nabijają fajki. No i rozmawiają, kto na kogo postawi. Jeden z nich, najwyraźniej niezbyt bogaty, zaczyna, że ten jeden, taki nowy, on może zaskoczyć. To, mówi, postawię na niego trochę. Drugi mu przerywa, z większą pewnością peroruje, że ten tutaj wydaje się lepszy w nogach, to na niego postawi trochę więcej. Trzeci wkracza i zaprzecza reszcie, należy postawić na tego tu oto, bo jest najlepszy, wygrywał już wcześniej. Czwarty z kolei ma inne jeszcze zdanie.

Szef polał mu jeszcze jedną szklanę i słuchał. Dresiarz ciągnął dalej:

– Nagle w sali przeciąg, wiszący dym się zrywa, zaczyna tańczyć pod sufitem, a drzwi uderzają z głośnym hukem o ścianę. Do pokoju wpada jamnik. Wiecie, taki jamnik, malutki, długi, ze śmiesznym pyszczkiem. Zupełnie inny niż te wszystkie charty, o których była rozmowa. No i ten jamnik nagle zaczyna gadać, że to on jest najlepszy ze wszystkich psów, że on wygra wyścig i każdy tu zebrany nie powinien wierzyć pozorom. Wszyscy na mnie postawcie, ja jestem czarnym koniem tych wyścigów, kończy jamnik i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Odpaliłam papierosa, całkiem już wciągnięta w opowieść gangstera.

– No to towarzystwo w śmiech. Jak to, krzyczą, jamnik wygra z chartami? Jakim cudem? Ktoś jednak w końcu przytomnie zauważył, że w ogóle to jakim prawem ten pies mówił? I jak drzwi otworzył? A jeszcze lepiej, jak zamknął? No to wszyscy zaczynają się zastanawiać, czy to może nie jakiś podstęp? Może ten jamnik to jakaś lipa jest? Albo wręcz przeciwnie? Skoro gada, to może jakiś mutant, może nafaszerowany jakimiś prochami? Jak na prochach, to może i biega szybciej? Szybciej niż charty? Nie może być... Ale jeśli...

Kolejna kolejka powędrowała do ust. Szef otworzył szeroko oczy, zdziwiony, ale nie śmiał przerywać.

– No to w końcu, słuchajcie, każdy postawił na jamnika. Całe swoje pieniądze. Biedni zaryzykowali, bogaci także. I przyszedł czas wyścigów. Charty ustawione w boksach, tak samo jamnik. Strzał pada, zajęc w te pędy do przodu spieprza, a psy za nim. Charty pięknie wystartowały, od razu wyczuły zajęcia i w pogoń. Depczą biednemu po piętach, o ile zajęc ma pięty, kogo to zresztą obchodzi... Piękne psy w ruchu, mięśnie grają jakby symfonię, kurz się za nimi ciągnie, zajęc ledwo daje radę, są coraz bliżej.

Mężczyzna zrobił kolejną pauzę.

– A ten jamnik na samym, kurwa, końcu. Kurz powoli opada, a on tuż przy ziemi, ledwo ciągnie. Te charty kończą okrążenie, a on dopiero w jednej czwartej. Mijają go raz, dublują drugi, on dopiero zamyka pierwsze kółko. Lordowie zaciskają kciuki, myślą, że zaraz coś się zdarzy, że jamnik jak opętany wyskoczy do przodu i magicznym sposobem przegoni jeszcze te pieprzone charty. W końcu jednak wyścig się kończy, charty dobiegają pierwsze, a jamnik parę minut po nich. Lordowie zbiegają z trybun, wkurwieni i zaskoczeni jednocześnie. Podbiegają do tego kundla, a z niego pot wiadrami cieknie, sierść posklejana, bo to jamnik długowłosa był... Sapie, kaszle, rzezi, mało płuc nie wypluje. Ech-ech-ech, łapie powietrze, całkowicie wykończony. Pada na piach, słycać tylko te ech-ech-ech.

Wypił następną whisky, która nie wiadomo kiedy wylądowała przed nim i podjął ponownie:

– No to lordowie do kundla: jamnik, kurwa, ty miałeś być czarnym koniem tych wyścigów! Ty miałeś wygrać to wszystko! Myśmy wszystkie pieniądze na ciebie postawili, boś mówił, że przegonisz te charty! Kurwa, jamnik, a ty teraz ostatni, tak w piachu rzeżisz! Jamnik tylko ech-ech-ech, wycieńczony. Lordowie nie ustępują: jamnik, no psie ty, myśmy wszystko przegrali, a ty nam kazałeś na siebie postawić. Jamnik, kurwa, co się stało?! No co się stało?! A jamnik na to wreszcie, po dłuższej chwili: ech-ech-ech... Nie wiem.

Dresiarz wstaje od stołu i wyciąga pistolet, mierząc szefowi prosto w głowę.

– I tak jest z Panem Pneumą – dodał. – Ja też, kurwa, nie wiem co się stało, że Pan Pneuma zmienił zdanie. Ale masz płacić i koniec, rozumiesz? Jak lordowie na jamnika.

Szef nie zadawał już więcej pytań.

*

Wydawało się, że Stoik nie lubił słów, ale tak naprawdę był im obojętny. Gościom nie przeszkadzały rozmowy, a nawet jeśli, nie okazywali tego. Stanem naturalnym był tu brak – także brak przeciwwskazań.

Sądziłam, że wyproszą mnie, jeśli zacznę mówić nieproszona, ale nic takiego się nie stało. Struktura knajpy tylko sprawiała wrażenie wewnętrznie gotowej, skończonej, twardej. W istocie była elastyczna, w wiecznej fazie ślepej ewolucji, zadowolającej się każdą sytuacją, jaka nastąpiła. Każdy był przygotowany na wszystko – nikt natomiast tak naprawdę niczego nie zauważał bądź nie chciał dostrzegać.

Spytałam więc wprost, nie wiedząc, co mnie czeka:

– Łatwo jest pić coś, czego nie ma?

Półmrok lokalu ukrywał moją niepewność, jakby przystosowując się do niewypowiedzianych życzeń. Adam kręcił się podenerwowany na krześle, pstrykając od czasu do czasu palcami. To był tik, który zauważyłam już wcześniej. Zwiastował kłopoty, pojawiał się bowiem zwykle wtedy, gdy na wieczorkach hazardowych gościł Zajęcza Warga.

Z początku zdawało się, że mnie nie usłyszał, jakby znalazł się w oazie milczenia na pustyni hałasu. Jakbyśmy byli w oku cyklonu, otoczonym przez bezwzględny żywioł. Jakby wszyscy mówili, tylko nie ja. Jakby każdy słyszał, tylko nie on.

Przed nim, na stoliku, stało dziesięć kieliszków.

– To tobie się wydaje, że to jest puste – odparł w końcu. – Znaczy, te są...

Wskazał dłonią wszystkie poza jednym, ustawionym najbliżej niego.

– A nie jest? – zagadnęłam znowu.

– Nie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Słowa zostały za barierą ust, nagle zmieniając swój smak. Stały się gorzkie i zapragnęłam wypluć je wszystkie naraz, ale zamiast tego połknęłam. Czułam, jak ciężko opadają przez przełyk, jak chropowaty kamień raniąc wewnątrz. Myśli stały się ciemne i bez sensu, a cała prawda o prowadzeniu rozmów, wszystkie te umiejętności i sztuczki, których nauczyłam się w Babilonie, tu, w Stoiku, zdały się ułomne i czarne jak smoła.

Usiadłam więc po prostu i patrzyłam przed siebie, jak i inni. W duszy

jednak rosła ciekawość, wypychając słowa znowu ku górze, aż ułły się ponownie:

– Nie jesteś mnie ciekawy? Pracujemy razem już trochę, a nigdy tak naprawdę nie spytałeś mnie o nic.

– Więc spytam – odpowiedział. – Po co za mną przyszedłeś?

– Ja jestem ciebie ciekawa.

Rozejrzył się wokoło, jakby życzliwie zniecierpliwiony.

– Przychodzę tu nie być.

Odchylił się na krzesło i zamilkł znowu.

– Nie rozumiem – powiedziałam po dłuższej chwili.

– Tu każdy przychodzi, żeby nie być. To takie miejsce, w którym tak można. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

– Widziałam, jak wchodzisz na podwyższenie...

– Na agorę.

– Na agorę. Mówiłeś coś, ale nic nie było słyhać.

– No bo właśnie tak tu jest. Przeżywamy siebie samych, na sobie tylko dostępny sposób. Pijesz drinka, którego nie ma. Mówisz, nie mówiąc. Patrzysz, nie widząc. To Stoik. Tutaj takie rzeczy są możliwe.

– To jakaś magia?

– Są pewnie lepsze określenia, ale może być i takie.

– Magia nie istnieje.

– Oczywiście, że nie.

– To jakaś gra, tak? Ty przecież nie pijesz, a przychodzisz tutaj i udajesz, że pijesz. Po co te kieliszki? Chcesz sobie coś udowodnić? Albo komuś? – wyrzuciłam serię pytań, odpalając papierosa. Byłam poirytowana.

– To żadna gra – rzekł spokojnie, zupełnie bez emocji. – Nikt mnie tu nie zna, nie mam przed kim udawać. Chyba, że przed tobą, ale po co miałbym to robić? To miejsce to azyl, w którym oczyszczasz się ze wszystkiego i nabierasz dystansu. Zyskujesz spokój, oddalasz się od problemów, które nie powinny cię dotyczyć.

– Więc to ucieczka – stwierdziłam. – Przychodzisz tu tylko, gdy coś niepokojącego się dzieje. Tak było z Zajęczą Wargą, tak jest dziś, po przyjeździe tych gangsterów z Grecji.

Zaśmiał się lekko.

– Grekinów – poprawił mnie. – Nazywamy ich grekinami. Rekiny Grecji.

– Więc tak jest? Powiedz, proszę.
– Pewnie masz rację. Przychodzę tu nie być. Niebycie może być ucieczką.

– Jesteś pieprzony. W pracy zachowujesz się jak człowiek, a tutaj pierdolisz od rzeczy.

– Piłaś już apateję?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Raz?

Kolejne skinienie.

Uśmiechnął się beznamiętnie i powiedział:

– To masz – podsunął jeden ze swoich kieliszków w moją stronę. – Napij się jeszcze. Emocje odpłyną. Wściekłość, szyderstwo, wszystko odejdzie. Człowiek bez tego wszystkiego staje się szczęśliwszy. Wypij i zobaczysz.

– Wiesz... Człowiek staje się szczęśliwszy też wtedy, gdy zrozumie, że wreszcie nie musi chować przed kimś swoich tajemnic – ripostuję.

Adam uśmiechnął się. Ponownie nie było w tym ani śladu emocji.

– Lepiej w ogóle nie mieć tajemnic. Lepiej nic nie mieć.

Machnęłam ręką poirytowana. Podniosłam szkło teatralnym gestem i wzniosłam niemy toast w kierunku wszystkich zgromadzonych w lokalu. Dopiero teraz inni dostrzegli nas i pochwycili za swoje naczynia. Przechyliłam kieliszek, łykając zupełnie nic i z hukiem odstawiłam go z powrotem na stół.

I wtedy świat zamarł.

Z początku myślałam, że ktoś dosypał czegoś do środka, że coś musiało być na krawędziach. To Greka, dzielnica przestępców i gangsterów, wszelkiego rodzaju szumowin poukrywanych gdzieś w ciemności, niewidocznych dla niewprawnego oka. To dzielnica handlu ludźmi i narkotyków. Ktoś musiał czegoś dosypać. Musiał.

Zobaczyłam bowiem świat pustymi oczyma.

Zanim pojawiła się następna, pełna paniki myśl, przyszło zrozumienie. Wszyscy wyglądali tak samo – beznamiętnie i spokojnie. Brak emocji na ich twarzach wydawał się tak naturalny, błogi, wyjątkowy. Nikt tutaj nie miał zmartwień ani złudzeń. Nikt nie miał namiętności. Nic nie było piękne ani brzydkie. Nie można było nic zyskać ani nic stracić. Nie istniało rozczarowanie.

Panowała cisza nieupragniona przez nikogo, ale też niesprawiająca

nikomu przykrości. Nie było potrzeby jej przerywać. Oznaczałoby to tylko koniec błęgiego spokoju. Stagnacji, która nikogo nie raniła, w której każdy był równy. Jednocześnie przyszło zrozumienie, że przecież nic nie może zburzyć tego porządku, że słowa nie ranią, nie wnoszą nic i nie odbierają niczego. Nastąpiła słodka pustka.

Pustka była wszystkim, czego warto chcieć.

Nagle wszelka prawda odeszła, niczego po sobie nie pozostawiając.

*

– Sześć.

– Mamo!

Nie słucham. Jestem już gdzie indziej. W naszej corvette speed siedzi ciało, odliczające martwymi już ustami ostatnie sekundy swojego nieżycia. Dusza uleciała, uciekła. Uratowała się.

Nie, nie uciekła. Przecież nie mogła uciec.

Głośne bicie spanikowanego serca.

Nie mojego.

*

Skóra tego z lewej miała kolor pękniętej prezerwatywy. Chłopiec z prawej miał zaś twarz tak bardzo usianą plamami po trądziku, że wydawało się, iż ktoś zrzucił na niego wiadro gwoździ. Za mną siedział człowiek pachnący kurzem, a dwójka mężczyzn przy barze, odzianych w tandetne piłkarskie koszulki, podrywała dziewczynę, która nie udawała kogoś, kim nie jest, jednocześnie udając wszystkich w miarę swoich skromnych możliwości. Jak usłyszałam, studiowała aktorstwo, co przejawiało się w każdym jej geście, nadmiernie teatralnym, przesadzonym tak bardzo, że nie sposób było w nie uwierzyć.

Chyba że ktoś nosi koszulki piłkarskie. Tacy uwierzą we wszystko, co usłyszą z ust kobiety.

Rzucałam zdawkowe zdania, właściwie strzępy zdań – ledwie wstępne prawie że haselka. Wystarczało. Towarzystwo zebrane wokół natychmiast je podchwytywało i przemielało między ustami, gryząc te urywki, żując, jakby były to prawdziwie wykwintne dania. Zamawiali drinki, upijali się coraz mocniej, jeszcze bardziej nabierając kolorów pękniętych prezerwatyw, jeszcze śmieiej cuchnąc kurzem. A cały czas dochodzili

nowi, zadziwiając mnie swoją wyjątkowością, choć do niedawna sądziłam, że każdy tu wygląda tak samo.

Ruch w Babilonie był spory, a praca szła gładko. Ochłapy wypadły z moich ust, podbierane przez zgromadzone wokół psy, które później szlusowały do baru, zamawiać więcej, by zbierać dalej to, co miałam im do zaoferowania.

Adam patrzył na to z uśmiechem lekkiego triumfu, jakby dobrze zdawał sobie sprawę, że wczorajsze wydarzenia zrobiły na mnie wrażenie. Czułam się swobodniej, bez zwyczajowego w pracy damy stolikowej ciężaru na barkach i choć uważałam inaczej, wyglądało na to, iż te resztki, które wypowiadałam, w istocie były prawdziwym złotem.

Coś się zmieniło. Coś uleciało w pustkę.

Byłam lekka jak nigdy przedtem. Nie myślałam o niczym, nie słuchałam rozmów, chociaż słyszałam słowa i odpowiadałam na pytania. Płynęłam z prądem, wolna od jakiegokolwiek presji, jakby unosząc się w otaczającym mnie powietrzu. Cisza wypełniała mnie, ale też dotykała moich ramion, muskała policzki, gładziła długie włosy. Skąpana w obcych spojrzeniach, wypatrywałam tylko wzroku Adama, pewna już tego, że zakochiwałam się coraz bardziej. Przyszło to z pełnym zrozumieniem. Reszta była nieważna.

Teatralna dziewczyna grała tanią kokietkę i szło jej to z pewnymi sukcesami. Zainteresowanie piłkarskich fanów stawało się głębsze, co przekładało się na coraz wyższe szklanki wypełnione coraz bardziej po brzegi. Aktorka paliła cienkie mentole, z których co chwila odcinała kawałek filtra nożyczkami do paznokci.

– Po co to robisz? – spytał jeden z adoratorów.

– Papieros nie musi być tak długi.

Nie zrozumieli subtelności, więc dodała:

– Nie tak długi jak co innego.

Ich uśmiechy stały się tak szerokie, jak podcięte od ucha do ucha gardło.

– Mówi się, że chcą otoczyć Grekę drutem – powiedział Pęknięta Prezerwatywa. Strach było na niego patrzeć. Człowiekiem wstrząsały dreszcze na samą myśl, co mogło się stać z jego skórą.

– Kto tak mówi? – zainteresował się ktoś przy stoliku.

– W ratuszu mówią.

– Gównno tam wiesz.

Nie pracowałam długo w Babilonie, ale zdążyłam się zorientować, że kto jak kto, ale akurat on czasem coś wiedział. Był z tych głęboko nieszczęśliwych ludzi, którzy muszą pochwalić się, co w życiu robili i czego nie robili. Mężczyzna co i rusz opowiadał, z kim się znał, a wymieniał często ludzi spoza swojego, wąskiego bądź co bądź, kręgu. Za wąskiego jak na te przechwałki. Okazywało się jednak, że czasami mówił prawdę i wtedy można się było zastanawiać, jak szerokie są jego koneksje. Lista jego dokonań rozjaśniała się, co potrafiło wzbudzać szacunek. Kiedyś załatwił szefowi koncesję na alkohol – jeszcze w czasach, kiedy greczyńska mafia posiadała monopol na knajpianą sprzedaż. Nikt wtedy nie śmiał zadawać pytań. Każdy bał się dowiedzieć prawdy.

Biesiadnicy pograżyli się w rozmowie i zajęli się sami sobą, dzięki czemu miałam możliwość dłuższego podglądania Adama. Przy pracy był półbogiem: zwinny, sprawny jak jakiś drapieznik, na dodatek świadomy swoich umiejętności. Niekiedy kokietował, wykonując pozornie fałszywy ruch, na tyle widoczny, aby przestraszyć pijaczka przejętego nalewaniem mu wódki. Był to jednak wykalkulowany show, równie niewinny, co robiący wrażenie. Adam bowiem nigdy się nie mylił.

Bardzo trudno było uwierzyć w to, że nie pije. Wiedziałam jednak, że to nie do końca prawda.

Ja tymczasem siedziałam przy entym kieliszku, niewzruszona mocą alkoholu. Po stoikowej apatei zwykłe trunki stawały się okrutnie banalne i niegroźne. Goście upijali się, szybciej lub wolniej, lecz nieuchronnie, zaś ja omiatałam ich wzrokiem, trzeźwa i pusta jak nigdy przedtem.

Niewiele mnie to obchodziło. Negatywne emocje, choć dalej obecne, gdzieś się zagubiły. Mogłam je wyczuć, mogłam je nazwać, wymienić, ale nie poczuć. Straciły swoje zgubne ciepło, nie szeptały myślom – ucichły. Były, działały, przecież brzydziła mnie obecność tych wszystkich mend przy stoliku, ale... No właśnie – czy aby na pewno?

Zamiast nich wyróżniać zaczęło się coś innego. Radość z podglądania Adama, nawet nie jego widok, ale sama tego możliwość. Cieszyło mnie także to, że znałam już część tajemnic barmana, jak choćby tę o jego abstynencji. Zaprawdę trywialne są problemy knajpiane. Sprowadzają się zawsze do wódki. Mimo wszystko jednak wiedza, że istnieje mocniejszy napój niż wszystkie zgromadzone na półkach Babilonu, wprost parzyła od środka.

Opróżniałam więc kieliszki w zawrotnym tempie, święcie przekonana,

że nie powinno w nich być nic oprócz apatei. Zorientowałam się wreszcie, że pustkę traktuję jakby była czymś, jakimś bytem, którego przecież nie ma. Pełne szkło było nieodpowiednie. Tylko puste jawiło się jak właściwie.

Rozkoszna była nicość. Przytulna. Można było się w niej rozpuścić bez przeszkód.

Jeszcze jedna kolejka, potem następna. Pyszczaty chłopaczek padł i wynieśli go jacyś inni młodzi ludzie. Któryś wezwał taksówkę i wrzucili go na tylne siedzenie, lecz po chwili kierowca wypieprzył go znowu na ulicę. Z mordą naskoczył na resztę, domagając się czyszczenia zarzyganych foteli. Aktoreczka wreszcie wybrała dla siebie jednego z piłkarzyków, jednak szybko zorientowała się, że dziś nic z tego nie będzie, bo drugi natychmiast wyraził swoje rozczarowanie i wywiązała się regularna bójka. Szef wyrzucił ich na zewnątrz narzekając, że gówniarzeria dziś nie szanuje żadnych reguł, a na pewno nie tej, że nie tłucze się po pyskach w lokalu.

Najdłużej wytrzymał, o ironio, Prezerwatywa, co dowiodło, iż przechwałki o bogatej we wrażenia przeszłości bynajmniej nie były czeze. Ale i on w końcu odpadł, twarzą na blat, skąd stoczył się finezyjnie pod stół. To bardzo grzecznie z jego strony, bo łatwiej wyciągnąć człowieka za nogi niż wynieść go pod rękę.

Typowy knajpiany wieczór w Babilonie. Do czasu.

Bo wreszcie przyszła policja i poinformowała mnie, że zwłoki mojego brata wypłynęły w Centrum, niedaleko mostu, na którym się powiesił i skąd zerwała się lina, gdy ktoś próbował go wciągnąć.

Wtedy, dopiero wtedy, poczułam się pijana w cholerę.

*

Wszystko rozpuszczało się w apatei. Wszystko prócz zwątpienia i lęku mu towarzyszącego. Jakby wahadło obijało się o żebra, niezdecydowane, w którą stronę jest lepiej – wiedzieć czy nie wiedzieć, mieć żal czy nie mieć.

Zwątpienie nie rozpuszczało się w apatei, ale z każdym następnym kieliszkiem słabło, wahadło hamowało. Po kilku chwilach jednak znowu wściekle rozpędzone tłukło wewnątrz ciała, mózgu, serca. Wpędzało w niezrozumiałe miarowe szaleństwo.

– Tylko nie mów, jak ci przykro – powiedziałam do Adama, pochylonego nad stołem, szczerze zmartwionego lub perfekcyjnie imitującego uczucia. Nie byłam w stanie stwierdzić, niczego już nie byłam pewna. – Nawet nie próbuj.

– Wstyd mi, że musiałem mu przywalić – odparł, perłowym dźwiękiem rozbudzając we mnie mimowolny uśmiech.

– On na pewno był ci za to wdzięczny – rzuciłam. – Po czasie.

– Tak sądzisz?

– Nie był zły, wiesz? Był po prostu podziurawiony i połatany. Jedna łąta na drugiej, krzywo przyszyta. Gdzieś pod tym wszystkim był normalnym, smutnym chłopakiem z rozbitej rodziny, przierzucanym z jednego miejsca do drugiego bez pytania go o zdanie.

– Tak jak ty.

– Tak jak ja – potwierdziłam. – Ale ja jestem inna.

– To widać.

– Myślisz?

– Zdecydowanie.

– To miłe, ale nie wiesz, o czym mówisz. Jestem jeszcze gorsza niż on. To jedyna rodzina, jaką miałam, a wypięłam na niego dupę, gdy mnie potrzebował.

– Nie możesz tak mówić...

– To głupie, wiem. Banalne jak cholera. Ludzie tak mówią po wszystkim, prawda? Tak się właśnie zachowują. Pięć minut rozgoryczenia, a potem wracamy do swojego życia. Ale ja nie mogę, nie mam tego luksusu.

Czknęłam. Adam podsunął mi paczkę, więc odruchowo zapaliłam kolejnego papierosa. To już pół paczki. Niedługo będzie potrzebna kolejna.

– To takie, kurwa, głupie. Nie mogę nic mądrego o nim powiedzieć. Nie masz pojęcia, jak się z tym czuję. Mam udawać, że gdybym mogła, tobym postępowała inaczej w stosunku do niego? Czy miałoby to jakieś znaczenie? Czy teraz ma to jakiegokolwiek znaczenie? Już po wszystkim. Już po wszystkim, a ja nie wiem, co mam myśleć.

Zakaszlałam dymem.

– Kurwa – zgasłam ledwie rozpoczętego papierosa.

Sala była prawie pusta. Był środek dnia i goście się jeszcze nie zeszli, zajęci własnymi sprawami. Kac tętnił pod czaszką, ostrożnie wycofany

tragicznymi nowinami, ale obecny, otępiający zmysły. Czekał na dogodny moment, aby uderzyć.

Mam trzy fazy kaca. Pierwsza zaraz po przebudzeniu – najsilniejsza, ale i najbardziej motywująca. Kac wstępny, na którym można jeszcze pójść pod prysznic, zmyć trud dnia poprzedniego i mieć nadzieję, że to wszystko, co jest do zmycia. Można zrobić sobie coś do jedzenia, a później przeżuwać to opornie, udając, że to potrzebne i pomocne. Faza druga to kac z zaskoczenia – nadciąga, kiedy człowiek jest się w stanie już wyprostować. Udowadnia, że pomimo wszystko najlepiej jest jednak leżeć skulonym, modląc się, by trzewia nie wyszły wszelkimi dostępnymi otworami. Jest najtrudniejszy, bo niespodziewany, nie da rady w niego uwierzyć. Faza trzecia to przypomnienie – najsłabsza część, choć również najmocniej irytująca. Niby nic się nie dzieje, lekkie mrowienie w żołądku, niespodziewane uderzenia gorąca, niezbyt bolesny ból w skroniach – każde z osobna nie robi wielkiego wrażenia, ale skumulowane, zjednoczone w jednym celu, uświadamiają człowiekowi, że choć żyje, to kiepskie to życie.

Dziś nie miałam żadnej z tych faz. Po raz pierwszy przyszła czwarta – kac skurwysyn. Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, ale o coś na pewno chodzi. Drażą to umysł, wwierca się w najgłębsze myśli, odkrywa zupełnie niepoznane zakątki osobowości, które nie składają się w żadną sensowną całość. Powoduje chaos, drżenie rąk i obawę o siebie, o jutro, o dziś, o całą pierdoloną rzeczywistość, jakkolwiek pusta i nieistotna by nie była.

Takiego kaca nijak nie da się wyleczyć. On nigdy nie puszcza, zawsze jest. Wychodzi na jaw właśnie w takich chwilach drżenia losu, kiedy nie widać siebie na tle nicości. A potem, gdy zasieje na dobre ziarno zwątpienia i trwogi, wraca wprost do duszy, oczekując na swój następny moment chwały.

– Opowiedz mi o tym – rzekłam, by zmienić temat. – O Stoiku. Co to tak naprawdę jest?

Adam wypuścił powietrze i odwrócił wzrok, jakby szukał odpowiednich słów.

– Tu handlują spokojem. Spokojem, jaki daje nicość – odparł.

– Ale jak to? Znaczy, trochę rozumiem. Apateja działa. Nie wiem jak, ale działa. No i o to chodzi. Coś musi za tym stać, prawda? To przecież nie czary? Coś w powietrzu, coś na szklance? Narkotyki, trans, cokolwiek?

– Naprawdę nie wiem. Nie chcesz pogadać o bracie? On się powiesił.

Albo ktoś go powiesił. Mówiłaś, że ma długi. Może go dopadli? Może to jakieś mafijne porachunki?

Pokręciłam głową z niesmakiem.

– Opowiedz mi o Stoiku. Proszę. Muszę zająć myśli czymś innym.

Tym razem to Adam sięgnął po papierosa. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby palił. Jak niewiele o nim wiem. Zorientowałam się, że w istocie w ogóle go nie znam, tak jak nie znałam własnego brata...

– Jest taka idea, że... – smakował dym z lekkim rozczarowaniem, ale i zaciekawieniem, jakby robił to po raz pierwszy, ale widać było, że nie jest to dla niego nic nowego. – Jest taka idea, że aby osiągnąć szczęście, trzeba odseparować się od tego świata. Od jego całości. Od przyjemności i bólu. Ból jest zły, więc to oczywiste. Przyjemność natomiast, choć daje krótkotrwałe wytchnienie, w końcu mija i przynosi prawdziwe cierpienie.

– Raz zaznałeś szczęścia, odeszło i pogrążasz się w tęsknocie za nim, co jest jeszcze gorsze, niż gdybyś nigdy go nie poznał.

– Właśnie. Jesteśmy tak zaprojektowani, aby oczekiwać szczęścia, ale odmierzamy go tylko odczuwaniem przyjemności, czy to fizycznych, czy innych. Ale one nie trwają wiecznie, a gdy znikają, pozostaje tylko ciemna strona życia, która wciąga coraz głębiej. Wiesz, kto całe życie spędził w kopalni, nie tęskni do światła.

– Aha...

– W Stoiku mawiają, że lepiej w takim razie nie czuć nic. Osiągnąć stan godny mędrca, nie przejmować się światem, pozostać poza tym wszystkim. Nic nie jest w stanie cię zranić, nie zyskasz nic, ale i nic nie stracisz. Masz spokój. Apateję.

– Szemrane to – stwierdziłam.

– Ale działa. Sama widzisz.

– Teraz jestem w dołku, zupełnie rozerwana. Apateja nie pomaga.

– Bo to tylko symbol – Adam podniósł kieliszek do góry, wychylił i z hukiem postawił na stoliku. – To nie jest prawdziwe, to zaledwie wstęp, przedsiónek. Chcesz wejść tak na serio? Idź na agorę.

– Gdzie?

– Na mównicę. Na podwyższenie.

– A, to tam, gdzie ty wtedy stałeś.

Zrobił zaskoczoną minę.

– Nie wiedziałem, że mnie widziałaś...

– Nie sposób było przeoczyć.

Milczał przez dłuższą chwilę, aż w końcu zaproponował znowu:
– Wejź na agorę. Sama zobaczysz.
Więc weszłam.

*

Jeszcze chwila, a wszystko się skończy – pojawia się myśl. – Jeszcze tylko chwila.

Czas jednak zwalnia, choć świat wokół przyspiesza.

Nie zauważam już kul. Nawet tej, która trafia mnie w ramię, odrzucając do przodu. Pęd samochodu z powrotem wbija mnie w fotel, a adrenalina połyka ból. Nie dociera do mnie, że właśnie zostałam postrzelona.

Gnamy przed siebie, nie zważając na nic.

– Pięć.

Odliczam.

– Pięć!

Chłopiec wykrzykuje wraz ze mną.

*

Papieros zgasł w dłoni. Nawet nie zauważyłam, że go miałam. Upadł na podłogę bez żadnego dźwięku.

Zobaczyłam małe dziecko, schowane w szafie ustawionej w przedpokoju, przez lukę w drzwiach podglądające kłócających się rodziców. Pijany ojciec o ukrytej w cieniu twarzy i doskonale widoczne oblicze zapłakanej matki. Ona czuje się oszukana – przecież obiecał jej być trzeźwym; on kolejny raz postawił na swoim.

Kobieta może tylko krzyczeć, więc krzyczy. Potem prosi. Chwyta się wszystkiego, nie zważając na nic. Sens gdzieś umyka, roztapia się w chaosie mikroświata kawalerki, w atmosferze wielkiej paniki.

Kobieta krzyczy. On jest przecież głową rodziny. On zarabia. Jemu nie wypada. On ma dziecko.

A za chwilę on wchodzi jej w słowo. Przerywa brutalnie, po męsku, co mimowolnie budzi podziw w małej dziewczynce.

Ojciec mówi, że kobieta go oszukała. Że miało być inaczej, że to nie ma sensu. Że żre jego pieniądze, że tyje, jest brzydka i żal mu jej. Że tylko niańczy bachora, który pewnie nawet nie jest jego.

Uderza więc żonę, raz i drugi, otwartą dłonią. Ona łapie się za puchnące

już policzki i odsuwa się, byle dalej. Już nie słycać jej głosu, już nie mówi nic. Jedyne w jej oczach coś się zmienia. Zapala się jakaś iskra, wybucha płomień. Zapada decyzja. Wybiera się los. Jaki jednak – nie wiadomo.

Mężczyzna się uspokaja. Niespodziewanie dla samego siebie zaczyna rozumieć. Dociera do niego, co zrobił. Przez chwilę walczy ze sobą. Chce wyciągnąć dłoń, chwycić żonę i otrzeć jej łzy, uronione ze słabości, łzy niegodne otarcia. W końcu jednak opamiętuje się i znowu jest sobą. Rzuca jeszcze parę gorzkich słów, chwyta butelkę i czeka na jej dłoń, na którą liczył, że go powstrzyma. Nic takiego się nie dzieje, ona ma już dość, nie próbuje. To wkurwia go do szczeru.

Dreszcz wstrząsa jego ciałem. Bierze kurtkę, kieruje się do wyjścia, mijając szafę, w której przerażone dziecko nie śmie nawet spojrzeć mu w oczy. Zatrzymuje się przy niej na moment, jakby coś jeszcze sobie przypominał. Zastyga, by nagle powiedzieć:

– *To nie twoja wina, mała. To tylko nasza.*

Chwilę potem dziewczynka jest już większa. Wypadają jej mleczone zęby. Ma już kilka stałych, ale jeszcze dużo bólu przed nią. Jest jednak dzielna, znosi to z niewinnym uporem, na którym buduje swoją siłę, charakter. Wypadają tylko zęby, świadomość się osadza – świadomość siebie, swojego ciała, swojej odrębności. Cieszy się, jakby to była najcudowniejsza rzecz w jej życiu.

Za każdy ząb matka wsuwa jej pod poduszkę pieniążek. Nad ranem udaje, że to wcale nie ona, ale dziewczynka wie lepiej – już dużo widzi, nauczyła się obserwować i wyciągać wnioski. Nie jest już mała, chodzi do trzeciej klasy.

Jeden pieniążek starczy na paczkę szczypiącej w język oranżadki w proszku. Albo na lizaka. Nie wiadomo, co lepsze – i to kusi, i tamto. Bliżej jej jednak do oranżadki, bo ma posmak tajemnicy. Jak to wszystko może strzelać w ustach? I jak potrafi nie ranić, strzelając? Ciekawość zżera dziewczynkę od środka, chce się dowiedzieć, ale gdy w końcu pyta matkę, ta udziela za dorosłej odpowiedzi i dziecko nic nie pojmuje. Wyobraża sobie, że to magia.

Dziewczynka po jakimś czasie dochodzi do wniosku, że lepiej zbierać pieniążki i kupić sobie w końcu upragnioną figurkę wojaka. Żołnierz nazywa się jakoś dziarsko, nigdy nie potrafi spamiętać, ale to nic. Ważne, że jest dzielny i nieugięty. W kreskówce jest najlepszy, bo ma karabin

laserowy i nóż, którymi potrafi zaprowadzić porządek wszędzie.

Nigdy nie lubiła lalek. Lalki są niemęskie.

Kolejny ząb, kolejny pieniążek. Podbiega do matki, otwiera usta i pokazuje jej chybotałą niespodziankę, którą trzeba wyrwać. Dziś pójda do dentysty, a potem nastanie noc i matka zrobi, co zwykle. Pojutrze przeliczy wszystko, musi starczyć na figurkę, już długo zbiera – stwierdza ze znanstwem.

W nocy budzi ją czuły dotyk kobiecej dłoni. Delikatna skóra odpędza sen i dziewczynka uśmiecha się, ale zaraz przestaje. Matka stoi nad nią, ubrana w kurtkę, a na podłodze leżą spakowane, wypełnione po brzegi walizki. Niektóre nie dopinają się i ubrania wypadają na dywan.

– *Gdzie idziemy, mamo?*

– *Na wycieczkę. Pospiesz się. Pociąg nam ucieknie.*

– *A tatuś?*

– *On nie jedzie z nami. Wstawaj. Musimy zdążyć...*

Przerywa jej przeraźliwy huk. To trzaśnięcie wejściowych drzwi. Niespodziewany powrót męża. Kobieta szczelnie otula dziecko kołdrą, po czym podnosi się, nie wiedząc, co dalej. Mężczyzna mruczy coś niezrozumiale pod nosem. Kicha raz i drugi. Potyka się o szafkę na buty, klnąc przy tym zbyt głośno.

Nagle dostrzega walizki. Trzeźwieje w momencie, uświadamiając sobie, co się dzieje. Kobieta stoi przerażona. Nie potrafi ukryć zdenerwowania. Wie, co za chwilę się zdarzy i cofa się w głąb pokoju.

– *To nie tak, jak myślisz...*

Mąż podbiega i chwytą ją za gardło. Wolną dłonią uderza pięścią w twarz, plując z furii:

– *Ty suko! Nigdy nie dam ci odejść!*

Kolejne razy spadają na jej głowę, aż ta odskakuje z jednej strony na drugą, jakby należała do szmacianej lalki. Kobieta piszczy i przygryza wargi do krwi. Oko puchnie momentalnie, widać to doskonale nawet w nikłym blasku księżyca.

Dziewczynka mocniej przyciska do siebie kołdrę. Wyobraża sobie, że to jej ukochany idol, żołnierz z kreskówki. W myślach prosi go, żeby zrobił coś, żeby uratował mamę. Nie działa. Nikt nie przychodzi na ratunek. Matka upada na ziemię, nieprzytomna. Ojciec tylko spluwa i wychodzi, kopiąc zagradzające mu drogę walizki.

Moment potem dziewczynka wychodzi do szkoły. To ma być jej

pierwszy dzień w czwartej klasie. Tam ma poznać nową wychowawczynię, która, według zapewnień mamy, ma traktować ją i koleżanki jak prawdziwych dorosłych. Plecak wypełniony jest po brzegi podręcznikami. Jest ciężki, ale to dobrze, bo słodki to ciężar. Do środka matka zapakowała bowiem upragnioną figurkę wojaka. Jakiś czas temu wyszła z mody, kreskówka zniknęła z anteny, ale ona ciągle w niego wierzy. Z tego powodu stała się pośmiewiskiem wszystkich.

W pokoiku obok płacze jeszcze jedno dziecko – mały chłopczyk, którego nie lubi, bo przez niego mamusia musi teraz dzielić swój czas. Z główniarzem trudno się rozmówić, bo nie docierają do niego racjonalne argumenty. Nie rozumie jeszcze, co się do niego mówi i przepycha się w kolejce do maminego ciepła, skutecznie oraz bezczelnie. Dziewczynka go nie lubi, ale jakoś znosi.

Jest już duża. Sporo rozumie. Poza tym ma swojego żołnierzyka, który zawsze ma czas na wszystko.

– *Bardzo cię kocham, skarbie.*

Mówi matka, całując ją w czoło.

– *Pa, mamusiu!*

I wybiega z mieszkania. Gdy do niego wraca, matkę już zabrała karetka. Po raz kolejny widzi ją na pogrzebie – a raczej widzi jej trumnę, bo ojciec nie pozwolił otworzyć. Podobno widok roztrzaskanej czaszki po upadku z czwartego piętra nie jest niczym przyjemnym.

Kolejne dni w szkole mijają niespodziewanie dobrze. Są krótkie. Nikt nie śmieje się z figurki. Koledzy nagle są dojrzałsi i rozumieją. Koleżanki trzymają się z daleka, nie wiedząc, co mówić. Nauczyciele nie zadają jej prac domowych.

Z mroku następującego po tej scenie wyłania się już duża. Ma piętnaście lat i mieszka w kolejnym domu dziecka. Na swoim koncie ma kilkanaście ucieczek oraz pięć domów zastępczych. Jedyne, co do niej należy, to ten stary plecak, w którym zbierane na złom puszki objijają się o starą figurkę, którą trzyma już sama nie wie dlaczego.

Gdy jest trzeźwa, nie mówi nic i wtedy jest dobrze. Jest lżej. To jednak rzadkie chwile. Najczęściej pije całymi dniami, zręcznie unikając wzroku personelu domu dziecka. To łatwe, bo i tak nikt nie zwraca na nią uwagi, pomimo że to placówka o zastrzonym rygorze. Ona jest niereformowalna i ma taką reputację, z którą trudno jest walczyć. Mówią o niej, że potrafi uciec skądkolwiek i kiedykolwiek.

Mają rację. I dlatego właśnie ucieka. Bo nikt nie patrzy.

To wtedy właśnie ostatecznie przestała lubić słowa. Bo wreszcie słyszy je w pełni, a są one wyjątkowo parszywe i niesprawiedliwe. To wyjątkowo nieporadne słowa, bezsensowne. Połamane i posklejane zarazem. Nieoddające rzeczywistości. Powtarzane co i rusz tracą swoją siłę, stają się wytrychami, haselkami z krzyżówki, którą jest życie. Nie znaczą dla niej nic, a jednak bolą tak mocno. Za każdym razem tak samo – ranią do krwi, miażdżą, niszczą.

Jednak milczenie jest gorsze. W milczeniu słycać swoje własne słowa. A tych nigdy nie powinno się słuchać.

Nie wierzy już w kreskówkowe żołnierzyki, figurantów wartości, wyrysowanych superbohaterów naprawiających nieokreślone zło. Nie wierzy w ich patos, w ich trud, w ich uczciwość i w zawsze szczęśliwe zakończenia. Już dawno doszła do wniosku, że każdą rzecz musi robić sama, bez nadziei na posiłki. Dobro nie zlatuje z nieba pod postacią aniołów, ani też nie przychodzi z daleka, niosąc pokój krwią i karabinem. Nie wypełza spod ziemi. Nie otula ciepłem.

Dobra nie ma. Liczy się tylko spokój. Tylko brak.

Jeśli nie ma dobra, nie ma też i zła. Największym dobrem jest brak dobra.

W jej życiu tylko to się sprawdza. Tylko to jest ważne. Tylko to się liczy.

Więc gdy już kobieta widzi siebie wchodzącą na agorę, wreszcie rozumie, czym jest szczęście w nicości. W nicości jest spokój.

*

Słyszałam w życiu wiele słów, jednak nie tej nocy. Tej nocy nikomu nie chciało się gadać. Zasznurowane usta i zamknięte oczy z otwartymi powiekami – Babilon wyglądał jak gabinet woskowych ciał, muzeum figur imitujących ludzi.

Szef mówił, że bym wzięła wolne, otrząsnęła się z szoku – przecież jeszcze tego ranka przesłuchiwała mnie policja i musiałam identyfikować zwłoki. Ale nic z tego, odmówiłam.

Naprzeciwno siedział człowiek-ekran. Łój i pot spływały mu po twarzy, odbijając obrazy z telewizora, w który się wpatrywał. Logo programu tkwiło na czole, z lewej strony, jak biały tatuaż, zaś po brodzie przepływał

pasek wiadomości. Jego oblicze było obliczem wytapetowanej damulki, rozpostartym na płótnie krzywizn policzków. Nawet ruszał ustami w rytm ruchu jej warg.

Za chwilę był jednak ciężarówką w płomieniach, potem młodym zubrem, urodzonym w miejskim zoo. Na końcu stał się reklamą podpasek. Hasło było odwrócone, ale udało mi się przeczytać – „Nie zostanie nawet kropelka”. Mężczyzna odruchowo spojrzął w pełną jeszcze szklanicę i skrupulatnie zastosował się do instrukcji telewizji, osuszając naczynie do końca.

Towar schodził porządnie, nie musiałam się trudzić. Leniwie ciągnący się czas udzielał się każdemu. Powietrze iskrzące oczekiwaniem rozbłyskiwało co chwila. Żadna iskra nie padła na właściwy grunt, nie zaprószyła ognia rzeczywistości. Coś miało się stać, ale nic się nie stało. Jakby zdarzenie, czające się za progiem, musiało wreszcie nastąpić, jednak konieczny był właściwy moment.

A ten jak na złość nie chciał przyjść, chociaż wszyscy nie mogli się go doczekać. Zerkając na siebie, nie mogąc nic zrobić, nic przyspieszyć, ani zwolnić, trwaliśmy w beznadziejnej pustce wypełnianej tylko dźwiękami telewizora, w którym ledwo znajdujące się na rzeczy jury oceniało w ogóle nienadających się do niczego uczestników czegoś na wzór turnieju tańca, śpiewu czy pajacowania – nikt nie wiedział.

Tylko Adam kręcił się jak zwykle, czym zawłaszczwał moje spojrzenie, rzucane już nawet nie ukradkiem, a śmiało; gotowe i rozmarzone. Wychwytywał mój wzrok, odpowiadał swoim, badając czujnie, czy wszystko ze mną w porządku. Wymienialiśmy się treścią niezmierną, nieokreśloną, ale pożądaną, pełną obietnicy. Łączyło nas już coś więcej po tym popołudniu w Stoiku. A jednocześnie nie łączyło nas nic.

Papieros smakował przyspieszonym biciem serca, drink ciepłym zrodzonej już emocji. Ręce szukały nerwowo zajęcia, ale każdy ruch był spowolniony, starannie wykalkulowany, bo co, jeśli zaraz znowu na mnie spojrzy, jeśli zobaczy coś fałszywego, co oddali go ode mnie? Jest wyrachowanie w miłości, szczerze w swojej nieszczeroci – chce się wyglądać tak, jak kto inny chce na nas patrzeć. To przychodzi naturalnie, ta zmiana osobowości. Nagle można uwierzyć w to, że jest się swoim odbiciem widzianym w oczach drugiego.

Człowiek-telewizor zasnął wreszcie na stole. Niedługo pozostali goście opuścili lokal, znużeni czekaniem na iskrę, która zrodzi pożar większy niż

ten ciężarówka w niedawno obejrzanych wiadomościach.

Stało się tyle, że nic się nie stało. I dlatego dziś wspominam ten męczący dzień jako najlepszy w całym moim życiu.

Smakował bowiem jak pustka.

*

– Cztery!

Dwa zsynchronizowane głosy, dwie dusze, jedno serce.

Nie spuszcza nogi z gazu. Samochód cały drży, tak jak świat za oknem. Nic nie ma kształtu, wszystko rozmywa szaleńcza prędkość.

Blokada jest blisko.

*

Adam sięgnął do biblioteczki, po te kilka książek, jakie zgromadził.

Encyklopedia alkoholi.

Vademecum kelnera.

Jak robić smaczne drinki.

Co pić na imprezach.

Co pić wieczorami.

Co pić.

Cały świat banalnych ludzi kręci się wokół jeszcze bardziej banalnych spraw, które nie pozwalają się wyrwać, a zamiast tego wciągają w banał jeszcze głębiej. Banał ma posmak gorzkiej wódki.

Podał mi tomy, więc otworzyłam na chybił trafił i zaczęłam czytać, wybijana jednak przez jego dygresje i opowieści. Mówił ciekawie, z prawdziwym znawstwem, zupełnie jakby posiadał znacznie więcej niż tylko teoretyczną wiedzę na ten temat.

Dopiero wtedy go zrozumiałam. Wiedziałam już, dlaczego nie pije. Któręś dnia powiedział mi, że nie musi i faktycznie tak jest. Apateja jest znacznie mocniejszym trunkiem niż wszystko inne. Nic tak nie gasi pragnienia na świat jak ona. Reszta po prostu się nie liczy.

Tym razem byliśmy trzeźwi, choć perspektywa upicia się nicością była wielka. Pustka wzywała nas, szeptała do ucha, że jest tam dla nas miejsce, całe mnóstwo przestrzeni, w której możemy zagubić się i odnaleźć na nieskończenie wiele sposobów.

Cudownie kusząca idea, ale odkryliśmy, że jeszcze lepsze było jej

oddalanie. Im głębiej zapadaliśmy się w byt, im dłużej pozostawaliśmy z daleka od niebytu, tym większa pojawiała się potrzeba wytchnienia, wyłączenia się. Apetyt rósł i choć życie brutalnie chciało zagarnąć nas dla siebie, to nie uciekaliśmy w apateję.

Obietnica niczego była tym smaczniejsza, im dłużej była niespełniona. Poczucie braku daje najwięcej.

To była więc nasza zabawa. Od tygodnia nie odwiedzaliśmy Stoika. Nie spełnialiśmy nicości. Tęskniliśmy do niebytu, owszem, ale za wszelką cenę staraliśmy się przeżyć życie, aby potem wyrzucić z siebie go jeszcze więcej, z jeszcze głębszą ulgą.

Nie puszca się kamyczka z balkonu. Lepiej wypchnąć skrzynię z samolotu.

Nie wiem, kiedy dokładnie zaszła we mnie ta przemiana. Być może już przy pierwszym kieliszku apatei. Pierwszy objaw pojawił się jednak później, po zejściu z agory. Na skórze piersi pojawiła się mała ranka, która za nic nie chciała się zagoić. Niewielkie ukłucie, jakby ktoś igłą chciał przebić się do serca. Powiększała się stopniowo, jątrzyła się. Zmiany niedostrzegalne codziennym okiem zerkającym w lustro, ujawniające się dopiero po dłuższej refleksji, po kilku dniach. Czy to jeszcze ranka, czy już rana? Czy trzeba iść i się przebadac? Czy zignorować?

Opowieść alkoholowa wiodła nas dalej i coraz bliżej ku sobie. Ramię Adama opadło na moje, wtuliłam się w niego, kładąc nogi na kanapie – starej, ale dlatego wygodnej, choć za małej dla dwojga. Trzymałam książkę, pozwalając mu pokazywać kolejne dzieła sztuki barmańskiej, wsłuchując się w jego nieco zabawny, trochę niepewny głos.

Orientował się już, gdzie to prowadzi, ale grał dalej. Drżałam lekko, czując się wreszcie kobieco, w prawdziwie męskich ramionach – niezbyt silnych, ale pięknych. I te dłonie, spracowane, szorstkie palce, jakby kiedyś pracował fizycznie na budowie. Kto wie, może tak było? Nie śmiałam przerwać, by spytać.

Muzyką były dźwięki Miasta. Pisk karetek i wycie syren, plusk brudnej wody wylewanej przez okna do rynsztoka, dzwonek budki z lodami oraz ekstatyczna, głośna radość dzieci. Ktoś wyklinał kogoś zaraz po ostrym jęku hamulców. Rozbrzmiały klaksony. Uwertura metropolii, wszystkie ludzkie i nieludzkie odgłosy: telewizor staruszków mieszkających piętro wyżej, awanturujące się rodzeństwo zza cienkiej ściany. Chłuszczące uszy techno z klubu z naprzeciwka, gwizdząca sygnalizacja świetlna dla

niewidomych. Wszystkie kolory ciepłego popołudnia rozbijające się na szybach. Buczenie lodówki.

Wreszcie wyjął mi książkę z rąk i zapytał:

– Nauczyć cię pokera?

– Nie mam szczęścia w kartach – odparłam.

– Tym lepiej dla mnie.

Przyniósł mały zestaw do pokera. Stara mata do gry nosiła ślady wieloletniego użytkowania – gdzieś przypalona od tłących się niedopałków, poplamiona kawą, winem i whisky, roztaczała zapach tajemnic, jakimi nasiąknęła przez lata. Kolorowe, nieco zbyt duże żetony ze startymi wartościami przyjemnie dźwięczały, uderzane o siebie. Adam rozłożył talie w piramidkę i zaczął pokazywać, który układ kart jest wyższy, a który niższy.

– A poker to strit w kolorze – wyjaśniał. – Najbardziej spotykany. Ten zaś to poker najwyższy, królewski, od dziesiątki do asa. Nigdy nie widziałem go na stole.

– To wygląda na trudne.

– Zasady są banalnie proste. Rozdaje dwie karty, które tworzą twojego kickera. Potem następuje licytacja, w której można spasować, zaczekać ze swoim zakładem lub podbić, o ile czujesz się mocna. Po zgodzie na stół ładują trzy karty. Liczy się układ najlepszych pięciu ze stołu i z kickera. Potem znowu licytacja, czwarta karta, licytacja i piąta. A potem finalne przebijanie i partia się kończy. Zapisz sobie hierarchię układów, będzie ci łatwiej. To się nazywa hold'em poker.

Przepisywałam wszystko na podarowaną kartkę, zastanawiając się, co on widzi w tej grze. Hazardowe noce w Babilonie były dla mnie najnudniejszymi w pracy damy stolikowej. Nikt nie chciał gadać, ludzie w napięciu oczekiwali na swoją kolej przy stole na zapleczu. Niektórzy rozgrywali sportowe partie, ćwicząc, i wtedy pub zatrzymywał się zupełnie nad grą.

– Nauczyłem się grać od ojca, jeśli o to chciałaś spytać – zagaił Adam.

Uśmiechnęłam się, nie odpowiadając.

– Pamiętaj, żeby nie popełniać amatorskiego błędu. Każdy nowy gracz ma zbyt wielką ciekawość, a poker to gra umiaru. Nie sprawdzaj każdego wejścia, nie musisz grać do końca. Zawsze można spasować. Czasem wygrana to strata mniejszej liczby żetonów. Jeśli chcesz, to blefuj, ale to zawsze ryzyko. Podpowiem jednak, że rzadko sprawdza się

nieobliczalnych świeżaków. Nigdy nie wiesz, co napotkasz po drugiej stronie.

– Chcesz mi powiedzieć, że łatwiej gra się z profesjonalistami.

– Na pewno inaczej. Więcej rozumiesz, gra jest bardziej przewidywalna, ale paradoksalnie widać jeszcze mniej.

– Twój ojciec grał zawodowo?

– Nie. Po prostu kiedyś mnie nauczył.

Dwie siódemki i nieszczerza obojętność przyklejona do twarzy – już po rozdaniu kart zrozumiałam, że to trudna, bo emocjonalna gra. Rozgrywa się nad stołem, między oczami, nie w dłoni. To, co masz, nie leży w kartach, ale w żelaznym opanowaniu. Poker nie jest grą karcianą, to potyczka dusz. Wygrywa ten, kto ma chłodniejsze sumienie.

Oczywiście sprawdzałam każdy zakład. Adam kręcił głową, a na usta wpełzł mu pobłażliwy uśmiezek. Wiedziałam jednak, że muszę go zaskoczyć. Mogłam to zrobić tylko w stereotypowy sposób, grając jak amatorka, którą byłam.

Siódemka nie dochodziła, pojawiła się jednak szansa na strita. W ostatniej chwili jednak weszła bezsensowna dwójka i zostałam z parą na ręce.

– Twoje czterdzieści, moje osiemdziesiąt – Adam rzucił żetony na środek stołu.

Dołożyłam swój zakład do puli.

– Sprawdzam – powiedziałam.

Karty zostały odwrócone. Moja para siódemek kontra jego para siódemek.

– Remis – zdziwił się Adam. – No ciekawie...

– I co teraz? – zapytałam.

– Pula zostaje na stole na następne rozdanie. Tak że jest o co walczyć.

Więc znowu. Tym razem król i dziewiątka, każda z innej parafii. Licytacja ruszyła ostro od początku. Męska duma Adama nakazywała mu zagarnąć żetony z wcześniejszej partii dla siebie, ja jednak nie miałam zamiaru odpuszczać. Po pierwszej zgodzie doszła dziesiątka i walet. Spojrzałam na rozpiskę – jeszcze tylko dama i będzie strit. Ta jednak nie pojawiła się, a zamiast tego na stole leżały trzy karo. Ponowne zerknięcie do notatek – Adam miał szansę na kolor, o ile do niego zbierał. Mocno szarżował i stawiał wysoko. Ponownie sprawdziłam.

I jest, dama. Nagle przeciwnik zmienia taktykę i zamiast podbijać

stawkę, czeka. Więc wykorzystuję okazję, wkładając do puli sporo żetonów. Adam tylko na to czekał. Sprawdził od razu.

Strit na strita. Dziewiątki do króli.

– Co za...

– Znowu pula zostaje?

– Wiesz co? Dajmy sobie spokój.

Wstał i podszedł do mnie. Bezceremonialnie objął dłońmi moją twarz i pocałował w usta. Krótko, delikatnie, jakby to był jego pierwszy raz.

Miał dziwną minę, niezdecydowaną, zawstydzoną. Uśmiechnęłam się i poprowadziłam jego dłoń pod bluzkę, pieszcząc jego policzek. Parę chwil a ubrania zniknęły, zaś mała kanapa okazała się wystarczająca.

Czułam się tak, jak nigdy wcześniej.

On jednak po wszystkim spojrzał na mnie krytycznym okiem.

– Coś się stało? – udałam, że mnie to nie boli. – Coś nie tak? Nie podobało ci się?

– Nie rozumiesz? – odpowiedział pytaniem.

Milczałam, zadziwiona.

– Musisz wyjść – dodał, marszcząc czoło, przepelniony gniewem i czymś w rodzaju niepojętej dla mnie pewności.

– Adam...

– Wyjdź.

Więc wyszłam, płacząc. Nie zdarzyło mi się to od bardzo dawna.

Wieczorem szef stanął za barem. Adam nie pojawił się w Babilonie.

*

– Pani E...

– Jakież nowe wieści? – nie pozwoliłam dokończyć policjantowi. Byłam wściekła. Pierwotny smutek minął, przekształcił się w zwierzęcą agresję. Przygotowana do skoku, chciałam wydrapać komuś oczy. Niech tylko nadarzyłaby się okazja.

Co on sobie myślał? Dupek.

– O którą sprawę pani pyta?

– Masz mnie za głupią? O brata pytam.

Usiedli przy barze, a szef odruchowo nalał im po drinku. Odmówili ruchem ręki.

– Służbowo – wyjaśnił jeden.

Szef kiwał mi, abym szybko się ich pozbyła. To była już druga wizyta w przeciągu dwóch tygodni. Zdecydowanie za wiele dla tego miejsca. Jeśli nielegalny hazard miał kwitnąć, nikt nie mógł kojarzyć Babilonu z policją. Wtedy wszystko byłoby skończone.

– Trop prowadzi do Greki. Pani brat zaciągnął spory dług u tamtejszych mend.

– Tyle to ja wam powiedziałam.

– Obawiam się, że możemy tylko wyłapać wykonawców, o ile to w ogóle było morderstwo. Mamy podejrzenia, że pani brata zmuszono do powieszenia się. Jest kilku takich, którzy byliby zdolni do przeprowadzenia takiej akcji. Szczególnie takich dwóch... – rozgadał się pierwszy z policjantów.

– Jeden w gajerku pod krawatem, jak świnia w surducie. Drugi w dresie, ale wyjątkowo ogarnięty... – wtrącił się jego partner.

– Zamkniesz mordę?! To nic pewnego...

Po chwili ciszy jednak sięgnął po szklanę z kolorowym płynem.

– Tak jak wspomniałem, jeśli to było morderstwo, to na zlecenie i to dobrze zaaranżowane. Ci ludzie znają się na rzeczy. Bywały już analogiczne sytuacje, nigdy nie udało nam się powiązać tego ze sobą. To jest tak, że wszyscy wiemy, kto za tym stoi, ale nie ma dowodów.

– A kto za tym stoi? – przerwał szef.

– Nie wiecie tego ode mnie... – teatralnym szeptem rzucił drugi z policjantów. – Pan Pneuma.

– Zamknij się, kurwa... – pierwszy zdzielił kolegę po twarzy otwartą dłońią. – Państwo wybaczą. Nic państwo nie słyszeli.

Gestem nakazał nalanie następnej kolejki.

– Musimy to jednak traktować jak samobójstwo. Na ciele nie znaleziono fizycznych śladów zmuszania. Pani brata nie wypchnięto za barierkę, nie duszono, nie bito. Sam skoczył.

– Nie byłby do tego zdolny...

– Może kogoś chronił. Panią?

– Mnie? Odmówiłam mu pożyczki. Złapał mnie za szyję. Nie sądzę.

– No nie wiem. W końcu byliście rodziną.

– Tak czy siak, my nie w tej sprawie...

Przez plecy nagle przeszedł dreszcz. Człowiek wyczuwa, że coś jest nie tak. Otwierają się zmysły, intuicja podpowiada, niczego jednak nie można zrozumieć. Pozostaje tylko uczucie nieokreślonej trwogi, paralizującej na

chwilę myśli, wstrzymującej serce. Krew zwalnia, by po chwili szaleńczo przyspieszyć.

To był właśnie taki moment.

Policjanci popatrzyli po nas i powiedzieli:

– Wasz barman, Adam... Powiesił się na tym samym moście dziś w nocy. Prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

*

– Trzy!

W tyle, z piskiem opon, zatrzymują się policyjne wozy.

Odruchowo wciskam się głębiej w fotel.

Chłopiec płacze.

*

Chwiałam się. Wizje wirowały, rozpalając nerwowe myśli. Było ich tak wiele, że rozrywały czaszkę. Pożerały mnie i wypluwały z niesmakiem.

Chwiałam się. Szłam tylko dzięki przypadkowi, który przytrzymał mnie słabą, rozedrganą ręką. Co chwila potykając się o zdradzieckie płytki chodnikowe, kroczyłam nie wiadomo dokąd, byle do przodu.

Chwiałam się. To naprawdę idiotyczne, ale co innego można zrobić w takiej sytuacji, jeśli nie sięgnąć po butelkę i upić się w sztok? Jak reagować? Do kogo się zwrócić?

Po prostu bierze się pierwszą rundę, a potem już idzie. Nie ma w tym sensu, nie ma w tym energii, żadnej dynamiki, ale tak przecież właśnie to ma wyglądać. Nie szuka się odpowiedzi na pytania, których nie sposób zadać, z przeróżnych powodów: bo są zbyt bolesne, bo lepiej nie rozumieć, bo prawda jest zbyt gorzka do przełknięcia.

Bo można zwariować.

Chwiałam się.

Już nie pamiętałam, co tak naprawdę zobaczyłam w jego twarzy? Co usłyszałam tego pieprzonego dnia? Co zrobiłam? Zatarte strzępy słów wybrzmiewały w głowie, niedokończone wyrazy, urwane zdania, dziwne spojrzenia, jakiś fałsz na dnie oczu – wszystko to stawało przed wzrokiem pijanej wyobraźni. Nie potrafiłam pozbierać ich w jedną całość.

Chwiałam się. Jakbym zapadła się w sobie, postrzegając jedynie swoje wizje. Reszta była zaledwie wrażeniem, nienamacalnym snem, majakiem.

Te głupie płytki chodnikowe... Jest ich tak wiele...

W końcu męskie dłonie oparły mnie o ścianę. Zmysły powoli wracały. Słyszałam szcęk kluczy, otwieranie drzwi. Odgłos kroków dalej dochodził z daleka, ale i tak był bliższy niż jeszcze przed chwilą. Ile czasu szłam? Gdzie dotarłam?

Nie był to Babilon. Nie cuchnęło niedopalonymi papierosami i rozlanym po stołach alkoholem. Duszne powietrze nie gryzło w gardło, a lekko przytłumione światło nie ocieplało skóry.

– Prześpij się – dotarło skądś, skądkolwiek. Nie było ani poziomu, ani pionu, tylko wielka deliryczna kpina rozżalanej kobiety.

*

To był Zajęcza Warg. Ja zaś nie byłam pewna, czy już jestem sobą.

Płakać zaczęłam od razu po przebudzeniu. Nie przeszkadzał mi. Omijał mnie wzrokiem. Spokojnie stał w kuchni i nastawiał ekspres do kawy. Odruchowo poszukałam spojrzeniem jakiegokolwiek znieczulenia, ale w mieszkaniu nie było nic prócz koperty tytoniu do skręcania wraz z bletkami leżącymi na brudnej ławie w salonie naprzeciwko mojego fotela.

Wrzucił mnie w fotel, skurwysyn. Sam spał na łóżku.

Poczułam się jednolita, monotonna. Od paru miesięcy widziałam tylko wnętrza – pubów, mieszkań i lokali. Przyszła głupia myśl, że nie ma świata poza czterema ścianami, że wszystko znajduje się w czymś w rodzaju celi, z której nie ma ucieczki. Nie ma żadnych strażników, żadnych obserwatorów, a tylko ja i parę innych osób wrzuconych w losowo wybierane pomieszczenia będące w istocie jednym i tym samym więzieniem.

Boże, Adam...

Nawet w takiej chwili nie mogę przestać o sobie myśleć...

Kubek parującej kawy wylądował w moich trzęsących się dłoniach. Płyn parzy przez ścianki, ale już samo to wystarczy, abym poczuła się lepiej. Choć ciało więdnie, usycha z wczorajszego przepicia, ta kawa staje się kołem ratunkowym, nadzieją, że wszystko będzie dobrze.

– Skąd wiedziałeś, że to się przyda? – zapytałam.

– Po prostu wiedziałem – odpowiada mężczyzna.

– Nie jesteś zbyt rozmowny, co?

- Ani ty.
- Ani ja – zgodziłam się.
- Ale nie ufasz też ciszy, prawda?

Podniosłam głowę i dostrzegłam go na tle meblościanki, w otoczeniu starego telewizora i pudełek zamykanych na klucz. Oglądał jakąś pożółkłą fotografię. Wstałam, pokonując wyczerpanie, by zerknąć.

Rodzina przy stole, barwnie, kiczowato ubrana. Staromodne garnitury i te tragiczne, połyskujące odbitym światłem flesza garsonki. Biała koszula małego chłopca, krawat. Pierwsza komunia, wystawny obiad.

- Kto to? – wybąkałam, zachłystując się.
- Ja i moja rodzina.
- Nie wiedziałam, że masz dziecko.

I dopiero wtedy zrozumiałam. Kubek rozbił się o podłogę, a kawa rozlała się po meblach, ścianie i nogach. Nie czułam tego. Nie czułam już nic. Los zakpił sobie ze mnie, owinał się wokół, by wydusić ostatni oddech.

- Tak, to Adam – potwierdził mężczyzna. – Jestem jego ojcem.

Tym razem to ja uciekłam wzrokiem.

– Zgarnąłem cię wczoraj z ulicy, bo byłaś mu bliska. Zwykle tego nie robię. Nie jestem dobrym człowiekiem – dodał.

Dotknęłam zdjęcia, nadal nie mogąc uwierzyć, choć przecież wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Przypomniałam sobie o pudełkach.

– To pieniądze – wskazałam palcem. – To forsa. Zarobiłeś ją na nocach gier. Dawałeś mu pieniądze.

- Potrafię przewidywać różne rzeczy. Wiele widzę.
- Ty... Ty ich opuściłeś. I dawałeś mu pieniądze.
- Tak. Nie potrzebuję dużo. Już nie.
- Ty skurwielu...

Jego oblicze nie zmieniło się ani trochę. Paskudne blizny i zajęcza warg, puste, choć przenikliwe oczy.

- Jeśli czujesz się na siłach, to wyjdź. Mam pewną rzecz do zrobienia.

Chwyciłam za torebkę, która jakimś cudem nie zaginęła i czym prędzej wyszłam z mieszkania. Gdy zbiegałam po schodach, dopadł mnie i zatrzymał.

– Pod żadnym pozorem nie idź do Stoika – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Spierdalaj – tylko tyle byłam zdolna powiedzieć przez łzy.

– Wiem, co tam zobaczysz. Ja widzę rzeczy. Ja wiem. Nie idź do Stoika.

– Puść mnie!

Posłuchał. Wybiegłam, ponownie nie wiedząc dokąd.

*

– Dwa!

W ostatnich chwilach przed śmiercią nie myśli się o niczym. Nagle wszystko odpływa. Strach opuszcza umysł, słowa uciekają z ust, nie wybrzmiewając. W tym końcowym momencie jest się samemu. Umiera się na własną rękę.

Trzask wyginanego metalu, łamanej blachy i gniecionego silnika. Zapach ognia, benzyny i krwi.

Odlamki szkła w twarzy. Pas bezpieczeństwa łamie żebra.

Ostatni hałas – myślę – a potem już nicość...

*

Babilon zamknięto. Tabliczka na drzwiach informowała o remoncie, ale i tak wszyscy wiedzieli, co się stało. Nie można było nie wiedzieć.

Długo zwlekałam, zanim opuściłam lokal. Nie mogłam zostać tu ani chwili dłużej, ale nie potrafiłam wyjść. Nie miałam siły ruszyć się z miejsca. Szklanką wódki śmiała się do mnie lub ze mnie, pełna, nietknięta.

Właściciel za to wyszedł szybko, rzucając kilka niezdarnych słów. Zdawał sobie sprawę, że to koniec. Nikt już tutaj nie zajrzy, nikt nie zechce mieć nic wspólnego z duchem barmana abstynenta.

Zostawił mi klucze, nie wiadomo po co. Nie muszę zamykać. Tu już nic nie ma, tylko pusty bar i powykrzywiane przez smutek wspomnienia. Jutro świat wróci do formy i każdy zapomni o Babilonie. Jutro, ale nie dziś. Jeszcze nie.

Siedziałam więc, nad pełną szklanką wódki, w której odbijała się moja zapłakana twarz. Rozmazany, wczorajszy tusz, wytarta szminka, krwawiące serce – dama stolikowa.

Rana na piersi była już większa. Czarne kreski wokół, jak zakażenie lub zmaterializowany żal – prawdziwa sodoma. Krew wypływała z serca i grubą strugą wiła się po brzuchu, po nogach, kapąca na podłogę.

W telewizorze profesjonalnie obojętna raszpla opowiadała o kolejnej ofierze mostu, który znano już jako most Samobójców. Tożsamości nieszczęśnika nie ujawniono, ale wiedziałam, że to Zajęcza Warga.

– *Nie idź do Stoika.*

Nie chciałam tam iść, a jednak w końcu wstałam i wyszłam, nie mogąc znieść dłużej tych ścian. Każdy kąt przypominał o Adamie. Każda szklanka i butelka. Wyszłam pospiesznie, nie biorąc żadnej walizki, żadnych pieniędzy, które w szkatułkach przyniosło dwóch grekinów, tych samych, którzy wcześniej grozili szefowi bronią. Nie chciałam ich, nie były moje.

Poszłam prosto do Greki.

Do Stoika.

*

Gdy przeszłam przez próg, otulił mnie szal ciszy. Ten półmrok i milczący goście, popijający apateję, ta wysoka agora – wspomnienie tamtego wieczoru, kiedy byłam wreszcie szczęśliwa. Wszystko, co schowane, powróciło w pełni. W myślach słyszałam każde jego słowo, a wizje wróciły same, nieproszone – oglądałam je na nowo.

Zapragnęłam po prostu usiąść, a potem zniknąć. Ale wpięram się. Napić i wykrzyknąć, ale tak, by nikt niepowołany tego nie słyszał. Bo tych, którzy mogliby słuchać, już nie ma. Może nigdy ich nie było.

Oddałam już prawie wszystko. Teraz chciałam oddać resztę.

Zamówiłam. Pusty kieliszek ledwo mienił się w nikłym świetle. Uśmiechnęłam się kpiąco – obojętność opanowywała mnie odkąd tu weszłam. Pragnęłam jej. Była lepsza niż to wszystko. Czy musiałam grzebać w jego życiu? Dlaczego musiałam za wszelką cenę wypełnić czymś swoją własną pustkę? Czemu zakochałam się właśnie w nim?

Wypiłam. Nie poczułam nic. *Nie bój się, jeśli nic nie poczujesz* – powiedziano mi, kiedy pierwszy raz tu przyszłam. Dopiero teraz pojęłam, jak dwuznaczne były to słowa.

Wstałam i weszłam na agorę.

Pierwsze słowa były sprawdzianem. Badałam, czy cisza się nie rozpadnie. Czy realność nie wróci znowu, w pełnej krasie: brudna, wykrzywiona? Czy to wszystko nie jest tylko wierutnym kłamstwem, w które chciałam wierzyć?

– Adam? – powiedziałam.

W izbie nie było nikogo prócz mnie. Nawet barman gdzieś zniknął.

– Adam?

Nikt nie odpowiadał.

– Adam? Przepraszam cię. To nie tak miało być.

I właśnie wtedy przyszła kolejna wizja, inna niż dotychczasowe. Niespodziewana, jak wszystko, co ostatnio stało się w moim życiu.

Znowu byłam małą dziewczynką schowaną w szafie, obserwującą kłótnię rodziców. Tym razem jednak twarz ojca nie była skąpana w cieniu. Była doskonale widoczna.

– To już nieważne – usłyszałam.

Przerażona, nie śmiałam nic mówić. Na krańcu sali siedział siwy starzec, wpatrując się wprost we mnie.

– Nie bój się. Nazywam się Pan Pneuma.

Był solidnej budowy mężczyzną o dużych, spracowanych dłoniach. Zmarszczki na twarzy wyglądały jak blizny i oparzenia, co tylko dodawało mu dumy oraz godności.

– A to, co zobaczyłaś, to prawda. Tu widzi się rzeczy takie, jakimi naprawdę są. Nie ma w tym fałszu – wyjaśnił.

Uśmiechnął się. Założył nogę na nogę i sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął z nich pudełko zapalek z logo pubu. Jednym, swobodnym ruchem odgryzł główkę siarki od drewnienka i włożył je do ust.

– Byłem przyjacielem Adama. I twojego ojca.

Bębnił mocnymi palcami o blat stołu.

– Waszego ojca – powiedział.

Spuściłam głowę.

– Nie zrobiłaś nic złego – dodał po chwili, wstając od stołu. – Nie wiedziałaś przecież, że jesteście rodzeństwem. On też nie wiedział. Żadne z was nie jest podobne do ojca. Adam jednak wcześniej zrozumiał, wtedy gdy przyszło co do czego.

– Spieprzaj! – wykrzyknęłam w końcu, wściekła. – Nic ci do tego! Skąd wiesz to wszystko?!

– Ja? – zdziwił się. – Ja tu tylko siedzę i prowadzę knajpę. Tak się składa, że w moim menu głównym daniem jest prawda. Prawda i pustka.

– Jesteś omamem... To ta agora... To jakaś chora wizja...

Pan Pneuma uśmiechnął się lekko i podszedł bliżej.

– Szukałaś pustki, więc oto i ona. To właśnie serwujemy w Stoiku.

Tylko najprawdziwszą pustkę. Każdy tu po to przychodzi.

Mówił powoli i spokojnie. Głos miał czysty i dźwięczny, lecz gdzieś w głębi czaił się ledwo słyszalny gniew.

– Adam też tego szukał – mówił dalej.

Usiadłam. Coś kazało patrzeć prosto w oczy mężczyzny.

– A że to jest zbrukana milionem kłamstw, miliardem łez i niedoskonałości, to już nie moja wina – dodał. – To nie błyskotka, nie oszustwo.

– Gdybyś był przyjacielem Adama, pomógłbyś mu! – wrzasnęłam, cofając się o krok.

– Ależ ja mu pomogłem.

– Czyżby? Gdzie byłeś wczoraj, gdy cię potrzebował?

– Cały czas szeptałem mu do ucha.

Zaśmiał się.

– Ale nie myśl, że to wszystko przeze mnie. To nie tak. Tak po prostu musi być. Ty też przyszedłeś tu w konkretnym celu.

– Niby jakim?

– Wypełniasz przeznaczenie. Przecież tatuś ostrzegł cię, żebyś nie przychodziła, a jednak jesteś.

– Kim jesteś, Pneuma?

– Tu jestem wszystkim i nikim. Zwykle tylko patrzę, ale nie teraz. Teraz mam coś dla ciebie. Coś, czemu nie będziesz w stanie się oprzeć.

– To obłąd... – stwierdziłam.

Nie mogłam uwolnić się od jego oczu. Z chwili na chwilę pogrążałam się w nich coraz głębiej. Fala mdłości wstrząsnęła ciałem.

Wokoło nie było nic. Czysta czerń zakryła wszystko jak kotara scenę. Jeszcze parę chwil temu były tu stoły i krzesła, był półmrok i agora. A teraz, nagle, nie było nic. Tylko ja, on i para krzesel. A pomiędzy nimi tytoniowy dym (nie zauważyłam nawet, kiedy wyciągnęłam papierosa) i bijąca ze starca aura zadowolenia.

– To apateja, prawda? – spytałam. – Jestem wewnątrz jakiegoś swojego wspomnienia, tak jak wcześniej, za pierwszym razem?

– Jeśli to wszystko to fikcja, to i tak przecież tego chciałaś – powiedział Pan Pneuma.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Oparł się wygodnie na krzesło i czerń rozmyła się, ukazując na nowo salę. Spokojną, jak zawsze, cichą, pustą, choć pełną.

– Mocno stąpasz po ziemi. Adamowi tego brakowało. Gdyby wiedział, że jego problemy są jak te fałszywe błyskotki, nie powiesiłby się.

Już nie patrzył na mnie, ale za to ja nie mogłam przestać spoglądać na niego. Spod sinej chmury wydawał się jeszcze starszy niż wcześniej. Siedział spokojnie, opanowany i dumny.

– Mam coś dla ciebie – powtórzył. – I chcę coś w zamian. Coś, co i tak w końcu będzie moje. Jeśli jednak się zgodzisz, wygrasz na tym wszystko. Zgódź się.

– Na co? – odważyłam się zapytać.

– Mam wielkie plany. Chcę wyprostować kilka żyć, aby też wyjść na prostą. Czy mi pomożesz?

Papieros smakował słodko, a żal zniknął. Rana na piersi poszerzyła się do niepojętych rozmiarów. Nie było w tym jednak żadnego bólu, tak jak i wcześniej. Przez wielką dziurę zobaczyłam swoje czarne od trosk serce.

– Naprostuję twój los. Tylko tego chcę w zamian – powiedział starzec.

Dopaliłam papierosa i zdusiłam na podłodze.

– Tak – rzekłam. – Weź je. Ja go już nie chcę.

Skinął głową na znak potwierdzenia, jego twarz przybrała poważny wyraz.

– Nie pożalujesz – wyszeptał. – Teraz, tutaj, nie masz już nic. Tylko nagą, pustą prawdę. Od teraz będziesz miała wszystko.

A później wyrwał mi serce.

*

Chłopiec stoi, przytrzymywany silnym ramieniem policjanta. Ma nadpalone włosy i rozbity łuk brwiowy. Lewa ręka bezwładnie zwisa, złamana.

– Już dobrze – mówi wysoki mężczyzna w czarnym, przepoconym mundurze.

Światła nianiek pożerają wysokie płomienie palącego się w benzynie plastiku. Czuć smród mojego ciała. Miałam mieć wszystko, umieram, nie mając nic.

– Już po wszystkim – dodaje stróż prawa. – Niedługo przyjedzie twój tatuś.

Malec wpatruje się w ogień. Jego serce bije mocno.

Już się nie boi. Wreszcie się nie boi.

Rozdział II

Ojciec

Największymi problemami Mariusza K. – śmiesznego staruszka z lewej części salki – były współlokator oraz grzejnik. Może jeszcze okno. Te trzy sprawy nie pozwalały mu spokojnie przeżyć tych „kilku dni”, które dzieliły go od śmierci. Mariusza K. tylko „kilka dni” dzieliło od śmierci już od roku.

Samo okno było nieszczelne. Zimno przemykało przez szpary, ochładzając prawą część pokoju, w której stało łóżko Zenona N. Ów zaś był szczególnie wyczulony na niską temperaturę. W lecie nie narzekał, bo noce bywały upalne, jednak już jesienią okazało się, że okno daje Zenonowi mocno w kość, a grzejnik – stary i wysłużony – nie poprawiał sytuacji. Dlatego też, gdy tylko Mariusz K. zasypiał, Zenon N. sprytnie wkradał się do jego łóżka, by wtulić się w wiecznie rozpalone gorączką ciało współlokatora.

Każdego poranka budziła więc wszystkich awantura. W pokoju 103 dwóch starszych panów kłóciło się tak, jakby mieli po dwadzieścia lat. Czyli o sześćdziesiąt mniej niż w rzeczywistości. Biorąc pod uwagę obu – sto dwadzieścia.

Wtedy dzwoniono po mnie.

Lubiłem te kłótnie. Była w nich taka urocza, bezinteresowna agresja, której towarzyszyła starcza niemoc. Te sześćdziesiąt lat temu zapewne pozabijaliby się nawzajem. Dziś jednak mogli już tylko wrzeszczeć. Czas zabrał im siły, pozostawiając krewkie charaktery. To tylko wzmagало obopólną irytację.

Patrzyłem na te awantury, a dusza śmiała się. Aczkolwiek moje usta zmuszone były mówić inaczej, niż chciały.

– Panowie, uspokójcie się. Niezłe z was koguciki, ale pora skończyć tę drakę – mówiły.

Uspokajałem ich tak kilkanaście minut, by potem, w towarzystwie

siostry przełożonej, odwiedzić kolejnych pacjentów. Niektórzy rozpoznawali mnie – miłego mężczyznę, który przychodził od czasu do czasu, by zabawić ich swoją obecnością. Inni zaś, przede wszystkim ci, którzy od jakiegoś czasu pogrążeni byli w starczej demencji, alzheimrze, raku mózgu, a także innych podobnych chorobach, bali się mnie. Zupełnie jakby podskórnym wyczuwali we mnie fałsz.

Na zakończenie pracowitego dnia czekała na mnie wisienka na torcie – poważny Z.W., cierpiący na prawie całkowity paraliż wiekowy mężczyzna. Przybył tu, zanim zostałem wolontariuszem, czyli już ponad dziesięć lat temu. Pomimo praktycznie absolutnej ruchowej niedołążności starzec miał szczęście – jego mózg funkcjonował doskonale. Wszystko analizował i odbierał. Mógł także porozumiewać się z innymi, choć mówił powoli i niewyraźnie. Niewielu miało do niego cierpliwość. Nikt nie chciał się nim zajmować. Mimo wszystko wyczuwało się w nim potężną wolę życia i radość. Przez cały ten czas, przykuty do łóżka, bez szans na zmianę, nie pogrążył się w goryczy. Zdawało się, że kochał życie takie, jakie było, a jedyne, co doskwierało mu od czasu do czasu, to nuda. Szybko odkryłem, że jego wielkim pragnieniem była gra w szachy.

Ja kochałem szachy.

Jak ten człowiek grał! Miał imponujący jak na amatora repertuar otwarć i choć tracił gdzieś tempo w grze środkowej, to końcówki miał wyśmienite. W ciągu swojego długiego życia wyuczył się na pamięć większości gambitów, a w tych, które szczególnie sobie upodobał, był naprawdę dobry. Na dodatek były to bardzo skomplikowane kombinacje początkowe – nie żadna tam partia hiszpańska ani obrona czterech skoczków. Raczej gambity hetmańskie wraz z obronami słowiańskimi, obrony sycylijskie czy arcytrudne gambity królewskie. Raz zaskoczył mnie nawet grą centralną, kilkakrotnie partią wiedeńską.

Nasze rozgrywki były długie i zacięte. Z.W. rzadko kiedy grał agresywnie w początkowej fazie gry. Preferował dzikie kompozycje, więc nie starał się atakować zbyt wcześnie. Nigdy nie był zawodowym graczem, ale doskonale rozumiał ideę szachów. Wiedział, że król to walcząca figura, że pionowy powinny iść razem ku centrum, a także wyczuwał doskonale, kiedy ofiarować bierkę, by uzyskać bardzo dobrze rokującą przewagę pozycyjną.

Oczywiście nigdy ze mną nie wygrał. Nie miał szans. Ze mną jak dotąd wszyscy przegrali.

Wszyscy oprócz jednego...

*

Bycie wolontariuszem w domu opieki, przez mieszkańców zwanym pieszczotliwie „Umieralnią”, to tylko poboczne zajęcie. Chodziłem doń, bo leży w dzielnicy Greka, a ja kochałem tam przebywać. To wyjątkowo podła okolica, dlatego tak przypadła mi do gustu. Za dnia można nawet nie zauważyć, że się nią przeszło – tak jest bezbarwna. W nocy jednak każdy zdaje sobie sprawę, że się w niej znalazł – tak bywa niebezpieczna.

Lgnąłem do Greki jak ćma do światła. Czułem się w niej pewnie i komfortowo. Spacerowałem po jej szarych ulicach, nie zważając na zaczepki mętnych typów czy wrogi wzrok dresiarzy. Nigdy nie niepokojony, chodziłem tam od lat. Teoretycznie łatwy cel – niezbyt młody, niezbyt stary, pod krawatem, wyprasowane w kant spodnie od garnituru i twarz nieznająca blizn. Idealna, by sprawdzić nóż, by choć trochę pociąć, oszpecić. Zęby bielutkie, prowokują pięści, aż proszą się o wybicie. Tors dumnie wypięty, wystawiony na cios. Krok dziarski, swobodny, wręcz roztańczony. Snułem się tak po zakamarkach, ale jakoś nikt się nie pokwapił, by zająć mi drogę.

Po odwiedzinach w Umieralni udawałem się do wesołego miasteczka, które stało obok, nie wiedzieć czemu. Byłem jednym z nielicznych klientów, zaraz obok dzieci gangsterów oraz ich ochroniarzy. Nikt inny tam nie zaglądał. Bilety zbyt drogie, a i kręcić się tak blisko kłopotów nie jest zbyt mądrze. Czasem tylko z przyjezdnych autokarów wylewały się rozwrzeszczane nastolatki, dla których główną atrakcją były butelki, nie zaś diabelski młyn.

W wesołym miasteczku był gabinet luster. Zamiast ścian ustawiono zwierciadła. Pokrywały także podwieszany sufit. Niektóre z nich wykrzywiające obraz: pogrubiające, odchudzające, zniekształcające. Te mnie nie interesowały. Przepadałem za tymi zwykłymi, które pokazują świat taki, jaki jest naprawdę. To właśnie one były najstraszniejsze.

Najtrudniej jest patrzeć na własne, nagie odbicie. Na tę twarz, której na co dzień się nie ogląda, której właściwie się nie zna, dopóki nie zobaczy się jej przed sobą. Ujrzeć siebie prawdziwego, tak dosłownego oraz oczywistego – to prawdziwa zgroza.

Oczy wodzą od jednego lustra do drugiego. Dalej czeka już następne.

Kopia odbija się od kopii, duplikuje się i powiela, i jeszcze. Do nieskończoności. Cały ja, cały ty, my wszyscy.

Nikt inny.

Dopiero tutaj mogłem być sobą.

Na szczęście nikt nigdy nie wszedł do gabinetu luster. Nikogo to nie interesowało. Tylko mnie.

Bezczelnie patrzeć sobie prosto w oczy – to najpiękniejsza rzecz na świecie.

*

Pełniłem wiele ról. W tygodniu byłem jubilerem. Potrafiłem wykonać naprawdę ładne błyskotki, które później niezbyt drogo sprzedawałem. Ot tyle, aby starczyło na rachunki. Resztę przeznaczałem na tytoń. To takie świadectwo normalności. Każdy przyzwoity człowiek przecież musi mieć nałogi. Nie ma diamentów bez skazy. Nawet Bóg pił wino.

Przychodzili do mnie zakochani młodzieńcy, bym pomógł im wybrać pierścionki zaręczynowe. Zjawiali się synowie, kupowali bransoletki dla matek. Wnuczkowie – po kolczyki, złote zegarki. Jeśli nie miałem niczego odpowiedniego, brałem zlecenie na wykonanie. Nikomu nie odmówiłem. Moje ręce są zdolne, palce pewne. Nie przeraża mnie prawie nic.

Klient wszedł. Był młody i pełen wątpliwości. Udawał, że przyszedł przypadkiem. Rozglądał się, starając się sprawiać wrażenie, że nie szuka niczego konkretnego, a wpadł ot tak, by schronić się przed deszczem. Może też przy okazji popatrzeć na złoto. Zdradziła go jednak emanująca wszem i wobec motywacja. Nie skupiał wzroku na niczym, przelatywał od bransoletek do wisiorów poprzez kolczyki. Ale dawno już wypatrzył pierścionki. Powoli zbliżył się do pulpitu, gdzie ustawiłem całkiem okazały zbiór. Jednak jeszcze się wahał. Nie chcąc pokazać mi swoich zamiarów zdradził, iż tak naprawdę ma wątpliwości. Wie, że powinien, wie, że to robi, ale coś w nim walczy.

Ostatecznie przekonała go plakietka „Obniżka 50%”, którą właśnie postawiłem na blacie. Spojrzał nieco zdziwionym wzrokiem, jakby pytał, skąd wiedziałem?

– Interesują pana pierścionki? – zagailem.

– Mógłbym spojrzeć... – odpowiedział nieśmiało.

Uśmiechnąłem się zachęcająco i zacząłem studiować jego twarz.

Młody, niezbyt pewny siebie, ale przystojny. Z rodzaju tych słodkich, wiecznych młodzieńców, za którymi uganiają się dziewczyny z silnym instynktem macierzyńskim. Chłopak będzie idealnym mężem i ojcem. Pokorny, zwykle robi to, czego się od niego oczekuje. W całym swoim życiu kierował się czyjąś radą, więc oczywiście szuka kogoś, kto go poprowadzi. Musi jednak wykrzesać z siebie odrobinę inicjatywy i się oświadczyć. To będzie trudne, biorąc pod uwagę, jak ciężko przychodzi mu kupno pierścionka zaręczynowego.

– Ten tutaj to naprawdę dobra sztuka – powiedziałem ze znanstwem. – Pierścionek musi być z brylantem, inaczej nie jest pierścionkiem. A tutaj mamy aż dwa. Nie wiem, jak pan, ale ja lubię symbolikę. Dwa kamienie, jeden to pan, drugi ukochana. Piękna metafora. Pasować do siebie jak dwa brylanty.

Oczy mu rozbłyśły. Trafiony-zatopiony, pomyślałem. Jakie to proste.

– Tak, jest miły...

– Miły? – wszedłem mu w słowo. – To prawdziwe cudo. Godne swojej ceny, która i tak nie jest specjalnie wygórowana. A złoto poszło ostatnio w górę. Sprzedają za pół darmo, bo mało kto teraz kupuje.

– Niezła okazja – stwierdził.

Był już mój. Wystarczyło tylko utwierdzić go w przekonaniu, że to jedyny wybór.

– A co z szanowną partnerką? Polubiłaby te kamienie? Nie są spore, siłą rzeczy też nie ważą wiele, ale ich szlif jest mistrzowski.

– Tak – odpowiedział. – To znaczy, nie wiem... Ale która nie lubi?

– Chyba lepiej bym tego nie ujął – pokiwałem głową. – A białe złoto? Teraz jest w modzie.

– Na pewno?

– Jubiler by się nie znał?

– Och, nie chciałem. Przepraszam...

– Nic się nie stało.

Wyjąłem pierścionek na blat i podałem mu poduszeczkę. Trzymał ją trwożliwie, jakby się bał, że wypadnie mu z rąk. Przyglądał się długo, z każdej ze stron, raz po raz otwierając usta, ale nie wydając żadnego głosu.

– Próba 965, oczywiście jest certyfikat. Cenę można zamazać, by wybranka nie poczuła się niemilo – dodałem.

– Jaki to rozmiar?

– Taki, jak dla pana partnerki.

Podniósł na mnie wzrok, zdziwiony. Ugryzłem się w język, ale było już za późno. Musiałem szybko coś zrobić.

– Czyli czternastka. Uniwersalna. Pasuje na zdecydowaną większość kobiecych palców, ale w razie potrzeby można powiększyć czy zmniejszyć. Pan decyduje.

– Czternastka powinna być dobra...

– Zapakować?

Popatrzył raz jeszcze na błyskotkę, a potem skinął głową twierdząco. Uśmiechnąłem się znowu i poszedłem poszukać certyfikatu. O szyby bił deszcz. Nawet nie zauważyłem, że się rozpadało. Na ulicy tłok – ludzie właśnie wracali z pracy do domów. Opony mitsubishi sigma, mercedesów 1600V, langerów butterfly i wielu innych rozjeżdżały kałuże, opryskując przechodniów w płaszcach. Wszystko zrobiło się szare, nawet neony Nowomiejskiej Pizzy, zwykle kolorowe aż do przesady. Pastelowe miasto, smutne i zmęczone, aż sam poczułem się senny. A do końca dnia jeszcze kilka długich godzin. Do soboty, kiedy znowu miałem odwiedzić Umieralnię – trzy dni. Nudnych, powtarzalnych, męczących dni.

I wtedy go zobaczyłem. Na jego kaptur zlatywały krople spadające z daszku jakiegoś call center z naprzeciwka. Był zdenerwowany i podniecony. Wyczekiwał na okazję. Ręce głęboko w kieszeniach czarnych spodni. Sprawiał wrażenie człowieka czekającego na autobus, ale nie dałem się nabrać.

Wyjąłem z szuflady certyfikat jakości i wróciłem do klienta.

– Pan wyjdzie tylnym wyjściem – powiedziałem.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Na zewnątrz stoi rabuś. Tam na przystanku – wyjaśniłem.

Odwrócił się i popatrzył przez okno.

– Zna go pan? – spytał.

– Owszem – skłamałem. Pierwszy raz widziałem go na oczy. – Pojawia się od czasu do czasu w tej okolicy. Nie jest groźny, ale kraść potrafi, to pewne.

– Może zadzwonić po policję?

– Zanim przyjadą, ucieknie. Zresztą, na razie nic nie zrobił, a trzeba byłoby go złapać na gorącym uczynku. Wolałbym jednak, żeby po prostu nie dawać mu tej szansy.

– No tak – przytaknął chłopak. – Okazja czyni złodzieja.

– Uhm. A ten pierścionek jest przecież czymś więcej niż okazją.
– Tyle że wtedy obrabuje kogoś innego.
– To już nie pana zmartwienie – skwitowałem, puszczając ku niemu oko. – Będę go pilnował.

Wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy, chłopak zapłacił i wyszedł tyłem. Oczekałem kilka minut, a potem spuściłem na okna metalowe rolety. Pochowałem co cenniejsze wystawy do sejfów, po czym zamknąłem lokal. Idąc ulicą, poklepałem złodzieja po ramieniu. Przestraszył się.

Wcale mnie to nie zdziwiło.

*

Czuję przymus otaczania się rzeczami powszechnie uznawanymi za piękne, choć dla mnie wydają się bez wyrazu. Nabyłem więc kilka kompletów porcelany, nigdy nieużytych. Na ścianach powiesiłem obrazy uznanych malarzy. Reprodukcje, oczywiście. Ustawiłem modne meble, sprzęt hi-fi oraz kino domowe. W sypialni wylądowało łóżko dla dwojga, a na nim elegancka pościel pokrywająca się kurzem, gdyż wolałem prostą, twardą leżankę oraz koc. Łazienka w jasnych, ciepłych kolorach, na półkach wymyślne kosmetyki. Pełne buteleczki. Używałem tylko wody i mydła.

Na półkach stały nieotwierane od lat książki. Dużo czytam, jednak nigdy nie wracam do raz przeczytanej pozycji. Musiałem jednak kupować od czasu do czasu, bo każdy człowiek ma syndrom zbieracza. Była też kolekcja fajek, branych od święta, którego i tak nie obchodzę.

Będąc u siebie zwykle bezmyślnie przerzucałem kanały. Jest w tym coś brutalnego – w przełączaniu. Decydowanie, kiedy jeden świat znika, a zaczyna się kolejny. I choć wiem, że to, co oglądałem wcześniej, naprawdę trwa dalej, to kocham myśleć, iż umiera nagle i bezsensownie, a ja stwarzam coś nowego jednym ruchem palca. A potem znowu to kończę, by ponowić cykl.

Przed telewizorem każdy jest panem świata i według siebie mierzy wartość czyjegoś istnienia.

Wgapiałem się w nudną i stereotypową reklamę pasty do zębów (uśmiechnięte dzieci, uśmiechnięty ojciec i matka, roześmiane szczoteczki i dziarsko paradująca po umywalce tubka pasty, a w tle idiotyczna muzyczka), ale ani myślałem zmienić kanał. Punkt dwudziesta druga na

BC1 miały zabrzmieć mocne, ponure gitary wespół z organami. Miały rozpocząć się *Opowieści Nieprawdopodobne*.

To naprawdę adekwatny tytuł. Dwójka prowadzących – przystojny, siwiejący pięćdziesięciolatek ubierający się w ciemne garnitury i młoda brunetka o nietypowej, niepokojącej urodzie – przemierzała Miasto w poszukiwaniu dziwacznych historii. Raz były to typowe ludzkie dramaty, szokujące fabuły o patologicznych rodzinach popełniających zbrodnie, w które nie sposób uwierzyć. W kolejnym odcinku – legendy z dreszczykiem, uprawdopodobniane faktami z życia mieszkańców. Kiedy indziej wywiady z przerażającymi osobami na granicy człowieczeństwa. W jeszcze innym zwiedzanie miejsc, do których mało kto chciałby wejść, często zakamarków Greki.

Ostatni odcinek opowiadał o barze Stoik. Bywałem tam kiedyś, ale już przestałem. Smutne miejsce, pełne dekadencji. Ma swój urok, lecz po jakimś czasie każdy wieczór jest podobny do poprzedniego.

Wszystko sprawiało wrażenie podkoloryzowanych historyjek; durnych opowiadań dla idiotów. Prawda była jednak taka, że rzadko kiedy twórcy programu mijali się z prawdą. Całość to kwestia konwencji – jeśli sprawia nieprawdopodobne wrażenie, to prawdopodobnie jest nieprawdopodobne. Podać fakt w kiczowatym, teatralnym sosie, by wodzić za nos publiczność – to sztuka. Ktoś tam w BC1 znalazł się na swojej robocie. Kpić z widzów w żywe oczy – ucztą dla inteligencji.

Oto i one! Dobrze znana, mroczna wejściówka – dość krótka. Chwilę potem zjazd kamery na dwa ciemne fotele, które powoli odwracają się w stronę widza. Urocza chałturka.

„Dobry wieczór wszystkim” – zaczął mężczyzna w garniturze. „Dziś nad Miastem ciemniej niż zwykle. Nadeszły burzowe chmury i nie widać gwiazd” – zawtórowała mu współprowadząca. „Idealna pora do obejrzenia kolejnego odcinka «Opowieści Nieprawdopodobnych»”.

Ekran ściemniał i niepokojąca wizualizacja wypluła ramę starego obrazu, w której ukazała się zajawka tego, o czym będzie program. Jakiś starszerek mówiący w obcym języku. Po chwili tłumaczenie: „To nie był zły człowiek. Był po prostu zagubiony. Lata temu byłem zły, iż nie stawił się na finał. Chciałem zostać mistrzem w ucziwej walce, a nie po dyskwalifikacji przeciwnika. Już wtedy wszyscy myśleli, że zwariował, ale ja nie oceniałem go w ten sposób. Zawsze był dla mnie życzliwy. Był osobą, która jakby żyła w dwóch światach jednocześnie. I czasem te światy

mu się mieszały...”. Potem kolejna osoba – „Wariat czystej wody, najprawdziwszy znaczy. Jego rasistowskie poglądy i mania doszukiwania się spisków uczyniła z niego naprawdę nieznośnego gościa. Choć momentami miewał jeszcze przebłycki geniuszu”.

Zdębiałem. Znałem kiedyś kogoś takiego. Znałem wielu takich, ale o żadnym innym nie było aż tak skrajnych opinii. Ale on już dawno nie żyje i piekło stanęło przed nim otworem. Tak się złożyło, że właśnie wtedy zaczął się mój czas tutaj. Tym, kim jestem, stałem się właśnie w tamtej chwili... Jego śmierć zmieniła wszystko, co mnie określało.

„Nie pragnął zrewolucjonizować gry. On chciał ją zwyczajnie cofnąć do początku, aby dalej cieszyła. Odświeżyć formułę, która się zestarzała. Ludzie znali początkowe kombinacje na pamięć, końcówki również można było przewidzieć. Według niego nie pozostało w tym nic szlachetnego, nic inteligentnego, a wręcz pozwalało to zapomnieć o myśleniu, skupić się na wyuczonych schematach. Straciło urok” – ciągnął starzec.

„Szachy” – dodał drugi.

„Bobby Fischer” – powiedział ktoś jeszcze.

Wizualizacja się skończyła i kamera ponownie wróciła do studia, gdzie gospodarze programu palili cygara i sączyli whisky z lodem. Siedziałem skonfundowany, nie mogłem nawet mrugnąć. Patrzyłem w ekran, ale nic nie widziałem.

Bobby Fischer – wielki arcymistrz i geniusz szachowy. Człowiek niespełna rozumu, pełen sprzeczności, a w jakimś sensie artysta gry. Wirtuoz. Były mistrz świata. Ten, który odmienił moje życie, choć nie życzyłem sobie tego.

Resztę programu obejrzałem, drżąc. Jednak dopiero koniec spowodował, że pierwszy raz od wielu lat poczułem co to znaczy prawdziwa ekscytacja.

„Dzisiejszy program był zaledwie przedsmakiem przed prawdziwą ucztą, która nastąpi już niebawem. Mamy dla Państwa nie lada gratkę. Pamiętacie Georga W.? Mężczyznę, którego odwiedzają najprawdziwsze duchy? Oglądaliście go niecały rok temu w naszym programie” – powiedział prowadzący. „Już niedługo jeden z was, drodzy widzowie, będzie miał okazję zmierzyć się ze zmarłym mistrzem za pośrednictwem naszego medium” – uzupełniła kobieta. „Aby dostąpić tego zaszczytu, którego nie miał arcymistrz Karpow, wystarczy wysłać wiadomość tekstową pod numer prezentowany na dole ekranu, a potem mieć szczęście

w losowaniu...”.

Nie czekałem już dłużej. Musiałem tam być. To była jedyna szansa, żeby wszystko wróciło do normy.

Dom w końcu ożył.

*

Po pracy nie potrafiłem usiedzieć w miejscu. Wracalem do domu, jadłem, a potem ruszałem w Miasto. Szedłem do Greki, do wesołego miasteczka. Następnie z powrotem do Dzielnicy Centralnej, rozciętej na pół przez koryto rzeczne. Lewobrzeżną część aglomeracji z prawobrzeżną łączy czternaście mostów, ale tylko jeden mnie interesował. Dla postronnego oka nie było w nim nic ciekawego. To jedyny most, na którym za dnia nie ma korków, w nocy nikt nim nie chodzi. Ludzie w jakiś niepojęty sposób go omijają. Jeśli nie muszą, nie korzystają z niego. Być może się boją. Kilkanaście lat temu właśnie tutaj, w odstępie kilku miesięcy, powiesiły się trzy osoby. Sami młodzi mężczyźni, na progu prawdziwej dorosłości. Wszyscy z dobrych rodzin, spokojni, opanowani. Każdy miał kogoś. Planowali przyszłość. Aż nagle skoczyli, jeden po drugim, by zawisnąć i złamać kark na pętli. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało.

Potem wszystko ustało. Sprawa ucichła, a ludzie otrząsnęli się z szoku. Detektywi odesłali akta do archiwum. Po jakimś czasie wszyscy wyparli to z pamięci. Mimo wszystko unikają mostu. Gdzieś podskórnie czają się te wspomnienia, niczym pędraki wyżerające mięso – ozywają, gdy mieszkańcy są blisko tego miejsca.

Swoje miano zawdzięcza jednak wydarzeniu, które nastąpiło kilka lat po tym wszystkim, kiedy jeszcze jedna osoba skoczyła zeń w toń ciemnej, płytkiej wody. Od tamtego czasu wszyscy znają to miejsce jako most Samobójców.

Przychodziłem tam, by odciąć się od wszystkiego. Spokój, cisza, brak natrętnych spojrzeń. Tu bezdźwięcznie oddycha ulga, a z dołu dochodzi tylko nieznaczny szum wody, płynącej majestatycznie, bez pośpiechu. Przy pełni księżyca można zobaczyć kamieniste dno – płytkie i zdradliwe. Stąd rozchodzi się piękny widok na obie części Miasta. Widać też mgłę parującej wilgoci. To z obu zanieczyszczonych brzegów, gdzie kucharze wylewają pomyje, którymi nie nakarmiliby nawet psa. Wszystko pachnie

kadzidłem.

Tym razem jednak nie potrafiłem się wyciszyć. Moje myśli wciąż krzyczały, oszalałe z podniecenia. Chwyciłem się za głowę i desperacko spróbowałem je wydrapać, ale jedyne, co osiągnąłem to dodatkowy ból oraz krew pod paznokciami.

Poszedłem więc dalej, aż trafiłem na Rynek. Wokół tłum – głośnie noc, radosne okrzyki i entuzjazm. Ludzie wylewali się z klubów. Gromadzili się wokół straganów, na których za dnia kwiaciarki sprzedają tandetę wyhodowaną poza Miastem, w ogródkach działkowych. W noc, taką jak ta, można było kupić tu miłość.

Była taka zabawa – chętni wrzucają do koszyków karteczki ze swoimi imionami, oddzielnie kobiety, oddzielnie mężczyźni. Do trzeciego koszyka trzeba wrzucić datek. Potem swaci losują pary. Jeśli jakaś dwójka spodoba się sobie, idą na kolację w najbliższej restauracji za zebrane w zabawie pieniądze. Gdy dobierze się więcej par, zawartość trzeciego koszyka jest dzielona równo pomiędzy uczestników. W przypadku, gdy nikt nie przypadnie sobie do gustu, wszystko zgarnia swat.

Gazety pisały o tych, których związki zaczęły się właśnie w ten sposób. Stragany zyskały sobie sławę i popularność. Grali tam wszyscy odważni, a ci, którym wstyd nie pozwalał, przypatrywali się z boku pełni oburzenia, ale i zazdrości.

– Karteczki! Rozdaję karteczki do gry! – nawoływała atrakcyjna dziewczyna w rudawych, długich włosach zaczesanych w modną fryzurę.
– Karteczki! Zagrajcie z nami!

Wystarczył mi jeden rzut oka, by rozpoznać w niej fałsz. Jej usta się śmiały, ale na dnie oczu czaiło się znużenie. Ruchy dla postronnych figlarne, dla mnie raczej wyrachowane. Słowa, które rzucała w kierunku podpitych chłopaków pozornie flirciarskim tonem, w gruncie rzeczy ociekały ironią. Ona zarabiała, zabawiając tłumy, kusząc ludzi, żeby zagrali. Nie miało to nic wspólnego ze swataniem.

Jednak jakoś wcisnęła mi papierek. Różowy, z serduszkami na rogach, typowy.

– Długopis znajdzie pan na straganie – dodała.

Tłum popchnął mnie w tamtym kierunku i po chwili, nie wiedzieć jak, moja kartka znalazła się w koszyku.

– Teraz tutaj – przypomniał mi drugi swat.

Uśmiechnąłem się kpiąco. Nie mogłem się już wycofać. Wyjąłem kilka

monet z portfela i wrzuciłem je niedbale. Miałem zamiar zniknąć, ominąć gapiów i pójść gdzie indziej, ale odwracając się, ujrzałem ją.

Rzadko kiedy widzę kobietę. To znaczy – rzadko kiedy widzę prawdziwą kobietę.

Kobieta to ktoś, kto stojąc, wydaje się iść, podczas gdy inni po prostu stoją. To nie ma nic wspólnego z urodą, z tuszą, z ubiorem ani też z wiekiem. To coś oślepia i ogłupia. Kobieta to najpiękniejsze boskie dzieło, a zarazem najcenniejsza zdobycz mrocznych sił.

Zatrzymałem się w pół kroku, by wlepić w nią wzrok. Odwzajemniła spojrzenie. Nie potrafiłem odgadnąć, co chowa się za tymi niebieskimi oczyma. W dłoniach trzymała różową kartkę. Zerknęła na nią, a potem znowu na mnie. Chwilę później zdecydowanym krokiem podszła do stoiska i miękkim, lekkim ruchem położyła swój los pośród innych.

– Brak wolnych miejsc! Komplet – krzyknął mężczyzna. Gestem przywołał swatkę. Była zmęczona i poirytowana, ale sięgnęła do koszyków.

Pierwsze dwa imiona. Nie moje, nie jej. Dwójka młodych ludzi, świeżo po maturze. Jedno spojrzenie i podziękowali sobie za udział. Potem kolejni. Znowu nie my. Ci także nie spodobali się sobie nawzajem. Następni – jeszcze jedna rezygnacja, piąta para zwyczajnie nie odpowiedziała na nawoływania swatów.

Wreszcie moje imię. Powoli wyszedłem na środek.

I ona. Jest. Podeszła równie niespiesznie, a ja poczułem, że krzyczące szaleńczo myśli ucichły i nareszcie wszystko wróciło do normy.

– A jak państwo? Skusicie się? – pyta swat.

– Tak – odpowiedziałem krótko.

– Tak – potwierdziła.

– Gratulujemy! – i tłum zapiszczał z wrażenia. – Proszę, oto państwa nagroda! Bon na całą zebraną kwotę z koszyka do wydania w restauracji „U Anioła”!

– Chcielibyśmy wybrać się w inne miejsce, jeśli to nie problem – powiedziała.

Prowadzący grę zgrzytnął zębami. Zapewne chciał zgarnąć forszę do kieszeni, bo i tak miał podpisaną umowę z lokalem. Stragany miłości to świetna reklama dla restauratorów, w dodatku stosunkowo niedroga.

– Oczywiście, proszę bardzo, szanowna pani. Życzymy udanej randki.

Wzięła mnie pod rękę i pociągnęła. Odeszliśmy parę kroków,

w milczeniu przeszliśmy przez hałaśliwe zbiegowisko w boczną uliczkę, gdzie słycać już było tylko stukot jej obcasów. To jeden z najprzyjemniejszych i najbardziej kobiecych odgłosów, jaki znałem.

Nie interesowały jej mijane kluby ani kawiarniane parczki otwarte do późna. Prowadziła mnie prosto przed siebie, aż wyszliśmy z Centrum i ujrzałem postój taksówek. Wreszcie zdecydowałem się zapytać:

– Dokąd więc chciałabyś pójść?

– Do domu – odparła. – Do mojego domu.

Uniosłem brwi w geście zdziwienia.

Wyjęła czarny, skórzany portfel i szybko przeliczyła pieniądze ze straganiarskiego koszyka.

– Oto twoja połowa – wcisnęła mi w dłoń plik banknotów.

– Słucham?

– Nie bierz tego do siebie – wyjaśniła. – Nie potrzebuję randki, więc podzielimy się nagrodą.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, wsiadła do żółtego samochodu, który ruszył z piskiem opon. Stałem przez kilka minut zdumiony, nie mogąc pojąć, co się właśnie stało.

Oddałem pieniądze pierwszemu napotkanemu żebrakowi i poszedłem do siebie. Ból krzyczących myśli powrócił.

*

Kolejna powtórka *Opowieści Nieprawdopodobnych*. Ta twarz Fischera jest jak z sennych koszmarów – napięta, pełna furii, ale i wyrażająca bezgraniczną pasję. I coś na wzór zdziwienia. Rozluźnia się tylko, gdy mistrz pochyla się nad szachownicą. Jego całe ciało uczestniczy w wykonywaniu ruchu figurą. Grają mięśnie ręki, wtóruje im tułów. Nawet nogi ustawiają się, jakby do startu w jakimś biegu. Te szachy to w jego wykonaniu coś dynamicznego. Coś, co porywa każdą komórkę. Oraz coś znajomego, coś stałego i pewnego. To wybawienie, chwilowa ulga. Od czego? Od własnych myśli? Od tragizmu życia? Od innych? Od siebie?

Wziąłem ośmiościenną kostkę do gry i rzuciłem kilka razy, ustawiając bierki szachowe nie w tradycyjnej kolejności, ale tak, jak wypada na kości. Dla każdej figury oddzielny rzut. Biała wieża na f1, czarna na przeciwległym końcu, druga para na kolumnie h, pomiędzy nimi król. Gońce na b i e, skoczki obok siebie na c oraz d, a hetman w samym rogu.

Piony na drugiej oraz siódmej linii, bez zmian.

Tak zwane szachy Fischera. Funkcjonują również pod nazwą szachów losowych. Od standardowej odmiany szachów odróżnia je to, iż ustawienie figur jest zawsze inne (poza jednym wyjątkiem). Istnieje 960 kombinacji początkowych, w tym ta doskonale znana wszystkim. Kolejną odmianą jest to, że przez ową losowość właściwie nie sposób ułożyć jakiegokolwiek repertuaru otwarć. Tym ważniejsza staje się więc inteligencja graczy oraz wyobraźnia przestrzenna. Jak się ustawić, by osiągnąć jak najwięcej korzyści oraz utrudnić grę przeciwnikowi? Bez schematów większość zawodników potrafi się zgubić.

To właśnie tą odmianą szachów Fischer starał się przywrócić rozgrywce dawną chwałę. Czemu się nie udało? Diabli wiedzą...

Seans gry z samym sobą. Ćwiczenie przed meczem. Przed chwilą oddzwonili do mnie z BC1. Zostałem wylosowany do drugiego etapu kwalifikacji do programu wraz z dziewięcioma innymi osobami. Mam pokonać ich w turnieju, a spotkam się na antenie z medium reprezentującym zmarłego mistrza.

Rozgrywka z samym sobą nie przynosi satysfakcji. Owszem, można analizować ruchy, układać strategię, przygotowywać sztuczki czy wyrafinowane pułapki, ale nie ma przyjemności. Poza tym, koniec końców, przeciwnik, tak czy siak, zawsze jest w stanie czymś zaskoczyć, niezależnie od tego, ile wariantów się przerobiło.

Mimo wszystko szachy to nie losowa gra. To typowa kalkulacja. Wiele można przewidzieć, ostatecznie kombinacji jest skończona liczba, choć jest ich ogrom. W szachach chodzi jednak o kontrolę, o wiedzę o tym, co może zrobić oponent. Nic w szachach nie jest ukryte, wszystko widać jak na dłoni. Grunt to wiedzieć, jak i gdzie patrzeć.

To gra dla tych, którzy wygrywają, zanim jeszcze zasiądą do stołu.

Wyszedłem do Greki, do Umieralni. Był środek tygodnia, ale nie mogłem dłużej wytrzymać. Potrzeba było mi kogoś, na kim mógłbym skupić uwagę. Kto mógłby mnie rozproszyć choćby na chwilę, ale tak, abym nie zapomniał, co i tak będę musiał zrobić.

W domu starców powitali mnie ze zdziwieniem. Moja obecność wywołała pełną zakłopotania krzątanię. Nie wiedzieli, co dać mi do roboty. Urocza pielęgniarka, nazbyt urocza jak na mój gust, zadała mi niezobowiązujące, głupiutkie pytania, kupując personelowi czas do namysłu. Gdzie mnie umieścić? Do kogo wysłać? Wyłamałem się

z rutyny, swojej, ich. Jestem wypadkiem, który nie powinien się zdarzyć w takim miejscu, gdzie wszystko jest przewidywalne.

Przez chwilę rozmawiałem z kobietą, ciesząc się jej nieporadnością. Brak wspólnych tematów, gderania o pogodzie. Na pytanie, czemu przychodzę teraz, odpowiedziałem:

– Wiatr mnie przygonił.

Pokiwała głową z udawanym zrozumieniem. Prawdę mówiąc, ja także nie wiem, o co mogło mi chodzić.

Uciałem rozmowę propozycją, iż dobrym pomysłem byłoby, abym porozmawiał z pacjentami.

– Być może przyda się im towarzystwo, a ja i tak nie mam nic do roboty – dodałem.

– Och, właśnie są godziny odwiedzin.

– Więc na pewno ktoś jest samotny.

Pielęgniarka uśmiechnęła się. Wzięła mnie za dobrodusznego, troskliwego. Nie miałem nic przeciwko, aby tak mnie widziała.

Wpierw pokój 103 – do dwójki kłócących się starców. Leżeli zgodnie każdy na swoim łóżku. Czytali.

– Grzejnik chyba nie przeszkadza, panowie?

Rozbawiło to ich. Mieli zupełnie inne oblicza niż te, do których się przyzwyczaiłem – pełne radości, rozpromienione.

– Miło, że pan wpadł – podziękował Mariusz K.

– To już druga wizyta u nas dzisiaj – dopowiedział Zenon N.

– To naprawdę cudowne, że ludzie przychodzą do mnie, zanim umrę – westchnął mężczyzna z lewej części salki.

– Niech pan da spokój, pan nigdy nie umrze. Przychodzę co tydzień i za każdym razem wygląda pan lepiej niż wcześniej – powiedziałem.

– Ten pryk? Lepiej?

– Oj, Zenek, w takie dni jak ten nawet cię lubię.

Zaśmiali się szczerze.

– Ale co pana przygnało? Toć to nie weekend.

– Grają panowie w szachy?

– Ja gram w pokera.

– A ja w warcaby.

– Nie, nie. Szachy. Poker to zwykły hazard, nie ma się rzeczywistego wpływu na przebieg rozgrywki, zbyt wiele niewiadomych. A warcaby są zbyt proste – wyjaśniłem.

– Czytałem kiedyś, że gdyby urządzić partię warcabów z szachami, niechybnie wygrają warcaby – wspomniał Zenon.

– Bo mogą bić wielokrotnie – Mariusz kiwał głową. – I potem przeskakują zgrabnie pola. Tak, to możliwe, stawiam wszystko, że tak właśnie by było.

Nagle doszedłem do wniosku, że irytuje mnie ta dwójka. Nie tutaj chciałem przyjść. W gruncie rzeczy nie musiałem nawet zachodzić do nich. Prawdziwy powód, dla którego tu jestem, leży kawałek dalej.

– Idę – klepnąłem dłonią o udo, po czym wstałem.

– No i coś narobił? – spytał drugi starzec. – Wystraszyłeś nam młodzika.

– Kto wie, czy nie jestem starszy niż wy obaj razem wzięci?

– No cóż, może w takim razie powinien pan leżeć tu zamiast nas?

Spojrzałem gniewnie na obu. Potem odwróciłem się i otworzyłem drzwi.

– I po kiego czorta żeś to powiedział, Mariusz?

– Czort wie, Zenek.

Czort wie, podłe sukinsyny – przekląłem w myślach.

Poszedłem dalej, podenerwowany. Uspokoilem się dopiero, gdy wszedłem do salki Z.W. Starzec leżał bezwładnie z rękami ułożonymi na piersi – jak w trumnie. Jednak nie był martwy, a na swój sposób bardziej żywy niż ja sam. Oczy zaśmiały mu się na mój widok.

– Będę grał z Bobbym Fischerem – oznajmiłem.

Nie zrozumiał, więc opowiedziałem o *Opowieściach Nieprawdopodobnych*, o turnieju.

– Przyszedłem, bo ze wszystkich, z którymi miałem okazję grać tutaj w szachy, pan jest najlepszy.

Odwrócił wzrok, zawstydzony.

– Niech pan nie zaprzecza – dodałem. – Nigdy pan nie wygrał, ale przynajmniej jak pan przegrywał...

Uśmiechnąłem się. W tamtej chwili zdałem sobie sprawę, że lubię tego człowieka. Nie mogłem tego powiedzieć o nikim innym. Nawet o sobie.

– Pograjmy – zaproponowałem. – Muszę poćwiczyć przed spotkaniem z nieboszczykiem. Niech mnie pan dziś czymś zaskoczy, proszę.

Rzadko kiedy kogoś o coś proszę, bo zwykle po prostu biorę to, co mi się należy. Złapałem się jednak na wspomnieniu dziewczyny z miłosnych straganów. Jakimś cudem nie mogłem jej mieć.

Rozłożyłem planszę i zaczęliśmy. Staruszek wystartował ostro i chciwie. Partia na wyniszczenie. Wszedłem w to. Najwyższe tempo, wojna błyskawiczna. Wygrywa ten, komu uda się schować cokolwiek przed żarliwością przeciwnika. Nadal nie mogłem wyjść z podziwu – ten mężczyzna potrafił grać dosłownie wszystko. Choć preferował długie, pozycyjne strategie i zwykle nie spieszył się, dziś narzucił wprost szaleńcze tempo. To już nie szachy, a wyścig.

Figura za figurę, króle za zasłonami roszad, pozornie bezpieczne w swoich zamkach, ale już za chwilę tam przeniesie się akcja. A podobno to mało spektakularna gra. Wprost przeciwnie – to sport, w którym zdecydowanie najwięcej się dzieje.

I wreszcie jego hetman trafił w pułapkę. Chytre przesunięcie gońca. Zyskałem piona, dałem szacha. A także wystawiłem hetmana Z.W. na pastwę wieży. Król musi bić gońca. Hetman był stracony w najprostszy z możliwych sposobów. Gdyby ta partia nie miała tak szaleńczego tempa, staruszek z pewnością zauważyłby mój podstęp.

Chwilę później był już szach mat. Król padł. Mężczyzna znowu grał świetnie.

Znowu przegrał.

Wtedy z progu doszedł nas kobiecy głos.

– Cześć, tato.

Spojrzeliliśmy w tamtą stronę. Znana nam obu kobieca twarz. Na ramieniu torba z owocami. Na nogach buty na średnim obcasie. W oczach zdziwienie.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Cóż... Nie musiałaś wydawać pieniędzy na taksówkę. Przywiózłbym cię tutaj swoim autem.

*

Wyglądała jak wcielony wstyd, siedząc tak naprzeciwko. Mimo zakłopotania patrzyła mi prosto w oczy, dając do zrozumienia, że wewnątrz jej duszy dalej tli się duma.

– Nie chciałam cię wczoraj urazić – powiedziała. – Zdawałeś się obeznany z całą sztuczką.

– Nigdy wcześniej nie bawiłem się na straganach – wyjaśniłem.

– Rozumiem. Po prostu się pomyliłam. Nie można dawać satysfakcji

tym oszustom. Całą kasę biorą do kieszeni i nikt nie zyskuje. A to przecież konkurs. Muszą znaleźć się zwycięzcy.

- Oddałem swoją część jakiemuś człowiekowi na ulicy.
- Och – policzki jej zapłonęły, a oczy rozbłysły.
- Nie dość więc, że nie wygrałem randki, to także i pieniędzy.
- To drugie było już twoim wyborem.

Pokiwałem głową.

– Słuchaj, czuję się głupio i przepraszam. Wiem, że zepsułam to, ale naprawdę potrzebowałam tej forsy.

- Rozumiem. Dla ojca?
- Dla ojca.

Kelner przyniósł kawę. Wyjąłem portfel i gestem dłoni uciszyłem jej sprzeciwy.

- Skąd go znasz? – zapytała.

Chrząknąłem i upiłem łyk hutta. Ta cudownie mocna i aromatyczna kawa podobna do espresso, ale lekko zabieleną śmietanką, dosłodzona była tym razem syropem malinowym.

- Z Umieralni.
- Nie lubię tej nazwy.
- Bądź spokojna. Odkąd tam przychodzę, jeszcze nikt nie umarł.
- A długo przychodzisz?
- Jakiś czas...
- Jesteś jakimś cudotwórcą? – zaśmiała się.

– Myślę, że mnie przeceniasz – uśmiechnąłem się półgębkiem. – Robię tam tylko dobre uczynki. Może samo to jest czymś w rodzaju cudu, który przyciąga inny cud, ale to prawda. Odkąd tam przychodzę, nikt nie umarł.

- Więc spławiłam prawdziwego świętoszka?

Zachłysnąłem się, ona zaś wybuchła niepohamowanym śmiechem.

– Teraz to już na pewno mnie przeceniasz – powiedziałem pomiędzy jednym a drugim napadem kaszlu.

- To z tobą gra w szachy?

Kiwnąłem głową.

- Jest wytrawnym graczem – stwierdziłem.

– Ogromnie cieszą go te partyjki – zagadnęła, upijając cappuccino. – Mówi, że jeszcze z tobą nie wygrał, ale powoli cię rozgryza. Kazał nawet mi poszukać informacji, czy nie jesteś aby zawodowcem.

- Jestem – wypaliłem.

– Och... – zdziwiła się. – Nic na ten temat nie znalazłam...

– Nigdy nie grałem rankingowo, jeśli o to pytasz. Nie brałem udziału w turniejach. Grywałem tylko mecze szachowe z pojedynczymi przeciwnikami. Ale było ich bardzo wielu.

– Jak dużo?

– Nigdy byś nie uwierzyła.

Wydeła usta w dzióbek. To był dziwny, ale uroczy gest. Po raz pierwszy zobaczyłem ją rozluźnioną i odprężoną. Gdzieś ulotniła się niepewność oraz napięcie. W domu starców była spięta, niezbyt rozmowna. Podała tylko ojcu siatki z prezentami, obrała jabłko ze skórki i nakarmiła go. Resztę poukładała w szafkach, które zamknęła na klucz. Włożyła go pod poduszkę i nakazała mężczyźnie, by prosił jedną z zaufanym pielęgniarce, kiedy będzie czegoś potrzebował. Zaskoczeniem było dla mnie pudełko ze staromodnymi kasetami, na których, jak wyjaśniła, nagrano audycje satyryczne z radia. Staruszek uwielbiał ich słuchać, ale rzadko kiedy miał okazję. Odbiornik w jego salce był za daleko, a nawet gdyby stał bliżej, nic by to przecież nie dało. Na dodatek radio grało tylko wtedy, gdy wrzucano do niego monety. Na tej samej zasadzie działał telewizor.

– I jak on na tym tle wypada?

– Wie, że jest dobry. Nawet przegrywając jest świetny. Czasem wydaje mi się, jakby przewidywał moje ruchy, ale nie potrafił tego wykorzystać.

– Tak – odparła. – To do niego podobne.

Wyjęła papierosa z czerwonej paczki. Trzymała go lewą dłonią, tak jak powinno się to robić. Wielu ludzi pali w prawej, zupełnie bez sensu. Prawą wita się z innym. Prawą okazuje się szacunek.

– Masz kogoś w ośrodku? – spytała.

– Nie, jestem tam wolontariuszem.

– Słucham? – była naprawdę zdumiona. – Chcesz mi powiedzieć, że przychodzisz tam dobrowolnie i za darmo? Albo naprawdę jesteś świętoszkiem, albo lubisz patrzeć na cierpienia innych.

Zamilkłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– „Czyń życie trudniejszym. To łatwiejsze do zrobienia” – powiedziała, a gdy spojrziałem zdziwiony, wyjaśniła. – To przysłowie z Greki.

Potem milczała i zrozumiałem, jak bardzo nie ufa słowom. Nauczyła się mówić, słowa były jej narzędziem, ale najchętniej by milczała. Pozwoliłem więc jej palić; łapczywie, dymiąc jak smok. Chmura ulatywała

w górę i zbierała się pod kopułą rozłożystego parasola. Był zielony z logo Czapli, miejskiego browaru.

Z lokalu dobiegała punkowa muzyka – ostatnio znowu modna i znowu zaangażowana. Skończyły się czasy taniej papki o niczym. Nastąpił powrót do tematów politycznych, społecznych. Nadeszły generacje odrodzenia przeszłości, których atrybutem był brudny, gitarowy bunt.

Wreszcie, zupełnie bez powodu, powiedziała:

– Jest taki pub, Babilon. W czwartki wieczorem puszcza punk rocka ze starych dobrych lat. Mnie nie było jeszcze na świecie, a ty musiałeś być jeszcze dzieckiem.

– Doskonale pamiętam te czasy – odparłem.

– Naprawdę? To co? Sprawdźmy, jak tam z tymi twoimi wspomnieniami?

Sięgnąłem po paczkę leżącą na stole. Nigdy wcześniej nie paliłem papierosów, ale uznałem, że to chyba odpowiednia chwila, by zacząć.

– To zaległa randka? – rzuciłem pozornie niedbale.

Przygryzła wargę i nie odezwała się. Nie musiała.

Zawsze biorę to, co chcę.

*

W sklepie było spokojnie. Na zewnątrz padał rześisty deszcz i nikt nie wyściubiał nosa z mieszkań. Polerowałem złoto, nie myśląc o niczym. Czuję wszechogarniający spokój, ciepły jak nigdy dotąd. Rozkoszowałem się tym uczuciem wiedząc, że jest krótkotrwałe. Nigdy wcześniej nie mogłem pozwolić sobie na taki komfort. Chwilo, trwaj, jesteś piękna.

W radiu puszczały cliche kawałki, komponujące się z kroplami bijącymi o szyby. Świat zwalniał, tonął w beczasie. Nabierał oddechu przed dalszym trwaniem. Tylko jakiś kot miauczał za drzwiami, przerażony spadającą z nieba wodą. Podeszedłem i spojrzałem na niego przez szybę. Cały czarny, mały, szukający schronienia. Przemoczony, rozpaczliwie wlepił we mnie żółte, sprytne ślepie. Jest coś ludzkiego w kocim wzroku, jakaś nadzieja na zrozumienie, przenikliwość.

Otworzyłem, a kociak wbiegł do środka, robiąc mokre plamy na niedawno umytej podłodze. Skulił się w kącie. Pozwoliłem mu otrząsnąć się i uspokoić. Z zaplecza przyniosłem spodeczek i nalałem trochę wody.

Na drugi skroilem kawałki wędliny. Obwąchał je, a potem rzucił się łapczywie. Niezbyt zadbany, ale też niespecjalnie wygłodzony. Uliczne kocięta mają szczęście – zawsze znajdzie się ktoś, komu spodoba się na tyle, że zaprosi je do siebie, nakarmi. Żaden dzieciak nie przepuści okazji, by choć pogłaskać futrzaka. Wcześniej jednak trzeba zwierzę przekupić pełną miską.

– Nie wezmę cię – powiedziałem na głos, pomimo iż kot zajęty był pochłanianiem zawartości spodeczków i ani myślał mnie słuchać. – Nie chcę się tobą opiekować, a zresztą już niedługo mnie tu nie będzie. Wracam tam, gdzie moje miejsce.

Schyliłem się i pogłaskałem czarną sierść. Maluch zaczął mrużyć. Był głośniejszy niż muzyka płynąca z radia.

Wstałem, by spojrzeć prosto w lufę wycelowanego w moją głowę pistoletu. Popularny Szuler 6.52, czyli Zeuller na naboje parabellum. Broń policji i każdego szanującego się przestępcy.

Robię się nieostrożny – pomyślałem, czując suchość w gardle. – Jak on się tu dostał?

– Zostawiłeś otwarte drzwi dla tej kupy futra – wyjaśnił złodziej, jakby słysząc moje niewypowiedziane pytanie. To ten sam typ, któremu parę dni temu nie pozwoliłem okraść klienta. – Bierz torbę i pakuj wszystko, co masz.

Rzucił mi pod nogi pojemny plecak. Kot spłoszył się i syknął, jednocześnie oddalając się w głąb sklepu.

– Niezły awans – zakpiłem. – Wczoraj jeszcze zwykła uliczna menda, szperająca po kieszeniach przechodniów, a dziś pełnoprawny złodziej z planem obrabowania jubilera.

– Zamknij mordę, skurwysynu!

– Wiem, że nie naciśniesz spustu – prowokowałem dalej.

– Naprawdę chcesz sprawdzić?

Odciągnął kurek półautomatu i przystawił mi lufę do czoła. Czułem, jak pistolet trząsł się w jego dłoni.

– Mógłbym teraz zagrać standardową śpiewką, że nie masz do tego jaj... – kontynuowałem. – Albo mógłbym...

Uśmiechnął się półgębkiem i machnął głową. W tym geście było zdenerwowanie i napięcie. Tak naprawdę nie do końca wiedział, co robi.

Płynnym, szybkim i niespodziewanym ruchem chwyciłem go za nadgarstek. Drugą dłonią złapałem lufę i wykręciłem do góry. Pod jego

nogi podstawiłem swoją i prostą dźwignią przechyliłem go na bok. Wywrócił się, padł na twarz. Bez świadomości tego, co się stało, odwrócił się na plecy. Spojrzał wprost na swoją własną broń, tym razem wymierzoną w niego.

– Albo mógłbym po prostu rozsmarować twój mózg na podłodze – dokończyłem.

– Poczekaj...

Klang. Szczęk naciśniętego cyngla, uwolnionego kurka.

Czas znowu zastyga, jakby nic się nie stało. Faktycznie, nic się nie stało. Pistolet nie strzelił.

– Kurwa... – spojrzałem na niego poirytowany. – Nawet nie naładowałaś broni?

Patrzyłem, jak zrywa się na nogi i wybiega z lokalu. Gdy zniknął w bocznej uliczce, odwróciłem się i zacząłem uspokajać kota.

– Może jednak cię zatrzymam – szepnąłem.

Zamknąłem drzwi, spuściłem kraty na witryny, opróżniłem półki i włożyłem biżuterię do sejfów. Wychodząc tylnym wejściem, sprawdziłem magazynek Szulera.

Był pełny. Dwadzieścia pieprzonych kul ołowianej śmierci. Wymierzyłem w niebo i strzeliłem.

Ciasno rozmieszczone budynki na zapleczu odbiły huk. Na chwilę straciłem słuch. Gdy go odzyskałem, zacząłem nasłuchiwać policyjnych syren, ale nie doczekałem się. Nikt się nie zorientował, ściany wytłumiły hałas.

Wyrzuciłem broń do śmietnika, nie dbając o odciski palców.

– Pieprzone życie – wybąkałem, wychodząc na ulicę.

Kot gdzieś uciekł. Nie zdziwiło mnie to.

*

Wyglądała tak, jakby nie potrzebowała mężczyzny. A każdy mężczyzna w barze sprawiał wrażenie, jak gdyby koniecznie potrzebował jej.

Zrobiła wielkie wrażenie, wchodząc do Babilonu ubrana w luźną, czarną sukienkę, okryta ciemną skórzaną kurtką. Zwykłe, proste buty (tym razem na płaskiej podeszwie), były dopasowane do całego stroju, a dość spora, choć nierzucająca się w oczy torebka nie przeszkadzała. Włosy

spięte w kucyk, flirciarska obojętność wypisana na twarzy, ten dystans, do jakiego zdolne są tylko kobiety – całość robiła wrażenie.

Nagle poczułem się znowu istotny, znowu w centrum wydarzeń. Coś działało się dookoła, coś, czego byłem źródłem oraz powodem i smakowało to wysublimowaną pikanterią. Przecież to ja, a nie kto inny, siedziałem z nią przy stoliku. A ją, właśnie ją, wszyscy zdawali się ją znać.

– Widzisz tego barmana? – zapytała. – Nie pije alkoholu.

– Naprawdę? – udałem zainteresowanie, choć tak naprawdę nie obchodził mnie nikt inny prócz niej. – To dziwne.

– Uhm – przytaknęła. – Był tu kiedyś taki. Nie zabawił długo.

Z głośników popłynęła zaczepna rockowa muzyka.

– Myślę, że w piekle mają najlepsze drinki – oznajmiła, a moje zainteresowanie jeszcze wzrosło. – Choć te tutaj też nie są złe. Postawisz mi coś?

– Z przyjemnością – przytaknąłem.

– Ale co my tam wiemy? Nigdy nie byliśmy w piekle – podniosła swój kieliszek, kiedy tylko barman go przyniósł i przepiła do mnie. Powtórzyłem gest, jednak odpuściłem toast.

Rozejrzałem się wokoło. Klub nie był ani za jasny, ani za ciemny. Nie wyróżniał się specjalnym wystrojem czy klientelą. Był jednym z wielu barów, gdzie można było przysiąść w nocie takie jak ta. Jediną nietypową rzeczą była dziewczyna krzątająca się po sali od jednej grupki do drugiej.

– To dama stolikowa – powiedziała moja towarzyszka.

– Przepraszam?

– Zauważyłam, że na nią patrzysz – wyjaśniła. – To dama stolikowa. Pracownica. Zabawia ludzi, aby chętniej kupowali alkohol.

Spojrzałem uważniej na przechodzącą.

– Jest w niej coś dziwnego. Ma w sobie jakiś smutek i zapowiedź czegoś złego...

Przerwał mi perlisty śmiech.

– Wszystkie są takie, możesz mi wierzyć. Ale nie mów, że po jednym rzucie okiem jesteś w stanie poznać takie rzeczy? – usłyszałem.

– Śmiało, śmiało! Kpij sobie – pochyliłem się nad ławą. – Nie można nawet zerknąć na bok. Nic nie umknie twojej uwadze!

– Hej, hola! Dziś jesteś moją randką.

– Zaległa.

– Winna! I winna! Jeszcze jeden kieliszek!

Podobała mi się jej zadziorność. Była szczerą i na swój sposób prostolinijną. Zrozumiałem, że nie jestem w stanie odgadnąć tej kobiety. Owszem, mogę wstecz poukładać w logiczny ciąg jej słowa, czyny, zachowanie. Potrafię połączyć to w spójną, uzasadnioną całość, powiedzieć, co z czego wynika i dlaczego, ale nie dam rady niczego przewidzieć. Aby cokolwiek, co robi, stało się jasne, ona wprawdzie musi to zrobić.

Wypiłem za to. Piwo smakowało odpowiednio gorzko, a The Smash, nowa kapela z Miasta, grająca depresyjnego, pełnego żółci punk rocka, rozgrzewała salę. Kilka osób tańczyło już na środku knajpki.

Wyciągnąłem ją na parkiet, choć początkowo opierała się. Miałem diabelną ochotę zatańczyć. Tańczyć tak, jakbym stąpał po rozżarzonych węglach piekielnych, jakby z nieba spadały ogniste kule. Tak, jakbym tonął w lawie, miotał się na wszystkie strony, wrzeszcząc z bólu i płacząc ze szczęścia.

Pokręciła się dookoła mnie i zniknęła. Zanim się zorientowałem, że nie mogę jej znaleźć, minęło trochę czasu. Przebiłem się przez tłum ludzi, na w połę zawiedziony oraz w jakimś stopniu zmartwiony (nigdy wcześniej nie martwiłem się o nikogo oprócz siebie), wróciłem na nasze miejsce.

Siedziała tam, sącąc piwo przez słomkę, z nogą założoną na nogę. Odprężona, bezlitośnie i bezczelnie beztroska. Posłała mi jedno z tych spojrzeń, które potrafią posyłać tylko kobiety.

– Wiesz – zacząłem. – Wiesz, ostatnio na każdym kroku uświadamiam sobie, ile rzeczy wcześniej nie znałem.

– Takich jak?

– Na przykład nie zastanawiałem się, co kobiecie chodzi po głowie? Zwykle doskonale czytam ludzi. Są bardzo przewidywalni.

– A ja nie jestem?

Zmilczałem.

– To chyba dobrze. Nowe doznania, prawda? To wzbogaca.

– Czyżbyś ty nie doświadczała już niczego, o czym nie miałabyś pojęcia?

Pochyliła głowę i oparła smukły podbródek na zaciśniętej pięści. Album The Smash dobiegł końca – prawdziwa wojna błyskawiczna. Szybkie, chaotyczne plucie punkowym jadem trwało łącznie dwadzieścia minut. Wszystkie utwory razem wzięte, a było ich ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia.

– Nigdy wcześniej nie znikalam niepostrzeżenie z parkietu na randce. Ale musisz mi wybaczyć, bo taniec na pierwszej randce to w ogóle coś, czego wcześniej nie przeżyłam.

– Kokietka.

– Naprawdę.

– Po prostu nie chce mi się wierzyć, że ktoś taki, jak ty, uciekłby, bo nie wiedział, jak się zachować.

– Tego nie powiedziałam.

Uśmiechnęliśmy się i stuknęliśmy kufkami. A potem barman puścił coś jeszcze szybszego i głośniejszego niż The Smash.

*

Kot wskoczył na jej kolana i zaczął mruczeć.

– Nie dasz nawet pogadać, kocino? – rzuciła, chichocząc.

W odpowiedzi zwierzak polizał ją po twarzy. Gdy odchyliła głowę, pod szorstki różowy jęzor wpadły długie, brązowe włosy. Futrzak przez chwilę próbował je jeść, ale zrezygnował.

– Wyjątkowa przylepa – powiedziałem. – Przyszedł do sklepu i go wziąłem.

– Dziwne.

– Słucham?

– Ta twoja troska. Nie jesteś typem faceta, który przygarnia włochate włóczęgi.

Sięgnąłem po fajkę i nabiłem komin tytoniem.

– Sam jestem nieco zaskoczony. Ale co mogłem zrobić? Uciekł mi, gdy wychodziłem z pracy. Potem jednak zaczął miauczeć tuż pod drzwiami mieszkania.

– Znalazł cię?

Przytaknąłem.

– Dwa razy – odparłem, ubijając tytoń.

Spojrzała z podziwem na czarną kulkę łaszącej się sierści.

– To chyba jednak nie miałeś wyboru. On wybrał za ciebie. Jak prawdziwy kot.

Wyjęła papierosa. Pochwyciłem jej dłoń.

– Zostaw to. Nabiję ci fajkę.

– Fajkę? Nie palę tego. Po co?

– To dobry kot – wskazałem końcem ebonitowego ustnika na mojego pupila. – A dobry kot powinien pachnieć dobrym tytoniem.

Nie wyglądała na przekonaną, ale odłożyła papierosa.

– To zaskakujące – rzekła.

– Co takiego?

– Właściwie to pierwszy raz mnie dotknąłeś – wyjaśniła. – I to tylko po to, żeby mi czegoś zabronić.

Nie wiedząc, co zrobić, spuściłem wzrok. Milczałem skupiony, szukając odpowiednich słów, by wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Nie kłopotz się – usłyszałem. – Nie jestem zła. Tylko zaskoczona.

– Nie miałem...

– To było na swój sposób miłe. Choć niezdarne, nieco butne. Ale przynajmniej po raz pierwszy pokazałeś, że naprawdę jesteś mężczyzną.

Uśmiechnąłem się, zastanawiając się, czy tak naprawdę nie powinienem być wściekły.

– Komplement i nagana w trzech krótkich zdaniach. No to teraz mam pewność, że jesteś kobietą.

Wybuchnęła śmiechem. Gdy dostrzegła wielkie, żółte i zdziwione oczy kota, zaśmiała się jeszcze mocniej. Po chwili dołączyłem do niej. Szczery, mocny rechot rozszedł się po pokoju.

– Co u ojca? – zagałem, gdy atmosfera się uspokoiła. – Jak się czuje?

– Po co mnie pytasz? Przecież bywasz u niego częściej niż ja.

– Prawie nic o nim nie wiem. Poza tym, że gra w szachy. Jestem wolontariuszem, a nie pielęgniarzem. Nie udzielają mi informacji o nim. Tylko skąpe „lepiej”, „gorzej”. Nawet nie wiem, skąd ten paraliż?

Odpaliłem fajkę, ale znad chmury dymu dostrzegłem jakąś zmianę. Jej rysy twarzy stały się ostrzejsze, usta mocniej zaciśnięte. Ręce sztywno ułożone na udach, dłonie na kolanach. Nie patrzyła na mnie. Kot zbiegł, wyczuwając, że coś się stało.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Cisza. Przez moment nic się nie działo.

– Chyba pójdę – powiedziała wreszcie. – Jest późno.

– Zaczekaj – poprosiłem. – Powiedziałem coś nieodpowiedniego?

– Nie – rzuciła, wstając z kanapy. Wyciągnęła tego papierosa z paczki i włożyła do ust. – Po prostu muszę iść.

Odprowadziłem ją do drzwi.

– Zobaczymy się jutro?

W końcu zwróciła na mnie uwagę. Dłonią pogładziła mój policzek. Zawahała się, ale potem nagle pocałowała mnie w policzek.

– Przyjdź o dwudziestej.

I wyszła. Z klatki schodowej dobiegł mnie odgłos zapalnego papierosa. Zamknąłem drzwi. Kot spojrzał na mnie z rozczarowaniem.

*

W Babilonie dym wypełniał każdą wolną przestrzeń, a muzykę zagłuszały krzyki podniecenia. Wszyscy, nawet gruby właściciel, zebrali się wokół bilardowego stołu przy którym dwóch mężczyzn rozgrywało mecz o tytuł mistrza baru. Zwycięzca miał do zgarnięcia niezłą sumkę, a także Nielimitowany dostęp do piwa na koszt firmy.

Pierwszym zawodnikiem był Borys S., barczysty łysol, nad wyraz precyzyjny pomimo swojej wagi i niezgrabnie grubiućkich palców. W młodych czasach, kilkadziesiąt kilo temu, był zawodowym bilardzistą. Naprzeciw niego stał Aleks Bez Stałego Nazwiska. Ten stały bywalec knajpy za każdym razem przedstawiał się inaczej. Raz Henry, potem Slim, następnie Deschappeles. Z całą pewnością jednak był wariatem, hazardzistą oraz kaleką – miał żółte papiery, długi powstałe przy stole do gry w ruletkę, a los zabrał mu też prawą rękę w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Wszystko było więc jasne, zanim w ogóle się zaczęło. Nie przeszkadzało to jednak nikomu rozkoszować się kunsztem gry Aleksa, na którego też stawiano wszystkie pieniądze.

Stawiano zresztą słusznie.

Postawiliśmy i my.

– Przyda ci się trochę, prawda? – zapytałem, a ona przytaknęła. Zagryzła wargi i zacisnęła kciuki. Gra z początku była wyrównana.

Borys wbił całą, ale potem chybił, wystawiając oponentowi połówki.

– To lubię! – krzyknął jednoręki na cały głos.

– On lubi połówki – zagała do nas stojąca obok dama stolikowa. – Mówi, że podkreślają jego charakter. Tak jak dwie strony medalu. Jedna dobra, uporządkowana, druga zła i chaotyczna. Pierwszej brakuje odrobiny szaleństwa, drugiej szczypty zorganizowania. Obu brakuje pokory. Razem są idealne. Uzupełniają się.

Spojrzałem na kobietę ze zdziwieniem, nie pojmując, o co może

chodzić, ale nie obeszło jej to. Zerknęła tylko przelotnie przez ramię na wycierającego kufle barmana, a potem znów zwróciła się w stronę rozgrywki, mocno podekscytowana.

– Chyba rozumiem, po co ją tu zatrudnili – powiedziałem do mojej partnerki. – Gdy tylko otworzyła usta, poczułem, że muszę się napić.

Aleks bezbłędnie wbił pierwszą bilę. Nie spieszył się. Mierzył długo, celebując każdy moment, przedłużając w nieskończoność. Cofając kij, zatrzymując go w bezruchu, odbierał oddech wszystkim na sali. Każdemu serce waliło jak młotem. Zaś on w tym czasie nie patrzył na bilę, a kierował wzrok ku łuzie – ku swojemu celowi. I wykonywał pchnięcie niejako „na ślepo”. Trafiał wspaniale.

Po pierwszym sukcesie pozbył się kolejnych trzech. Dopiero wtedy oddał kolejkę. Borys poczuł nóż na gardle. Był wszak zawodowcem i nie w smak było mu przegrywać z amatorem, do tego kaleką, choćby nie wiem jak utalentowanym. On również nie zważał na czas. Miał dobre oko i pewność ruchów. Szybko wyrównał stan gry.

– Na to czekaliście, co nie? – rzucił do tłumu Aleks, podsycając atmosferę. – Emocji trochę, prawda? Co to by była za gra, gdyby nie było emocji?

Pomruk zgody i zadowolenia przetoczył się przez Babilon. Zapalniczki zaiskrzyły płomieniami, z cygar i papierosów uniósł się sinoniebieski dym, a kolorowe drinki rozniosły po sali zapach dalekich plaż.

Potem spadły ze stołu wszystkie bile, jedna za drugą. Mecz zakończył się błyskawicznie, a Aleks ścisnął dłoń zszokowanego przeciwnika, by po chwili zgarnąć plik banknotów, polizać kciuk i zacząć je przeliczać.

Po jakimś czasie zagrzmiały pierwsze oklaski. Brawa były długie, szczere i radosne. Gdy ucichły, odezwałem się:

– Jesteś mistrzem Babilonu w bilard, ale w szachy też jesteś taki dobry?

Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie, a potem spoczęły na kalece. Ten spokojnie dokończył to, co robił, schował pieniądze do kieszeni i odpowiedział:

– Oczywiście zagramy na pieniądze?

– To chyba retoryczne pytanie? – odparłem.

– Chłopie! – krzyknął do barmana. – Podaj nam deskę. Zostanę podwójnym mistrzem jednej nocy!

Wybraliśmy stolik. Do picia zażyczyłem sobie szklanek whisky, mój przeciwnik pozostał przy piwie.

– Na pewno wiesz, co robisz? – usłyszałem zaskoczony żeński głos.
– Spokojnie – uspokoiłem partnerkę. – Niedługo do ciebie wrócę.
Wygrana będzie twoja.

– Daj spokój – pokręciła głową. – Po prostu nie zbłaźnij się, ok?

Wylosowałem białe. Rozłożyliśmy bierki.

– Dam ci przewagę jednej figury i dwóch ruchów. Tak będzie sprawiedliwie – powiedział Aleks.

– Nie trzeba – uśmiechnąłem się. – Grajmy.

– Jak sobie życzysz.

Pierwsze posunięcia – partia katalońska. Szybki szach od czarnopolowego gońca. Po zasłonie do gry wszedł czarny hetman. Nietypowe. Wstawiłem drugiego gońca na g2, szykując fortecę dla króla i opanowując najdłuższą przekątną, upewniwszy się, że jestem bezpieczny.

I wtedy bicie! Drugi szach! Ze zdeprimowaniem odnotowałem, że czarne prędzej wykonały krótką roszadę i mogą przejść do zagarniania centrum. Tak też się stało. Sekwencja posunięć pionów, wieża w odwodzie na tyłach. Agresywna pozycja, bezkompromisowa. Wyprowadziłem piona na przód, tracąc jednak skoczka – w ramach rekompensaty zamieniłem go na gońca przeciwnika. Po kilkunastu posunięciach padły pierwsze pionki z obydwu stron – równie nietypowe, co początek partii, bo ze skrajnej linii. Krótka gra pozycyjna wyprowadza na przewagę czarne, które zdobywają bezsprzeczny dostęp do wolnej kolumny dwiema wieżami.

Aleks grał na obu stronach szachownicy jednocześnie. Zbudował silne skrzydło hetmańskie, na królewskim zaś nastąpił marsz pionów. Sytuacja stała się ciasna. Wymagała precyzji i finezji. Postanowiłem oczyścić nieco strukturę pionów, by zyskać na czasie – bicia tu, bicia tam.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, w dwudziestym dziewiątym ruchu, przeciwnik poświęcił skoczka za piona w bezpośredniej bliskości mojego króla. Następnie postanowił zapolować na królową. Na desce czekała jedna piękna kontra. Zbić piona i zaszachować czarnego władcę. Zaraz potem ucieczka hetmanem do pozornie najgroźniejszego miejsca na planszy – wprost do obozu wroga.

Dopiero teraz stało się naprawdę ciasno. Ruch czarnych.

Po raz pierwszy zastanawiałem się tak długo. Pozycja wyglądała na absolutnie szaloną i pomyślałem, że właśnie o to od początku mogło chodzić Aleksowi. Spoglądałem na szachownicę, sądząc, że dostrzegam wszystko, ale podświadomie czułem, że coś jest bardzo nie tak. Widzowie

cicho dyskutowali. Mężczyźni znajdujący się na grze tłumaczyli kobietom tajemnice partii. Wsłuchiwałem się w ich słowa, dochodząc do wniosku, że i oni nie widzą niczego, co mogłoby mi zagrozić.

Precyzja – pomyślałem. – Ostrożna precyzja.

Kolejny szach i agresywna obrona z obu stron. Po chwili brak najcięższych figur uzmysłowił mi, że nie mam zbyt wielu szans na błyskotliwego mata.

Oprócz jednej, ostatniej.

Rozjuszony, ale i pełen podziwu dla umiejętności przeciwnika, zbiłem wreszcie najlepszą figurę oponenta. Mat był kwestią jednego posunięcia. Jeden ruch i wygrana w kieszeni. Trudna partia z trudnym przeciwnikiem – kombinacyjna, dzika, mocno niepoprawna. Daleko było mi do dumy. Przechyliłem szklankę z whisky do ust. Mimo wszystko dalej byłem pewny swego.

Gdy szkło wylądowało z powrotem na stole, na szachownicy był szach, na którego mogłem odpowiedzieć tylko biciem wieży królem na h2. Przyjrzałem się uważniej, nie mogąc uwierzyć. Wszystkie czarne bierki, poza jedną pozostałą wieżą były zablokowane. Piony na liniach c, e i h. Jeden zapasowy czarny pion bronił króla przed moim hetmanem. A ja nie mogłem zbić czarnej wieży, bo wtedy z powodu braku dozwolonego ruchu, nastąpiłby automatyczny remis.

Poszukałem drogi ucieczki, ale szybko zorientowałem się, że to na nic. Nigdzie nie ustrzegłbym się przed wiecznym szachem¹.

Aleks chwycił za swój kufel i rzekł:

– Sądzę, że powinniśmy po prostu podzielić się kasą ze wszystkich zakładów, nieprawdaż?

*

Szliśmy pod rękę. Przyjemne ciepło jej dłoni rozgrzewało moją skórę. Mimo to drżałem jak ktoś, komu kobieca bliskość sprawia jednocześnie przyjemność, jak i wprawia w zakłopotanie. Jak ktoś, dla kogo jest to pierwszy popołudniowy spacer z kobietą. Jak ktoś, kto pierwszy raz dotknął kobiecej dłoni.

W pewnym sensie tak właśnie było.

Mówiliśmy banały. Nie podejmowałem tematu jej ojca ani tego, co powiedziała mi wczoraj w barze. Ona wolała zabijać czas

niezobowiązującymi żartami. Dziwny to był flirt, pełen napięcia, niepewny. Ile tajemnic może się kryć w prostych czynnościach? Ile niewypowiedzianych słów? Ile emocji?

Moje życie nigdy nie było proste, ale nie było również zbyt skomplikowane. Znałem swoje miejsce, zostało mi pieczołowicie przygotowane. Wszystkie reguły zostały nakreślone, nakazy, zakazy. Jak ptak w wielkiej klatce – pozorna swoboda, wolność do pewnych granic, ale jednak za kratami. I wtedy pojawiła się ona, zaś codzienne rytuały, cała ta więzienna rutyna zbudowana dookoła, przepadły. Kraty są dalej tam, gdzie były, ale już powykrzywiane, pordzewiałe. Niewiele brakuje, by pękły.

Mimo to czuję, że nie mogę uciec. Nie w ten sposób.

Wskazałem dróżkę przez park. Wolnym krokiem przemierzaliśmy tętniącą zielenią przestrzeń. Ona podziwiała brzozy. Mówiła, że to piękne drzewa. Pospolite, widoczne wszędzie, ale prawdziwie cudowne.

– Tak naprawdę, to lubię jeść – nagle zmieniła temat.

Zmierzyłem ją zdziwionym wzrokiem.

– Ta kolacja... Wygraliśmy ją na straganie, pamiętasz? Chętnie bym ją zjadła. Lubię jeść.

Pokiwałem głową rozbawiony.

– Jakieś ulubione dania?

– Nic wyszukanego. Wątróbka z jabłkiem.

– Na sam dźwięk tego zaczyna robić mi się niedobrze.

– Flakami pewnie też gardzisz? – zaczęła dalej.

– Nawet nie próbuj!

– Wątróbka jest pyszna! Jak możesz oceniać coś, czego nie znasz?

– Mogę. Jest tyle rzeczy, które znam tylko z nazwy i z pewnością nie chciałbym ich doznać.

– Co racja, to racja, ale wątróbka jest wyjątkiem.

– Dość. Za dużo razy padło to słowo. Nie, nie chcę.

– Najlepsze w wątróbce z jabłkiem jest to, że smakuje zupełnie inaczej, niż wygląda. Pamiętam, że jako dziecko dostałam czekoladki w pudełku. To było upalne lato, o wiele gorętsze od tego. Kwiaty usychały nawet w cieniu, a rzeka prawie wyschła. Od wielu dni z nieba nie spadła nawet kropla. Ludzie nie wychodzili z domów, a w Centrum rozłożono specjalne namioty klimatyzujące. Odwoływano ludzi z pracy, a straż pożarna częściej naprawiała hydranty, niż jeździła do pożarów, choć i tych nie brakowało. Przechodnie niszczyli te hydranty, żeby polewać się wodą.

Opiekunowie nie wypuszczali mnie z domu, abym nie zasłała na zewnątrz. Byłam chorowitym dzieckiem i mdlałam z byle powodu. Wszystkie choroby czepiały się mnie, bali się więc, że z powodu mojego wątłego zdrowia nie wytrzymam zbyt długo na dworze. A tymczasem moi rówieśnicy bawili się każdego dnia, ciesząc się słońcem. Jakoś znosili te upały, były wakacje, nic im nie przeszkadzało. Ja mogłam tylko patrzeć przez okno, z wnętrza dusznego, gorącego domu, wśród smrodu przepoconych ciał innych słabych dzieci. Płakałam. Prosiłam, błagałam, krzyczałam. Nic. Nie mogłam wyjść. Musiałam zostać, podglądać bawiących się przez to okno. To był najsmutniejszy widok na świecie, płaszące wkoło dzieci... I wtedy przyszedł do nas taki dziadek. Przyniósł mi czekoladki w metalowym pudełku, rozgrzanym tak, że aż parzyło. Wszystko się roztopiło, ale dzięki temu było nawet ciekawiej. Wydłubywałam czekoladę palcami, zlizywałam ją. Cała byłam umorusana. Jakie to było piękne! Co za smakołyk, nigdy potem czekolada nie smakowała mi tak bardzo.

– Co było dalej? – dopytałem po chwili ciszy.

– Na obiad była wątróbka. Nie było jabłek, ale był dżem jabłkowy. Wyszła straszna papka. Wyglądało jak rzygowiny. Nie miałam zamiaru tego tknąć, ale wtedy ten dziadek powiedział mi: „kochanie, to takie roztopione czekoladki, nie dąsaj się, tylko wcinaj!”.

– Zjadłaś?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Okłamał mnie. To było znacznie lepsze niż słodczyce. A potem namówił opiekunów, żeby puścili mnie na dwór. To był najpiękniejszy dzień mojego dzieciństwa. Ten jeden z nielicznych szczęśliwych dni.

Odwróciła się i wzięła mnie za rękę. Nie patrzyła mi w twarz. Zerkała za to na nasze złączone dłonie. Objęła mnie. Wtuliła się. Dreszcz podniecenia powrócił.

– Zjedzmy dziś wątróbkę z jabłkiem, proszę. Obiecuję, że będzie dobrze wyglądało i jeszcze lepiej smakowało.

Poczułem, jakby coś we mnie pękło.

*

Tego wieczoru zadała to pytanie, a ja chciałem powiedzieć jej prawdę. Nie mogłem. To był jeden z zakazów – nigdy nie mówić o tym, co się

stało. Musiałem więc kłamać.

Dawno nie kłamałem. Nie wolno mi. Chyba że w tym przypadku.

Patrzyłem jej prosto w oczy i na pytanie: „więc co robiłeś, zanim zostałeś jubilerem?” odpowiedziałem po krótkim wahaniu:

– Byłem nikim. Po prostu nikim.

Nie uwierzyła mi. Kiedyś potrafiłem oszukiwać tak, że nikt nie potrafił się domyślić. Byłem mistrzem manipulacji, królem blagi, złotoustym hipokrytą – dumnym z siebie, wyniosłym, obłudnym łgarzem. Kiedyś.

Teraz nie potrafiłem już udawać. Zabrano mi to. Dar przepadł.

Milczała długo, a ja pragnąłem, aby zaprzeczyła. Aby przejrzała mnie i dała temu wyraz. Ona jednak zachowała to dla siebie, nie pojmując chyba, jakie ważne było to, aby pokazała, że mi nie wierzy. Niegdyś kochałem, gdy ktoś łykał moje kłamstwa, gdy chwycił się ich kurczowo, jak ostatniej deski ratunku. Potem odbierałem mu to, szydząc, pastwiąc się, pozbawiając nadziei. A tego wieczoru niemal modliłem się, aby stało się inaczej. Ona nie mogła uwolnić mnie z więzienia tego życia, ale była w stanie pojąć, że nic nie jest takie, jakie powinno być.

I zrozumiała to, widziałem to w niej. Tylko że nic nie zrobiła. Zachowała to dla siebie.

– To życie, które mam teraz, jest znacznie lepsze – dodałem po długiej ciszy.

Nie wiedziałem już, czy ją chcę oszukać, czy siebie?

*

Turniej toczył się powoli. Stałem na uboczu i podglądałem partie przeciwników. Swój pierwszy pojedynek wygrałem już jakiś czas temu. Szybki mat w kilkunastu ruchach przyszedł właściwie znikąd. Oponent zagubił się we własnej grze i jak to bywa z amatorami – raczej przegrał ze mną, niż to ja z nim wygrałem.

Styl reszty nie odstawał od przeciętnej. Często pierwsze ruchy świadczyły o ich umiejętnościach. Nie rozumieli, co dzieje się na planszy i nie dostrzegali kombinacji dla mnie oczywistych. Nie stanowili żadnego wyzwania.

Technicy z BC1 ustawili kamery przy każdym stole i filmowali. Obserwowanie ich było ciekawsze. Każdy z nich doskonale wiedział, co

robi. Nie musieli się porozumiewać, bezbłędnie wykonywali, co do nich należało.

Podszedł do mnie główny reżyser:

– Nie wiemy jeszcze, czy to puścimy, ale warto zarejestrować – powiedział. – Ktoś z was przejdzie do właściwego programu i wtedy powycina się parę kawałków, aby przybliżyć was widzom.

– Rozumiem – odpowiedziałem z udawaną grzecznością. – To raczej dobre rozwiązanie. Nie sądzę, aby wielbiciel szachów mieli się czym ekscytować. Za słabe partie.

– Tu nie chodzi o grę – pokręcił głową. Spadły mu słuchawki, lecz złapał je, zanim rozbiły się o podłogę. – Mało kogo obchodzą szachy. Serio, co to za sport? Może dla ciebie, dla tych tutaj zapaleńców, ale z pewnością nie dla tych, którzy zasiądą przed ekranami. Oni nie chcą intelektualnej rozrywki. To telewizja, to jest show. Zresztą, myślisz, że ilu wielbicieli szachów będzie to oglądać? Nie musisz mówić, ja powiem. Zdecydowanie za mało, żeby w ogóle brać ich pod uwagę.

Puściłem ten wywód mimo uszu, ale mężczyzna nie chciał przestać.

– Do tej pory nie rozumiem, dlaczego producenci wybrali akurat to? – dorzucił. – Zawsze wydawało mi się, że *Opowieści Nieprawdopodobne* trafiają do zupełnie innej grupy docelowej. Wiesz, rozumiesz, gówniarzeria szkolna i młodszy studenci, może stare prukwy, które w przerwie od garów oglądają coś takiego. Nie sądzę, żeby oglądali to inteligenci. Ich w większości nic nie ciekawi w telewizji. Dlatego są inteligentni.

– Wszystko jest dla wszystkich – dałem się wciągnąć w wymianę zdań. – Każdy dostanie to, co chce, bo każdy widz się liczy, prawda?

Reżyser gwizdnął przez zęby, rozpraszając nieco graczy. Przeprosił gestem dłoni, z niewinnym uśmiechem na ustach. Po chwili znów zwrócił się do mnie:

– Gdyby tak było, puszczałibyśmy pornosy przed dwudziestą drugą. Dzieci też są widzami, nie? Czemu mamy im odbierać najciekawszy program?

Mówił dalej, z pozorną nonszalancją, jak gdyby tłumaczył synowi, jak używać sztuczków.

– *Opowieści Nieprawdopodobne* przyciągają stosunkowo sporo osób przed ekran. Zwykle ludzi w młodym i średnim wieku, bez znacniejszego wykształcenia i o regularnej, biurowej pracy. Czyli jednym słowem:

rutyniarzy. Tak nazywam tych, którzy od lat mają ustabilizowane, określone i odmierzone życie. Studia, chłanie, kac, jeśli chodzi o młodych. Praca, obiad, żona z dzieckiem, gdy mówimy o starszej grupie. Jedni oglądają to na kacu, drudzy podczas seksu, emocjonującego tak bardzo, jak transmisja obrad Rady Miasta. Chodzi o to, że ten program daje im poczucie przeżywania przygody. Taki był plan i to się sprawdzało. A teraz te szachy, które rozbijają wszystko. Jaką przygodę możesz przeżyć, oglądając takie rozgrywki?

– Intelktualną? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Dokładnie! In-te-lek-tu-al-ną!

Pokręcił głową, jakby to była najcięższa obelga. Jego postać była tak przerysowana, że aż absurdalna. O takich jak on słyszy się od czasu do czasu, jednak zwykle się ich nie spotyka. Archetypiczna wręcz skrajność, podręcznikowa, groteskowa. Większość ludzi zadowala się wyborem odpowiednim do sytuacji, naciągając rzeczywistość w pożądaną ze stron, starając się wypośrodkować. Ich ideologią jest unikanie kłopotów, a to najłatwiej zrealizować, nie wychylając się za bardzo za burtę. W efekcie nie odkrywają swojej prawdziwej natury, rozplywając się w wieloznaczności. Jakby faktycznie nie istniał żaden pewny punkt zaczepienia, a wszystko było względne, uzależnione od zbyt wielu czynników, aby dodawać kolejny – pogląd własny. Ten mężczyzna przyjął zaś konsekwentną postawę błazna, wyolbrzymił samego siebie. Przyjął cudze poglądy w pakiecie, stereotypowy zbiór cech, który czyni go tym, kogo można oczekiwać, ale którego nikt się nie spodziewa. Jego szczerą jednoznacznością była prawdziwie gorzka. Miał odwagę trwać przy niej i nie bał się konsekwencji. Albo był idiotą, albo bardzo świadomym siebie człowiekiem nierozstającym się z ukochaną maską.

Rozległ się dzwonek oznajmiający koniec ostatniej partii pierwszej rundy turnieju. Zasiadłem za stołem w oczekiwaniu na przeciwnika. Technik ustawił kamerę, aby mieć lepszy obraz mojej twarzy. Reżyser dodał na odchodne:

– Gdybyś jeszcze chciał pogadać, to będę się nudził przy stoliku z kawą.

Minutę później chwyciłem go za ramię. Wylał czarny płyn z kubka i syknął. Oparzył dłoń wrzątkiem.

– Kurwa! – wypalił, nie zważając na nic. – Co ty tu robisz?!

– Przyszedłem pogadać – oznajmiłem.

– Graj pan, przecież dopiero się zaczęła druga runda – zdziwił się.

– Mat w czterech.

Spojrzał na mnie, jakby nie mógł uwierzyć. Odstawił kubek i podszedł do szachownicy. Rozszerzył oczy ze zdumienia.

– Nauczysz mnie tej sztuczki?

Nie odpowiedziałem, zaś on nie potrafił oderwać wzroku od deski. Nie podziwiał kompozycji. Podziwiał bezczelność. Widziałem to doskonale. Ten człowiek znakomicie grał w szachy i tylko udawał, że nic o nich nie wie. Spodobała mi się jego poza. Pierwsza niekonsekwentna rzecz w jego wizerunku. Rysa na szkle. Manifest niedoskonałości. Pełnia człowieczeństwa.

– To o czym chciałeś pogadać? – wrócił do ekspresu ze świeżo zaparzoną kawą.

– Opowiedz mi o tym medium... To prawda, co o nim mówią?

Dłonią zaproponował mi napój. Wybrałem dużego hutta z pełnej arabiki. Kiwnięciem głowy docenił moją decyzję. Coraz lepiej czułem się w jego towarzystwie.

– To... – wypowiada wolno. – To... Ten... To.

Czekałem, aż znajdzie odpowiednie słowa, osładzając sobie czas pyszną kawą.

– To był chyba nasz najlepszy materiał. Prawdziwy strzał w dziesiątkę...

*

– Georg W., mężczyzna, którego odwiedzają okoliczne duchy, był niegdyś stróżem na moście Samobójców, zanim w ogóle go tak nazwano. Dziś próżno szukać śladu po małej, drewnianej przybudówce, w której zwykł zarabiać, pobierając opłaty za przejazd samochodem w ciągu dnia. Jego praca polegała na podnoszeniu i opuszczaniu szlabanu: zainkasować pieniądze, przepuścić.

Był to człowiek, którego trudno opisać. Miał bowiem bardzo proste i poukładane życie, a jedynymi emocjonującymi momentami były chwile, gdy wyłamywał się ze swojej rutyny, aby pójść do baru i zalać się w trupa. Zdarzało się to raz na pół roku. Jak sam mawiał:

– *Dla zdrowotności trzeba się czasem pochorować.*

Trzeba przyznać, miał rację.

Georg W. był rozwiązana układanką, z każdą częścią na swoim miejscu. Jego żywot był oprawiony w ramkę, ułożony za szybą i powieszony na ścianie w triumfalnym hallu jakiejś świątyni spokoju. Tylko raz na jakiś czas przechodził koło niego dozorca i wycierał kurz, by wszystko trwało dalej, doskonale w swojej prostocie.

Wszyscy w mieście znali Georga. Nie sposób było zapomnieć tej twarzy. Kto raz ją ujrzał, nie potrafił wyrzucić jej z pamięci. Uosabiała szczęście i łagodność, choć znalazło się na niej też miejsce dla kilku starych blizn, co dawało nadzieję, iż Georg w bojach wywalczył sobie drogę do zasłużonego szczęścia. To byłby jakiś dowód normalności. Nikt bowiem nie mógłby się pogodzić z faktem, że Georg osiągnął to wszystko, co miał, zbyt łatwo i bez większego wysiłku.

A przecież nie miał aż tak wiele. Trochę grosza wpływającego regularnie za oddaną służbę administracyjno-drogową; przeciętnej urody żonę, za to wierną; dwóch niezbyt mądrych synów, którzy braki w inteligencji nadrabiali kondycją fizyczną; brak długów; starego Dodge'a Bing wiecznie przetrzymywanego w garażu (Georg raz jeden odważył się go użyć; w dniu, w którym otrzymał posadę stróża na moście, postanowił wybrać się tam na przejażdżkę); spokój.

Tak, Georg dawał się lubić nawet pomimo to, iż wszyscy mu zazdrościli. Choć – prawdę mówiąc – nikt nie wiedział, czego mógłby mu zazdrościć. Jego rzeczywistość wydawała się piękna, ale nużąca. Można byłoby ją nazwać jednym słowem – monotonia. A jednak każdy chciał mieć takie szczęście, jak on. Ta stabilność, jaką udzielało mu życie... To było coś.

Dodatkowo, oprócz tych wszystkich prostych rzeczy, Georg posiadał coś jeszcze – niezwykle dryg do gier losowych. Sam nigdy nie brał w nich udziału, aczkolwiek za jego namową wielu zdobyło całkiem niezłe fortuny – a to na wyścigach psów, rozgrywanych w dalekiej dziennicy zwanej Zatorska, leżącej (jakżeby inaczej) za torami, a to w losowaniu szczęśliwych numerków w BC1. Kiedyś nawet jakiś maniak wytypował dzięki przeczuciu Georga nową Miss Miasta, co przyniosło mu sławę i górę forsy. Farciarz był bowiem dziennikarzem i jeszcze przed finałową galą podpisał z dziewczyną umowę na wyłączność medialną dla swojej stacji telewizyjnej. Wieść niesie, iż dzięki temu zasiadł w radzie nadzorczej i wiódł życie pełne satysfakcji, by wreszcie umrzeć radośnie zaćpany kilka lat później. Zszedł, skurwiel, na dachu najwyższego

wieżowca, zabawiany przez młodą żonę, notabene nowszą Miss Miasta. Ale ja nie o tym...

Inni też sporo zawdzięczali stróżowi. Mniejsze bądź większe zwycięstwa w loteriach czy typowaniach bukmacherskich, a i kilku dzięki radzie Georga znalazło sobie partnerów.

Tak, to był niesamowity zmysł do wyczuwania okazji. Nigdy jednak z nich nie korzystał. Za to wszyscy wokół robili użytek z jego instynktu.

To był dar.

Ale – jak również się okazało – było to także przekleństwo.

Dotarliśmy do bliskiego znajomego ojca Georga. Wielu rzeczy nie pamiętał, ale to jakimś cudem zachowało się w jego pamięci. Choć trudno było uwierzyć w jego opowieść. Nawet jak sobie teraz o niej pomyślę, wydaje się nieprawdopodobna. No, ale dlatego nadawała się do naszego programu. Georg nigdy nie zaprzeczył, że to wszystko prawda, choć poprosił, aby kilka rzeczy przemilczeć. Coś więc musi być na rzeczy.

Ojciec Georga był typowym zapijaczonym łajdakiem. Nie dbał o żonę ani dzieci. Wieść niesie, że miał kilka rodzin, że gdzieś tam żyły jakieś nieślubne dzieci. Dla Georga chyba lepiej byłoby, aby ojca nie było nigdy na horyzoncie, aby nie dotknęły go wyrzuty sumienia i nie postanowił pobawić się w prawdziwy dom.

Po wypłacie stary przepijał wszystko. Nie dbał o nic. Szedł w tango i wracał po kilku dniach, dalej na rauszu. W domu bił i żonę, i syna. Matka, jak to w takich historiach bywa, nie mogła nic zrobić. Sam wiesz, jakie to były czasy. Nikt nie myślał o rozwodzie. Rozwódka miała wtedy jeszcze gorzej. Wystawiona poza margines, mogła liczyć tylko na siebie. Z mężem, nawet takim, jakoś sobie radziła. Ktoś zawsze pomagał, przejęty nieszczęściem. A to sąsiad, a to dalsza rodzina, a to opieka socjalna. Nawet policja od czasu do czasu przyjeżdżała i zabierała awanturnika na krótką odsiadkę, dając wytchnienie każdemu. Standardowa patologia.

Do czasu...

Matka mimo wszystko nie narzekała. Z początku widziała w swoim mężu tylko dobre strony, a potem, gdy nawet to przeminęło bezpowrotnie, starała się po prostu nie dostrzegać złych. Ignorowała pijaństwo i agresję. Jeśli jednak przychodziło do dziecka, zawsze stawała w jego obronie. Do nikogo się nie skarżyła. A ludzie często pytali. Trudno, żeby było inaczej, skoro non stop chodziła z zasłoniętą twarzą. Ale ona nigdy złego słowa nie powiedziała. Nawet nie pisnęła. Brała życie takim, jakim było.

Reżyser zrobił teatralną pauzę, by trzymać mnie w napięciu. Miałem ochotę chwycić go za łeb i wytłuc tę manieryczną pretensjonalność o najbliższą ścianę.

Trzeba jednak przyznać – zadziałało. Nie mogłem się doczekać, co będzie dalej. Nie znałem tej historii. Nie było jej w *Opowieściach Nieprawdopodobnych*. Przynajmniej nie całej. Wcześniejsze losy Georga W. – człowieka nawiedzanego przez duchy – przedstawione były w lakonicznym skrócie i bez szczegółów. Teraz czułem, że brakujące elementy wskakują na swoje miejsce.

Mężczyzna upił łyk kawy i podjął na nowo:

– Pamiętasz tę sprawę z mostem Samobójców? Szereg dziwnych śmierci. Przy pierwszym uznano to faktycznie za samobójstwo, ale już wobec kolejnego były wątpliwości. Nie podawano tego do publicznej wiadomości, ale ruszyło śledztwo. Trzecia ofiara tylko uprawdopodobniła domysły. Owszem, nie wykluczano serii samobójstw, ale coraz mocniej skłaniano się ku morderstwom. I Georg W. był jednym z kluczowych świadków w sprawie.

Jest jeszcze coś... Tam na moście zginął jego ojciec.

To była ostatnia śmierć, nastąpiła jakiś czas po pierwszych trzech. Na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na to, że jest to powiązane, ale okoliczności spraw różniły się między sobą. Poprzednie przypadki wyglądały jak pozorowane samobójstwa, ale ojciec został po prostu zamordowany z zimną krwią.

Sam byłem wtedy młodym dziennikarzyną i rozmawiałem z detektywem prowadzącym sprawę. Rozważał możliwość, iż ktoś realizował swoje chore plany, a ojciec Georga W. mógł przyłapać sprawcę na gorącym uczynku. Po prostu znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

Kolejną hipotezą było, że dreszcz emocji pierwszych zbrodni minął i morderca potrzebował czegoś więcej, zmienił więc sposób postępowania. Subtelne, bardzo dobrze zaplanowane morderstwa – tak, aby nie dało się jednoznacznie stwierdzić, czy to faktycznie morderstwa – a wreszcie dziki, nieplanowany szal. Brutalny zew. Przesada w działaniu.

Georg był głównym podejrzanym. Miał możliwości, czas i cierpliwość. Poza tym w młodych latach miał epizod samobójczy. Kryzys rodzinny, awantury domowe i alkoholizm ojca. Leczył się jakiś czas u psychologa. Policja miała więc podstawy, by zainteresować się nim. W dodatku

szczerze nienawidził ojca, nie chciał utrzymywać z nim kontaktów, choć ten usilnie próbował odwiedzać go na moście w nocy. Po każdej z prób ktoś umierał.

Wreszcie wymyślono, że obaj mogą być sprawcami, a śmierć ojca była ostatecznym buntem – zbrodnią, o którą chodziło od początku.

Nigdy niczego nie udowodniono.

Parę rzeczy się nie zgadzało. Pozorowane samobójstwa, jeśli faktycznie były pozorowane, wymagały przygotowań. Musiały być wyreżyserowane, a sprawca raczej powinien znać swoje ofiary. Georg tymczasem nie utrzymywał z żadnym z mężczyzn kontaktów. Zwyczajnie nie miał czasu urobić ich na swoją modłę. Nie było mowy o żadnym szczegółowym planie albo po prostu nie znaleziono na to przekonujących dowodów.

Istniała jeszcze jedna teoria, oprócz tej oczywistej, że wszystkie poprzednie śmierci nie były ze sobą powiązane, a stanowiły niezwykle rzadki łańcuch samobójstw. No i mogło być też tak, że do rzekomych samobójstw doprowadził jeden sprawca, a ojca Georga zabił drugi.

Koniec końców w śledztwie nie znaleziono nic na poparcie którejkolwiek opcji. Nic nie dało powiązać się z niczym i wreszcie sprawę zamknięto. To był prawdziwy burdel, do tej pory nikt nie wie, co o tym sądzić. Mniej więcej tyle mogłeś obejrzeć w jednym z naszych odcinków. Nie opowiadaliśmy tego tak wprost, jak ja teraz tobie, nie zdradzaliśmy tytułu szczegółów, ale robiliśmy aluzje wobec Georga.

– Nie zwróciłem na to uwagi – odpowiedziałem.

– To akurat dobrze – reżyser uśmiechnął się. – Jak się okazało, potrzebujemy Georga. Gdybyśmy go wtedy udupili, byłoby nieciekawie.

Chrząknąłem i upiłem łyk kawy. Zdążyła wystygnąć, więc poprosiłem o następną, ale mężczyzna jakby nie zwrócił na to uwagi. Zamiast tego mówił dalej:

– A teraz najbardziej absurdalna część. Nie prezentowaliśmy jej w programie, bo nikt by w to nie uwierzył. Przy zbyt wysokim poziomie absurdu większość ludzi ma zwyczaj niedowierzania, jak najbardziej słusznego. A *Opowieści Nieprawdopodobne* muszą być prawdopodobne. W tym cały kruczek. Można nam nie wierzyć, ale nie sposób się nie zastanowić. Gdybyśmy zdecydowali się zaprezentować wersję oryginalną, oglądalność spadłaby na łeb, na szyję.

Kilka miesięcy po ostatnim zdarzeniu Georg W. zgłosił się na policję oznajmiając, że wie, kto stoi za całą sprawą. W trakcie przesłuchania

przyznał się także do zabicia swojego ojca.

Wytłumaczył, iż nie może dłużej ukrywać prawdy i nie ma dla niego znaczenia, czy ktokolwiek mu wierzy.

W istocie, nikt nie uwierzył.

Ale pomyśl sam – czy można traktować poważnie faceta, który mówi, że za wszystkim stoi diabeł?

– Co takiego?

– Podobno spotkał go na moście jeszcze zanim to się zaczęło. Pojawiał się w nocy, dosłownie znikąd i spacerował z jednej strony na drugą. Jego uwagę zwracali młodzi mężczyźni, nigdy jednak do żadnego nie podchodził. Przystawał tylko koło budki Georga i wypalał papierosa. Potem rozpływał się w powietrzu. Wystarczyło odwrócić wzrok...

– Skąd znasz takie szczegóły?

– Od tego detektywa. Był przy przesłuchaniu, a później odsłuchiwał taśmy setki razy licząc na to, że znajdzie coś w tym bełkocie. Maniakalnie dążył do prawdy, ale nic to nie dało. Zdążył wyuczyć się całej opowieści. Ale to nieważne, posłuchaj!

Po paru tygodniach przechodnie zaczęli zwracać na tego diabła uwagę. Ustępowali mu z drogi, jakby się bali. Niektórzy nawet przebiegali na drugą stronę mostu omal nie powodując kilku poważnych wypadków. Powtarzało się to parokrotnie, aż wreszcie most, uczęszczany o każdej porze dnia i nocy, wyludniał. Tylko diabeł przechadzał się coraz częściej.

W końcu ktoś przyszedł. Młody gość. Wracał do domu z jakiejś imprezy. Lekko w czubie, nic wielkiego, raptem podchmielony. Diabeł już na niego czekał. Ubrany jak zwykły gość – czarna bluza z kapturem, krótko ścięte włosy, na nogach poprzecierane sztruksy. Trzymał ręce w kieszeni i palił papierosa po marynarzku, w zębach. Oparty o barierkę, czekał. A głupi gówniarz szedł wprost na niego.

Georg aż wyszedł z budki, ale wtedy dostrzegł, że po diable nie pozostał nawet ślad, a chłopak już wspinał się na barierkę mostu. Zanim dobiegł do niego, skoczył. Lina pękła i gość spadł do rzeki. Ciało wyłowili tydzień później poza miastem. Zdążyło solidnie zgnić. Podobno zidentyfikowali po tej pętli na szyi.

Georg oczywiście nie powiedział, co tak naprawdę stało się na moście. Prawdę mówiąc, nie wiedział. Zanim wybiegł, diabła już nie było. Kamery niczego nie zarejestrowały. Policja przejrzała archiwa parę tygodni wstecz w obecności stróża, ale wtedy okazało się, że na żadnej taśmie nie pojawiła

się tajemnicza postać. Jakby nigdy nikt taki nie istniał.

Wszystko powtórzyło się kilkakrotnie, a przy drugim samobójstwie kamery zanotowały obecność ojca Georga. Detektyw uznał wreszcie, że sprawa jest za bardzo nietypowa i zaczął szukać podejrzanych. Padło na wiadomo kogo, ale poza poszlakami nie znaleziono twardych dowodów. Niemniej jednak na przesłuchaniach Georg spędził kawał czasu, nie mówiąc nic w obawie, że uznają go za wariata.

Aż pewnej nocy diabeł po prostu zapukał w szybę. Była to bezgwiezdna noc, a z mostu na dobre zniknęli ludzie. Nie przejeżdżały po nim nawet samochody. Tylko Georg, bezmyślnie wpatrujący się w ekrany monitoringu, pogrążający się stopniowo w paranoi.

Tajemniczy gość po prostu oświadczył, że przychodzi po raz ostatni. Do wypełnienia zostało mu już tylko jedno zadanie. Potem to Georg przejmie część jego obowiązków, aby on wreszcie mógł uwolnić się od tego życia.

Stróż bał się go i nawet nie próbował dyskutować. Wtedy jeszcze, jak sam powiedział, traktował faceta jak szaleńca, psychopatę. W kieszeni kurczowo ścisnął paralizator, w jaki zaopatrzył się przezornie wcześniej. Czekał i słuchał, nie mówiąc nic. Nie pojawił się jednak dogodny moment. Diabeł rozpląnął się w powietrzu.

Georg wrócił do budki, ale nie potrafił się uspokoić. Wlepił wzrok w ekrany, przeglądał stare taśmy. Wszystko na próżno. Nagranie sprzed kilku minut pokazywało go, jak wychodzi z budki i stoi sam, spięty, przerażony. Nikogo innego nie było.

Gdy usłyszał krzyki, od razu chwycił za telefon i wezwał policję. Chwilę potem ponownie opuścił stróżówkę, by pobiec w stronę wrzasków.

Stali tam we dwójkę, na barierce. Ojciec Georga, cały we krwi, zmasakrowany. I diabeł, trzymający mężczyznę za gardło. Ten odwrócił się jeszcze, uśmiechnął, a potem rzucił się w rzeczny toń, pociągając za sobą ofiarę.

Od tamtej pory Georg słyszy głosy umarłych, a czasem umarli wchodzą w jego ciało. Przynajmniej tak utrzymuje. Tak właśnie zeznał na policji, prosząc o zamknięcie go w kompletnym odosobnieniu.

Ciała ojca nigdy nie odnaleziono, ale uznano, że nie mógł przeżyć. Wszyscy powołani biegli byli tego samego zdania.

– To brzmi...

– Zupełnie nieprawdopodobnie.

– Dokładnie... Ale czy nie mówiłeś, że Georg zeznał, że to on zabił ojca? A przecież jednak nie!

– Ten detektyw zadał mu to samo pytanie. Facet odparł, że nie zrobił nic, by go uratować, więc to tak, jakby diabeł był tylko narzędziem.

Pokiwałem głową, co mogło znaczyć dosłownie cokolwiek.

– Tak czy siak, materiału było dość, żeby zrobić kapitalny program. Nawet po zmianach. Może producenci myślą, że powrót Georga da nam sporą oglądalność? W telewizji najlepiej wychodzą wariaci.

Rozbrzmiał ostatni dzwonek do kolejnej rundy, opuściłem więc reżysera bez słowa pożegnania. Ponownie zasiadłem do gry, ale już nie potrafiłem się skupić. Grałem topornie i bez wyobraźni. Partie trwały długo, wymęczyły mnie kompletnie.

Oczywiście wygrałem.

Wygrałem wszystkie.

*

Po turnieju zabrałem ją do Centrum. Nie pogratulowała mi, ale widziałem, że na swój milczący sposób jest ze mnie dumna. Nie musiała wyrażać tego słowami, doskonale zdawała sobie sprawę, że zwycięstwo i tak miałem w kieszeni, a ostateczny wynik był czymś, co po prostu w końcu się dokonało. Nie było więc o czym mówić.

Milczeliśmy całą drogę. Myślałem o wielu rzeczach i o żadnej tak naprawdę. To stan podobny do alkoholowego upojenia, gdy wreszcie pijany, ale jeszcze świadomy człowiek zostaje sam, by położyć się spać. Idee gnają przez umysł, nie zatrzymując się ani na moment, jak stado dzikich koni. Nie sposób ich pochwycić ani dosiąść, można tylko patrzeć, jak stopniowo zbliżają się, by chwilę później oddalić. A za nimi następne. I kolejne. Wszystko wydaje się takie proste, czyste i niewinne, aby w końcu zniknąć bezpowrotnie. Potem zostaje tylko gorzka pustka, gotowa do wypełnienia, ale brak już czegokolwiek, by ją wypełnić.

Choć z burzowych chmur, od kilku godzin gromadzących się nad Miastem, wreszcie spadł deszcz, ludziom nie przyszło do głowy, by gdzieś się skryć. Na rynku było tłoczno. Pod stopami powoli robiło się błoto. Nikt nie zwracał na to uwagi.

Bezwiednie poprowadziłem ją do straganów. Stanęliśmy przed tym, dzięki któremu się poznaliśmy. Zdziwiona spojrzała na mnie, a ja spytałem

wprost:

– Zagramy?

Jeśli poczuła rozczarowanie, nie dała tego po sobie poznać. Kto inny zapewne podzieliłby się swoimi wątpliwościami – a co jeśli wylosują kogoś z nas, ale tylko jednego? Czy pójdziesz na randkę z kimś innym?

– Jasne – odparła.

Zawołaliśmy swatkę i wypełniliśmy karteczki. Na swoją kolej czekaliśmy długo, bo tej nocy każdy pragnął przygody. Minęły więc długie trzy losowania. Między nami dalej panowało milczenie. Cichy zakątek w gwarnej, miejskiej puszczy. Wokół szczebiot, śmiech, pijacka paplanina. Ktoś zapalił papierosa, ktoś przewrócił się. Chłupot kałuży, przekleństwo.

I nareszcie pora na nas. Bez wahania wrzuciłem los do koszyka, zaginając jeden z rogów. Ona zawahała się na ułamek sekundy, ale także poszła w moje ślady.

Pierwsza runda – nie ja, nie ona. Dwoje młodych ludzi, ani pięknych, ani brzydkich. Sympatyczne twarze, naiwne oczy, uśmiechy. Czemu by nie? No pewnie, że tak. Tak. Idziemy.

Oklaski tłumu.

Następnie powtórka – jakiś młody chłopak, jakaś małolata. Nieszczególni, ale także podobają się sobie. Szybka decyzja, kolejny deszcz braw, głośniejszy niż prawdziwy deszcz.

Moja kartka. Zagięty róg. Podniosłem głowę, dałem krok naprzód. Usłyszałem głos swata:

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Deszcz zmazał imię. Czy ktoś zechce uczciwie przyznać się?

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, z tłumu rozległy się krzyki.

– Moja!

– Nie, bo moja!

– Ja to napisałem!

Popatrzyła na mnie i tylko uśmiechnęła się. Pociągnęła mnie do tyłu. Wyszliśmy spod straganu, a ktoś zajął moje miejsce.

Szepnęła mi na ucho:

– I tak pójdziemy na randkę. Ja stawiam.

Odchodząc, usłyszałem tylko jak swat wypowiada jej imię.

Już tam nie wróciliśmy.

Zadzwoił reżyser i powiedział, że program pójdzie na żywo. Mam stawić się w studiu w niedzielę rano, by przećwiczyć wszystko i zapoznać się z ekipą. Kolejna próba kolejnego ranka, a punkt dwudziesta druga w poniedziałek ruszają *Opowieści Nieprawdopodobne Live*, pierwszy raz w historii.

Za dwa dni.

Przyjąłem to z mieszanymi uczuciami. Przez większość minionego życia czekałem, ale nigdy z duszą na ramieniu. Oczekiwałem ludzi. Wiedziałem, że prędzej, czy później pojawią się. Zawsze w końcu przybywali. Teraz jednak czekam na coś, a i jest to niepewne. Aby to osiągnąć, muszę tylko wygrać w szachy. To robię najlepiej.

Nie wiem, czy moje umiejętności wystarczą.

Opowieść reżysera pomimo jej absurdalności upewniła mnie ostatecznie. Wcześniej po prostu domniemywałem, miałem nadzieję, ale nie wiedziałem. Tam przede mną, podczas programu, nie będzie siedział Georg W., tylko sam Bobby.

Nie miałem już żadnych podstaw, by w to wątpić. Człowiek może być medium. Widziałem takie sytuacje. Sprawa stróża z mostu Samobójców zapewne nie wyglądała tak, jak dane mi było usłyszeć. W końcu przekazywana była z drugiej ręki, a też przez człowieka, który zarabiał na życie, konfabulując historie. Ostatecznie jednak zmasała sceptycyzm. To wszystko mogło być przecież nie tak, ale koniec końców Georg na pewno miał metafizyczne zdolności.

Byłem pewien, ale nie miałem żadnych dowodów. Potrzebowałem ich. Musiałem je ujrzeć. Tak jak wytrawny gracz szachowy dostrzega nagle zwycięską, czasem na pierwszy rzut oka szaloną kombinację.

Odłożyłem fajkę i zebrałem się do wyjścia. Kot otarł się o nogi, mrużąc rozpaczliwie. Odkąd na dobre zadomowił się, zaczął traktować mnie ze starannie odmierzoną dystansem i mruczał tylko, gdy opuszczałem mieszkanie. Będąc ze mną, zachowywał się tak, jakby mnie nie zauważał. Nigdy nie przyszedł, co najwyżej przeszedł. Nie potrzebował pieścizot, za to czułem, że wodzi za mną spojrzeniem, gdy wydawało mu się, że go nie widzę. Interesowna, kocia miłość – szorstka, ale szczerą, oparta na wspólnej rozdzielności. Każdy z nas miał swoje sprawy. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Za to siebie lubiliśmy. To mruczenie przed wyjściem było czymś w rodzaju zapewnienia. *Będę czekał, wracaj szybko.*

Nie miałem zamiaru wracać szybko.

Poszedłem do Greki. Do Umieralni. Miałem godzinę, by zdążyć na czas.

Przeszedłszy kilka ulic, opuściłem osiedle i skierowałem się do metra. Podziemny dworzec był stary. Od dawna wymagał renowacji, lecz co roku przekładano to na później. W efekcie tynk prawie odpadł ze ścian, ukazując surowe betonowe płyty. Tablicy rozkładów nie sposób było przeczytać, tak była zniszczona. Sam tabor wyglądał nieźle, ale na zakrętach dawało się słyszeć niepokojące piski. Raz za razem podskakiwaliśmy na rozjazdach. Odnóg metra było wiele, ale większość zamkniętych. Stare tunele zamieszkiwały szczury i narkomani. Plotki mówiły też o podziemnych schronach oraz osiedlach pilnowanych przez specjalne służby. Miejskie legendy.

O tej porze wszystkie siedzące miejsca były zajęte, a stojący tłum nie dawał nadziei na komfortowy przejazd. Studenci szli do weekendowej pracy, starając się wytrzeźwieć w trakcie jazdy. W środku śmierdziało przetrawionym alkoholem, ale najgorszy był pot. W wagonach było nieziemsko gorąco.

Zaskakująca jest osobność w miejscach publicznych. Oto tłum ludzi, których nic nie łączy oprócz faktu znajdowania się w tym samym miejscu. Od wspólnoty dzieli ich niewiele, a jednak nie ma szans na żadną zażyłość. Czasem wystarczy tylko pretekst, aby nieznajomi zaczęli przebywać ze sobą. Jednak nie tutaj, tutaj każdy był w sobie i tylko dla siebie. Instykt stadny nie istniał. Podróż nie jest celem, a środkiem do celu.

Tak jak dla tego człowieka. Stał jak reszta, ale można było wyczuć jego determinację. Ubrany zwyczajnie, nierzucający się w oczy, przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeszcze wyczekiwał na swój moment, może na odpowiednich ludzi. Ale można było poznać, że niedługo eksploduje i wtedy wybuchnie. Widziałem to wielokrotnie.

– Ludzie, posłuchajcie! – powiedział wreszcie, podnosząc ręce w górę.

Wagony podskoczyły i wpadł na stojącą obok grupkę.

– Przyjmijcie me słowa! – mówił dalej, za nic mając irytację współpasażerów. Został nerwowo odepchnięty. Uderzył głową w zwisający z góry plastikowy uchwyt.

Niektórzy, pojmując, co się dzieje, wyjęli słuchawki i włączyli muzykę, by nie słuchać wywodu szaleńca.

– On już na was czeka! – mężczyzna prawił dalej. Jego postać zdawała się rosnąć w oczach. Czuł dumę neofity niosącego swoją ideę.

Zajechaliśmy na peron i wysiadłem z ulgą. Metro i tak nie dojeżdżało do Greki.

Do Greki nie dojeżdżał też autobus ani tramwaj.

Można było dostać się tam tylko pieszo bądź własnym autem. Nie miałem samochodu, bo spacer z dworca do Umieralni sprawiły mi ulgę. W placówce już na mnie czekali.

– Jesteśmy najlepszym ośrodkiem w Mieście – stwierdziła pielęgniarka na mój widok.

– To faktycznie powód do dumy – odparłem nieco zbyt obcesowo.

– Nie spyta pan: dlaczego? – zdziwiła się.

– Chyba wiem.

Złapała się pod boki i rozbawionym tonem rzuciła:

– Proszę w takim razie nie trzymać mnie w niepewności!

– No cóż... Ta obiegowa nazwa... Jak to szło? Umieralnia?

Pokiwała głową.

– Raczej nie jest zbyt odpowiednia, czyż nie?

Pogroziła mi palcem, uśmiechając się promiennie.

– Na pewno czytał pan już w prasie – z lady wzięła najnowsze wydanie *Ekspresu* i podstawiała mi pod nos.

– *Tam nikt nie umiera* – przeczytałem nagłówek na pierwszej stronie. – Ile to już lat? Swoją drogą to jeszcze bardziej pozytywne wiadomości. W końcu donoszą o jakichś miłych wieściach, nieprawdaż?

Wzruszyła ramionami.

– Mnie interesuje tylko, że od kilkunastu lat nasi pacjenci twardo się trzymają – odparła. – Ciekawe czemu?

– Bo ja tu przychodzę – powiedziałem.

Wybuchnęła szczerym śmiechem.

– Tak czy siak, może wreszcie nazwą nas jakoś inaczej – wyraziła nadzieję.

Tym razem ominąłem pokój 103. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie zajrzeć tam, ale słysząc odgłosy toczącej się kłótni, odszedłem zniesmaczony. Poszedłem prosto do Z.W.

Nie czekając na zezwolenie, rozstawiłem szachownicę.

– Nigdy nie pytałem, ale teraz muszę – powiedziałem nie odrywając wzroku od deski. Sytuacja była standardowa. Niewielka przewaga pozycyjna białych w partii hiszpańskiej, bardzo zresztą niebezpieczna. Skuteczny atak czarnych mógł w każdej chwili odwrócić losy spotkania. –

Co się stało, że wylądował pan tutaj?

*

- Jak mogłeś?! – krzyczała. – Jak, kurwa, mogłeś?!
- Uspokój się.
- Co ty sobie myślałeś, do cholery?! Że możesz z buciorami wpieprzać się w moje życie? W mojego ojca życie?!
- Ja tylko chciałem wiedzieć.
- Dowiedziałeś się czegoś, skurwielu?! Dowiedziałeś się?!
- Nie wiedziałem...
- Czego nie wiedziałeś? Żeby nie pytać? Mnie spytałeś kiedyś! Czy cokolwiek ci powiedziałam? Nie! I nie pomyślałeś, żeby przestać pytać?!

Chodziła wściekła przez korytarz, odbijając się w każdym lustrze. Jej furia potęgowała się w zwierciadłach. Wykrzywiła się i łamała. Spoglądała na mnie zewsząd, potworna do potęgi, groteskowa, upiorna.

Czułem się jak w piekle.

Te wszystkie twarze jak chore, surrealistyczne obrazy. Wizerunki gniewu, ruchome, zmieniające się raz za razem. Co chwila inne, ale takie same – emocjonalnie tożsame. Ile oblicz może mieć ludzki strach? Bo ona się bała. Wściekle się bała. A ja widziałem to po wielokroć, z każdej ze stron.

– To nie twoja sprawa! – wrzeszczała dalej. – Nie, cholera, nie mów nic! Już za dużo! Dość!

Więc milczałem, ale nie przestraszony. Byłem oniemiały. Oto przede mną prawdziwy teatr. Dynamiczny monolog, prawdziwy wybuch ludzkiej natury, zwykle schowanej głęboko, pod wielością fałszywych masek. Oto rzeczywistość duszy – tego pierwotnego tworu. Oto instynkt przekraczający świadomość, będący bazą, punktem wyjścia. Oto nagość w dosłownym tego słowa znaczeniu. Bo pod tym już nic nie ma, już nic nie pozostaje.

Mam słabość do teatralnych sytuacji.

– Dlaczego w ogóle tu musiałam cię szukać?! Wśród jakichś klaunów?! Żartów ci się zachciało?!

Z.W. nic nie jest. Upewniłem się, opuszczając Umieralnię. Atak paniki, przyspieszenie akcji serca i omdlenie. Dławił się, dusił, ale nie było to nic groźnego. Uciekał od odpowiedzi. Jak ona teraz.

– To żaden twój zasrany interes! – ciągnęła bezustannie. – Myślisz, że jak grasz z nim w jakieś szachy, to masz prawo wpierdalać się w jego sprawy? Jeśli sądzisz, że zadawanie się z jego córką do czegoś cię uprawnia, to się mylisz! Nie masz żadnych praw! I nikt cię nie prosi o pomoc! Nie robisz nam łaski!

Gorączkowy taniec powykrzywianych ciał w lustrach. Orgia. Kobieta miotała się po gabinecie jak zaszczute zwierzę. Doprowadzona do granic możliwości wypluwała z siebie słowa i gesty. Wyrzucała całą energię, całą irytację, jaka gromadziła się przez lata.

Kim jesteś kobieto? I dlaczego taka się stałaś? Ile sekretów chowa się w tym czarnym, cudownym sercu?

– Co ty sobie wyobrażasz?! Wydaje ci się, że kim jesteś, śmieciu?!

Czekałem na to pytanie.

Od dawna na nie czekałem.

– Spójrz na mnie – powiedziałem spokojnie.

– Widzę cię, kutasie!

– Nie. Nie widzisz. Spójrz uważnie.

Prychnęła.

– Naprawdę jesteś wariatem? Bo takim właśnie cię widzę!

– Naprawdę?

Zwróciłem się bokiem do mojego ulubionego zwierciadła.

– Spójrz tutaj.

Pełna nienawiści podeszła do mnie i wymierzyła siarczysty policzek. Chwyciłem ją za rękę.

– Patrz – rozkazałem.

Zerknęła, po czym odwróciła wzrok.

Po chwili spojrzała znowu.

– Widzisz, prawda? – spytałem ponownie.

Widziała.

Musiała widzieć.

Wybiegła.

*

– To może trochę potrwać... – usłyszałem w słuchawce.

Musiałem mieć dowody. Nie mogłem zdobyć ich inaczej, jak sprytem. Reżyser *Opowieści Nieprawdopodobnych* wydawał się najlepszym

rozwiązaniem.

- Zapłacę – odparłem.
 - Może coś konkretniej? Żebym miał jakiegokolwiek pojęcie na co zwracać uwagę.
 - Sporo zapłacę – uzupełniłem.
 - Dobra, ale chodziło mi o to, czego mam szukać w szczególności?
 - Sprawdź kroniki policyjne. I szpitalne akta.
 - Z.W., tak?
 - Tak, ale muszę to mieć przed poniedziałkowym programem.
 - Zobaczę, co da się zrobić.
 - Inaczej meczu nie będzie.
 - Człowieku... To nie ty jesteś Bobby Fischer, żeby nie zjawiać się na życiowe spotkania.
- Odłożyłem słuchawkę.
Miał rację.
Nie byłem jak Bobby Fischer.

*

Kot z zaciekawieniem oglądał telewizję, a ja ćwicyłem samomaty.

Przewrotność tego szachowego problemu jest czymś absolutnie fascynującym. Nie ma chyba innej szachowej zagadki tak doskonale odzwierciedlającej moją naturę.

Zaczynają białe. Mają tak grać, aby w określonej liczbie ruchów dostać mata od czarnych. Zawsze są stroną atakującą, a ich ostatni atak jest jednocześnie samobójstwem. Czarne kończą partię, wykonując jedyną możliwą obronę, podwójnie skuteczną, bo zwycięską.

Wygrywasz, kiedy przegrywasz. A jednak przecież przegrywasz...

Futrzak zerkał od czasu do czasu zmrużonymi ślepiami na deskę, jakby czuwając nad zadaniami. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wzdycha za każdym razem, gdy próbowałem błędnych kombinacji.

Mieszkanie znowu było martwe i puste. Spojrzałem na nie, obejrzałem wszystko, co przez te przekłete lata zgromadziłem. Sprzęty, fajki, kilka drobiazgów. I szachy. Zesłanie.

Rozległ się dzwonek telefonu. Odebrałem prawie natychmiast.

- Halo?
- Dzień dobry. Ja z ośrodka, pomyślałam, że może chciałby pan znać

stan naszego pacjenta po wczorajszej zapaści...?

Pielęgniarka miała niepewność w głosie.

– Proszę mówić.

– Wszystko już w porządku, ale...

– Ale dziękujemy sobie za współpracę, tak?

Kilkusekundowa cisza w słuchawce. Leniwe ziewnięcie kota, czołówka wiadomości.

– Bardzo nam przykro – odparła w końcu. – Był pan bardzo pomocny przez te cały ten czas.

– Również dziękuję – powiedziałem i rozłączyłem się.

Samomat.

Samo-mat.

Szach mat.

*

Na próbie panował chaos. Energia bezładnej płataniny unosiła się w powietrzu, zamieniając studio w mikrokosmos tuż po jego prywatnym wielkim wybuchu. Nadmiar materii w starciu z nicością; wiatr niezmiernych sił rozpychających wszystko w każdą stronę. Temperatura wrzenia, wirujące atomy potu wraz z falami promieniowania smrodu jakby dopiero co uformowanych, jeszcze przypadkowych, niestabilnych ciał. Kompletny brak symetrii, żadnego stałego ośrodka, wokół którego mogłyby powstać zorganizowane układy, a w konsekwencji galaktyki. Mikrozupełność o zbyt wielkiej gęstości, pozornie nawet bez jakiegokolwiek możliwości wyznaczenia choćby namiastki celu. Mieszanka barwnych, lokalnie niebezpiecznych zdarzeń, z których każde przeistacza się co chwila w coś innego. Morfowanie, ewolucja, wzrost i upadek. Dwubiegunowość konstrukcji rozpostartej na małej przestrzeni, ale bez szkieletu, bez siatki, na które można by to wszystko nałożyć oraz uporządkować. Stan dynamicznego status quo – gdzie w każdej chwili coś się zmienia wpływając na resztę, ale nie ma wpływu na stabilność niestabilności. Chaos zrodzony z pyłu.

I ja jako katalizator całego szaleństwa.

I on. Ciało mieszczące w sobie inne ciało. Umysł niemający własnych fal, tylko cudze. Czarna dziura, która już zakrzywia horyzont czasoprzestrzeni.

Ja i on. I nicość między nami.

Czemu wracasz, Bobby?

Co dalej, Bobby?

Rewanż, Bobby?

Przegrałem ledwie jedną partię szachów i moje życie się skończyło. Wszystko, co było naprawdę moje, zostało mi odebrane. Zostałem skazany na wygnanie. Od tamtej chwili to jest moje królestwo, mój własny, zastępczy świat, w którym nie ja ustalam zasady.

Zwycięzca zaś, jak zawsze, zdobył, co tylko mógł. To był jedyny słuszny wynik.

Teraz będzie musiał udowodnić, że dalej mu się to należy.

– Ledwo zdążyłeś – reżyser zaszedł mnie od tyłu, wrywając z rozmyślań. – Witaj w kurwidołku. To tutaj mieszkają diabły.

Nie miałem nastroju do śmiechu, ale mężczyzna chyba tego nie oczekiwał, wygłaszając kolejną ze swoich tanich kwestii, wyjętych z filmów klasy B. Pociągnął mnie w stronę dwójki młodych ludzi.

– To mój zespół – podjął na nowo. – Wprowadzą cię w scenariusz. Omówią każdą scenę oraz twoją rolę. Robimy show, jakiego świat nie widział.

Po czym rozpląnął się w pierwotnej mgłę młodego mikroświata studia telewizyjnego, zostawiając mnie w miejscu, gdzie przez kilka godzin wraz z dwójką asystentów odwracaliśmy strzałkę entropii. Pod koniec dnia ustawione były już światła i scenografie, a większość osób zaangażowanych w projekt wiedziało, co do nich należy.

Georga już nie było.

*

W poniedziałek rano otworzyłem drzwi, a kot spojrzał na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem.

– No śmiało – zachęcałem go. – Idź.

Wcześniej odczepiłem mu obrozę, nakarmiłem i znalazłem chwilę, aby usiąść przy nim i w spokoju zapalić fajkę. Tym razem nie uciekał. Przysypiał lekko, ale budził się co parę minut, by sprawdzić, czy nigdzie nie zniknąłem. W mieszkaniu panowała cisza.

Posprzątałem i ułożyłem rzeczy na ich miejscu. Kilka naprawdę zbędnych drobiazgów posegregowałem i włożyłem do kartonów. Książki,

pamiątki mogące służyć za zabawki, jakieś stare płyty z muzyką, szpargały, ubrania, w których i tak od lat nie chodziłem.

A teraz otworzyłem drzwi, by wypuścić kota.

– Idź – powiedziałem. – Nie wiem, kiedy wrócę.

Nie wiedziałem w ogóle, czy wrócę.

Niezależnie od wyniku partii zaczynało się nowe życie. Jeszcze jedno, kolejne. Wierzyłem, że już ostatecznie, bo razy można je tracić? Nawet gdybym wrócił tutaj, to czy naprawdę odkryłbym to samo miejsce? Byłbym przecież zupełnie kimś innym – obcym w obcym kraju.

– Nie wrócę – oznajmiłem w końcu.

Futrzak spojrział w stronę świata, który uchylił się przed nim na nowo. Dla niego to też kolejne życie. Już trzecie, co najmniej. Pierwsze spędził najprawdopodobniej na ulicy, przy kociej matce. Drugie rozpoczęło się, gdy przekroczył próg mojego sklepu. A teraz następne.

Jeszcze sześć – pomyślałem.

Niepewnie zerknął na mnie jeszcze raz. Potem wstał i otarł się o nogi. Zamruczał tak, że aż kucnąłem i pogłaskałem go po tej miękkiej, ciepłej sierści.

– Nie martw się – mówiłem dalej, nieco wbrew sobie. – Poradzisz sobie. Przecież wy zawsze spadacie na cztery łapy.

Zmrużył oczy, przyjmując pieszczotę. Nie było w nim ani żalu, ani wdzięczności, co przyjąłem z ulgą. Poszedł i stanął w progu. Odwrócił jeszcze łebek.

– Nie dramatyzuj – prychnąłem.

Zbiegł na dół i usłyszałem tylko, że ktoś otworzył drzwi od klatki schodowej.

Włożyłem buty.

Wyszedłem, by nigdy nie wrócić.

*

– Mam coś – szepnął reżyser, biorąc mnie pod rękę.

Przeszliśmy na ubocze. Studio było prawie gotowe. Jeszcze parę poprawek, z którymi nikt się nie spieszył. Do emisji zostało kilka godzin, ale nikt nie panikował. Wczorajszy chaos został opanowany, a mikrorzeczywistość w końcu ustabilizowała się. Ekspansja zwolniła, zmierzając niespiesznie do optimum, a zarazem maksimum. Niedługo

nastąpi punkt kulminacyjny, a po nim – czas powrotu. Entropia przywróci temu miejscu należny mu nieład. Dekonstrukcja dokona się w równie zawrotnym tempie, co konstrukcja. Rozpad kontrolowany. Krótkie jest życie telewizyjnego show, choć powtarza się po wielokroć – z każdym odcinkiem rodzi się na nowo, by umrzeć po raz kolejny.

– Ten twój facet, którego kazałeś sprawdzić... – mówił dalej reżyser. – Niewiele znalazłem.

Nalałem sobie hutta i pociągnąłem łyk. Ciepła kawa rozgrzała organizm.

– Sparalizowany od kilku lat, przenoszony z ośrodka do ośrodka. Długo leżał w śpiączce, a po wybudzeniu oprócz typowego paraliżu miał objawy katatonii. Rehabilitacja trwała, ale w końcu nastąpiła poprawa.

– Mów dalej – powiedziałem.

– Opiekuje się nim córka. Spadek, spory spadek, wydała na jego leczenie. Dzięki temu zaczął wreszcie się komunikować. Kasa w końcu się skończyła i gość wylądował w Umieralni, bo tam najtaniej.

Pokiwałem głową. To wyjaśniało sprawę naszego pierwszego spotkania na straganach.

– Wiesz, jak to się zaczęło? – spytałem.

– Mówisz o paraliżu? Do końca nie wiadomo, ale policja podejrzewa upadek z wysokości. Najpewniej z mostu, do wody, która w jakimś stopniu złagodziła obrażenia. To tylko domysł.

Pokiwałem głową. Reżyser wyjął papierosa z paczki i włożył za ucho.

– Palisz? – po zastanowieniu wyciągnął jednego w moją stronę.

– Mogę. Gdzie jest palarnia?

– Tam, gdzie jeszcze raz przećwiczysz sceny. Zespół już czeka.

*

Sekundy uciekały niespiesznie, ale konsekwentnie.

Półtorej minuty.

Nie było jej na widowni. Nie przyszła. Bezskutecznie wpatrywałem się w mrok okrywający publiczność. Nawet kiedy jeszcze paliły się światła, nie mogłem jej dostrzec. Widziałem tłum szczelnie wypełniający trybunę. Około setki osób, ale żadnej znajomej twarzy.

Minuta.

Ze zdziwieniem zorientowałem się, że jej wyczekuję. Zamknąłem

prawie wszystkie rozdziały tego życia i pozostał już tylko jeden. Mimo to niepewnie oglądałem się za siebie. Towarzyszyła mi ta beznadziejna myśl, że nic już nie można zmienić, że wszystko zostało zrobione. Byłem skazany na przyszłość, wrzucony w wir zmian. To, co za mną, już było, ale mimo to trwa dalej. We mnie. Niechciana przeszłość, już niezależna od niczego.

Pół minuty.

Z konieczności spojrzałem przed siebie. Dwa fotele skryte za kamerami, a za nimi szachownica. Oto, co mnie czekało. Tylko czy faktycznie ja czekałem na to?

Końcowe odliczanie. Dziesięć, dziewięć...

Czy tego właśnie chciałem? Zagryzłem wargi, starając się odsunąć każdą fałszywą myśl.

Zacisnąłem pięści i skupiłem się na planszy w tle. Ostatnia wojna. Już nie można się wycofać.

– Dobry wieczór wszystkim – zaczął mężczyzna w garniturze.

– Dziś nad Miastem ciemniej niż zwykle. Nadeszły burzowe chmury i nie widać gwiazd – zawtórowała mu współprowadząca. – Idealna pora do obejrzenia kolejnego odcinka *Opowieści Nieprawdopodobnych*.

– Ostatnim razem obiecaliśmy państwu rzecz niezwykłą, czyli uczestnictwo w niecodziennym pokazie, w którym rzeczywistość miesza się z niesamowitym.

– Dziś dotrzymujemy słowa. To prawdziwy precedens w historii telewizji. Spektakl iście metafizyczny. I prawdziwy...

– Choć nieprawdopodobny.

– Ale tego się państwo spodziewali, nieprawdaż?

Wyciemnienie. Kamerzyści najeżdżają na duży ekran gdzieś z boku. Pojawiają się na nim raz po raz jakieś sylwetki. Przed nimi mikrofon.

„*Co pan sądzi o tym pomysle?*” – pyta niewidoczny w kadrze dziennikarz zwykłego przechodnia.

„*«Opowieści Nieprawdopodobne» nigdy nie były zwyczajne, ale teraz naprawdę będą nieprawdopodobne*” – odpowiada pryszczaty młodzieniec, wyraźnie podekscytowany faktem obecności telewizji.

„*Nie oglądam tego*” – wypowiada się nieco przestraszona staruszka.

„*Ciekawa sprawa. Ja w to nie wierzę, ale trudno odejść od telewizora*” – mówi kobieta w okularach.

„*Genialne! Próbowałem nauczyć grać w szachy córkę, ale nie udawało*

mi się, dopóki nie wróciła któregoś dnia ze szkoły i powiedziała, że koleżdy ją namawiają. Musieli obejrzyć z rodzicami i trafiło. Cudowne!” – zachwyca się mężczyzna, za jego plecami ukrywa się mała dziewczynka.

„Nonsens! Nie istnieje coś takiego jak medium. A na pewno nie sprowadzi jakiegoś trupa, żeby grał w szachy. Taka to teraz telewizja?” – zapluwa się jakiś intelektualista w podniszczonej marynarce.

Studio rozjaśniło się na nowo, a szklane oko kamer spojrzało w stronę prowadzących.

– Opinie na temat naszego programu zawsze były zróżnicowane – wypowiedziała słodkim głosem kobieta. – Tak jest i tym razem. Nigdy nie zależało nam na jednoznaczności. Prezentowane przez nas historie mają wzbudzać emocje oraz skłaniać do refleksji. Tyle lat staramy się odpowiedzieć na tak wiele pytań...

– Czy istnieje życie po życiu? – zawtórował jej współgospodarz. – Jeśli tak, to jak wygląda? Czy człowiek jest w stanie widzieć więcej oraz w jaki sposób? Czy może mieć kontakt z rzeczami, w które trudno uwierzyć, a jednak mają miejsce? A przede wszystkim jak to wpływa na nas samych? Jakimi ludźmi się stajemy?

– Możecie nam nie wierzyć, ale nie przechodźcie obojętnie. Pomyślcie nad tym. Już ta sama chwila jest warta tych wszystkich wysiłków, jakie podejmujemy. I dokonujemy wszelkich starań, aby rozszerzyć horyzont rzeczywistości.

Oglądanie *Opowieści Nieprawdopodobnych* na żywo, wprost ze studia, dawało olbrzymią satysfakcję. Przez moment zapomniałem, po co tu jestem. Aż reżyser stuknął mnie w ramię, kiedy przyszła moja kolej.

– Zapraszamy! – powiedzieli prowadzący jednocześnie.

Wstałem z miejsca, by pokazać się w świetle reflektorów. Wyćwiczone skupienie na twarzy, pięć kroków do wymalowanej na podłodze linii i oto jestem.

– Obejrzyjmy krótki materiał o naszym gościu! – zaproponowali gospodarze programu.

Na ekranie tym razem ja. Pochylny nad szachownicą, grający błyskawicznie. Ledwo wroga figura opada na deskę, już stawiam swoją. Znużone oblicze, ruchy lekkie, wykonywane bez staranności. Spojrzenie wręcz nieobecne – oczy skupione gdzieś na nieistotnym polu, mętne.

Ja przy stole, ja przy ścianie. Ja z reżyserem w czasie próby, z asystentami ćwiczącymi ze mną scenariusz. Ja przed kamerą. Opowieść

o moim wolontariacie, o sklepie jubilerskim. Próba zgłębienia mojej przeszłości. Pytanie, odpowiedź, szachy. Wypowiedź jakiegoś arcymistrza o mojej grze – pozytywna, choć zdradzająca rezerwę. Wyszczególnienie moich najlepszych ruchów. Tabela wyników.

„Czemu gra pan w szachy?” – pytanie zza kadru.

„Tylko to potrafię”.

Film skończył się i włączono światła.

– To niesamowite, że nigdy nie startował pan sportowo – zagał prowadzący, dostrzegając zielone światełko przy jednej z pobliskich kamer.

– Nie, nigdy – przyznałem. – Grałem jednak mnóstwo i o wiele wyższe stawki – odpowiadam.

– Dziś zagra pan o prestiż – dopowiedziała kobieta. – Z samym Bobbym Fischerem.

– Zobaczmy teraz materiał o naszym drugim gościu – skwitował gospodarz.

Wyszedłem ze studia. Zgodnie ze scenariuszem. Film miał trwać kilkanaście minut. Dokładnie tyle potrzebowałem, by się uspokoić. Trudno opisać obawę, która zwykła nachodzić w takich chwilach. To strach każdego, kto czegoś wyczekuje. To uczucie zbliżania się do punktu niepowrotu, paraliżujące swoją nieuchronnością. Czas płynie jednocześnie i wolno, i szybko. Wydłuża chwile zwątpienia, a galopuje podczas oddechu fałszywej ulgi.

To matka czekająca na syna, od którego dawno nie było żadnych wieści. To zbliżający się do drzwi lekarz z wynikami badań. To spoglądanie w lustro przed podjęciem ważnej decyzji. To świadomość końca i niewiedza kolejnego początku. To jazda rozpędzonym samochodem w przepaść.

To moje życie.

Czekał w palarni.

Mój stary przyjaciel, mój stary wróg.

Tutaj nazywają go Pan Pneuma.

*

Nie musiał nic mówić – wiedziałem. Domyśliłem się w chwili, kiedy go zobaczyłem, siedzącego, z papierosem w dłoni. Wokoło nie było chmury

dymu, a żar, jestem tego pewny, był zimny jak lód.

– Wygrasz tym razem? – spytał.

Nie odparłem nic. Nie chciałem nic mówić.

– Nie wykluczam, że będziesz miał swój rewanż. Tutaj wszystko jest możliwe – dodał.

Usiadłem naprzeciwko.

– Ona tu jest, wiesz? – zagaił znowu po chwili milczenia. – Stoi na zapleczu i walczy ze sobą, aby nie wejść do studia. Ale wejdzie. Musi. Chce.

Pan Pneuma wyglądał jak ktoś, kto wieki spędził w piekle. Niewiele różniło się to od prawdy.

Prawdą było to, że on sam był piekłem.

Tak jak ja.

– Wygrasz tym razem – już stwierdził, spuszczać wzrok w blat ławy, na której stała brudna i śmierdząca popielniczka. – Jasna cholera, należy ci się. Po tym wszystkim, co tutaj przeżyłeś! Gdzie nikt nie wie, kim naprawdę jesteś. Należy ci się, naprawdę.

Jego papieros nie spalał się nawet wtedy, gdy się nim zaciągał. Uśmiech zaś wyglądał tak szczerze, jak to tylko możliwe przy prawdziwie nieszczerym uśmiechu. Coś płonęło wokół, chyba powietrze. Gęste, upiornie gorące – ale nie spalało się nic. To wrażenie dezorientacji, towarzyszące zawsze Panu Pneumie – je też pamiętam. Aż za dobrze.

– Ale pozwól, że coś ci zdradzę – kontynuował, wpatrując się prosto w moje oczy. – To już twój świat. Zadomowiłeś się, odnalazłeś. Cholera, nawet nagina się do twojej woli, jak Umieralnia. A dawne czasy?... Minęły. I nawet jeśli wrócisz, to przekonasz się, że nie było do czego wracać. Należysz do tego miejsca. A ona wraz z tobą. Jesteście siebie warci, ona też kiedyś przysłała do mnie zagubiona, jak ty. Jej tak samo dałem szansę. Skorzystała z niej, tak jak ty kiedyś. Pamiętasz? Byłeś moim odźwiernym. Dzięki mnie los innych zależał od ciebie. Ona też pragnęła skończyć ze starym życiem, wyzbyć się bólu i poczucia beznadziei. Stała się sama sobie panią. I teraz jest tutaj. Nie wierzysz mi? Przekonasz się.

Podrapał się po łysej głowie, pełnej blizn.

– Nie muszę ukrywać przed tobą, że to moja sprawka. Mam plan i jesteś jego częścią. To wszystko gra, a ja wygrywam. Oczywiście, jeśli mi na to pozwolisz. Bo od ciebie teraz wszystko zależy. I od tej partii szachów. Śmieszne, prawda? Znowu wszystko zależy od pieprzonych

szachów.

Zmrużyłem oczy, czekając na jego dalsze słowa.

– Ona od dawna należy do mnie. Mogę ci ją dać. Mogę pozwolić ci być tym, kim zechcesz. Wraz z nią. Mieć chociaż namiastkę tego, co miałeś kiedyś, kiedy grałeś w szachy dla mnie. Pamiętasz jeszcze, jak to jest być wolnym? Jak to jest móc robić to, do czego jesteś stworzony? Niczego nie udawać, być tylko sobą? I mieć wokół siebie innych, którzy cię wielbią? Jak to jest oszukiwać naturę oraz mieć z tego taką cholerną, zwierzęcą przyjemność? Pamiętasz. Ja wiem, że pamiętasz.

Zaciągnął się znowu.

– Ja tak, jakby to było wczoraj. Prawdą jest, że jesteś mi coś winny. Gdy wtedy przegrałeś, musiałem pójść za tobą. Straciłem dużo więcej niż ty. Ale nie chcę grać tą kartą, wiesz? Zawsze byliśmy zgranym duetem i dlatego cię proszę. Nie za darmo. Weź ją. Jest twoja. Zwolnię cię z tej klątwy bycia kimś innym. Nie będziesz już oszustem, ludzie będą wreszcie widzieli twoją prawdziwą twarz. Będą się bać, będą kochać. Będą od ciebie zależni. Będziesz miał wpływ, tak jak zawsze marzyłeś. Tak jak w Umieralni. Nie sądzisz chyba, że to tylko dzięki tobie ludzie żyją tam dalej? To też moja sprawka... Taka mała iskra dawnej świetności...

Nie chciałem słuchać więcej, ale Pan Pneuma mówił dalej:

– A ona da ci wszystko i jeszcze więcej. Proszę tylko, abyś ją wziął, abyś nie wracał. Tam już nic nie ma dla ciebie.

– Ale ty chcesz wrócić – odezwałem się wreszcie.

Uśmiechnął się. Zobaczyłem w nim siebie, opętanego żądzą prawdziwości, autentyczności. Nie byliśmy dobrymi ludźmi, choć tak nas stworzono dla tego świata. Wbrew naszej naturze.

– Zwolnię cię z tej klątwy. Mogę to zrobić. Niezależnie od tego, co wybierzesz, to nasze ostatnie spotkanie. Ja muszę wrócić. Ty nie możesz. To niesprawiedliwe, ale nic nigdy nie było sprawiedliwe. Jednak ja jestem gotów do powrotu. Ty nie. A tylko ty stoisz mi na drodze.

– Nie możesz nic mi zrobić – syknąłem.

– Nie – przytaknął. – I nie chcę. Dam ci wszystko, choć nie oczekuję nic w zamian, a jedynie proszę.

– Jakie to banalne...

– Diabli kusiciele zawsze byli banalni – zaśmiał się. – I tak nikt nie potrafił się im oprzeć.

W jego oczach zapaliły się kpiące iskry. Zdusił wreszcie papierosa,

wstał, by pochylić się nade mną.

– Ten kaleka to ojciec Georga – powiedział. – Dałem ci go dawno temu jako zaliczkę. I jako rekompensatę. Na ten właśnie dzień, na tę prośbę. Weź go i ją. Są dla ciebie. Bobby nie.

Zanim się zorientowałem, zniknął bez śladu. W parzącym powietrzu wisiało jednak jego ostatnie słowo:

– Proszę...

*

Szachowy zegar odliczał kolejne minuty, a ja starałem się nie patrzeć w jej stronę. Bo przyszła, naturalnie. Pan Pneuma nie kłamał. Nigdy nie kłamał, nawet wtedy gdy mógł.

Udawałem, że jej nie dostrzegłem, pochylając się nad stołem z myślą błądzącą gdzieś daleko, ale to nie była prawda. Wzrokiem długo i chciwie badałem jej postać wtedy, gdy nikt nie zwracał uwagi.

Partia grała się sama, lekko jak nigdy dotąd, zmierzając nieuchronnie do swojego końca. W blasku reflektorów czerń jaśniała jak słońce, zaś kremowa biel ciemniała. Zamiana stron, podwójna gra w grze – głęboko ukryte plany, tak oczywiste, a jednak jeszcze nie do końca znane, krystalizowały się w swoim własnym tempie.

Oszczędne ruchy przekazywane ludziom w studiu i przed odbiornikami, akcentowane ostrością rysów skupionych twarzy, objawiały walkę toczoną tak na planszy, jak i nad nią. Ktoś tam w innym pokoju cicho komentował sytuację telewizjom, tłumacząc posunięcia oraz skinienia brwi. Ale ja słyszałem tylko swój głos, wykrzykujący w duchu słowa usłyszane od Pana Pneumy.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jednak nie chciałem, by tu była. Łudziłem się, że jej obecność da ukojenie, potrzebny spokój, ale nie zdarzyło się nic z tych rzeczy. Owładnęła mną biała gorączka, pod czaszką miotła się wściekłość i bezbrzeżna irytacja. Wraz z tym nadeszło zwyczajne rozczarowanie. Nie nią, ale sobą, tym, co nagle odezwało się z dna samego siebie.

Bobby grał świetnie i jak zwykle nieobliczalnie. Ktoś inny niż ja dawno wpadłby w sieć jego zabójczych pułapek. Od samego początku miałem pewność, że to on, nikt inny. Siedział naprzeciw w zgniłym od duchów ciele Georga, w tym śmiesznym garniturze z mięsa, nieprzystającym do

niego. On, moja nemezis, człowiek, który wypędził mnie z należącego mi świata i zajął moje miejsce. Uzurpator, pchła niegodna zaszczytów, jakie go spotkały, czaił się na jakikolwiek błąd, na niedopatrzenie, moment zawahania i miał zamiar bezlitośnie go wykorzystać.

Już raz go nie doceniłem i straciłem wszystko. Teraz nie miałem już nic do stracenia.

Rozumiałem go. Wreszcie pojąłem jego fenomen. On grał duszą, grał emocjami. Jego szaleństwo wcale nie było szaleństwem. Był Mistrzem, wyrwał tytuł, a potem zrzekł się go, nie stawiał do obrony. Wiedział, że wielkość można zdobyć tylko raz.

A jednak teraz stawiał się do rewanżu. Do kolejnej walki o życie. Tym razem nie miał wyjścia.

Pod powiekami ujrzałem Umieralnię, w której od lat nikt nie umarł; Grekę, chłodną i groźną, moją ukochaną; stragany, na których ludzie tanio handlowali miłością. Myślałem o sobie, o Pneumie, o dawnym, utraconym życiu i tym nowym, które doprowadziło mnie tutaj. Teraz czekało mnie jeszcze jedno – inne, kolejne, trzecie.

Wiedziałem, że zacznie się z tego samego punktu, w którym skończyło się poprzednie. Zostanę wypędzony do następnego żywota za sprawą tego samego człowieka, który kiedyś odebrał mi prawo do bycia tym, kim miałem być.

Tym razem jednak miało być inaczej. Bo oto doczekałem się. Oto moja chwila. Na wyciągnięcie ręki – tak blisko, jak skoczek, od którego się zaczynała.

Zwycięska kombinacja. Rewanż. Nowy rozdział.

Spojrzeniem zbłądziłem na nią i uśmiechnąłem się. Byłem już pewny, nic nie mogło mi przeszkodzić. Serce, dawno wyrwane z piersi, wróciło na swoje miejsce. Zerknęła na mnie i też już wiedziała. Uśmiechnęła się, a gdzieś tam, daleko, pochylając się nad popielniczką, uśmiechał się Pan Pneuma.

I ja się uśmiechnąłem.

Zwycięska kombinacja.

Wygrana.

Samomat.

¹ Partia ta została rozegrana naprawdę. W roku 1987 pomiędzy Alexandrem Beliawskim (białe) a Larrym Christiansenem (czarne). Jest przykładem genialnej ucieczki od mata, a jej

końcówka jest równie zapierająca dech w piersiach, co skomplikowane maty w wielu innych rozgrywkach nawet na poziomie arcymistrzowskim. Pełen zapis dostępny na tej stronie: <http://www.chessgames.com/perl/chessgame?gid=1089020> (przyp. autora).

Rozdział III

Syn

Porwała mnie równo rok przed wypadkiem, w moje urodziny. Dwudziestego szóstego dnia szóstego miesiąca weszła do mojego pokoju, ubrana w ciemne, obcisłe jeansy i długą bluzę z kapturem. Pot spływał jej po czole.

– Jesteś moim sercem – powiedziała, ciężko dysząc.

Dodała:

– Długo na ciebie czekałam.

Rozpoznałem ją, chociaż nigdy wcześniej jej nie widziałem. Miała harde spojrzenie i nerwowe ruchy nieudolnie skrywające łagodność. Śpiewny akcent wydał mi się znajomy, a broń w prawej dłoni bliźniaczo podobna do plastikowego pistoletu z kosza na zabawki.

Biło z niej ciepło, chociaż na pierwszy rzut oka zdawała się zimną, pozbawioną emocji kobietą. Była inna niż Inge, kompletne przeciwieństwo – ta chowała swoją chłodną twarz głęboko pod płaszczkiem nadmiernie akcentowanej, pozornie przyjaznej wrażliwości.

Wyciągnęła szorstką, zimną dłoń i powiedziała krótkie:

– Chodź.

Poszedłem.

*

Jeśli ktokolwiek chciałby spojrzeć na nich przychylnym okiem, najpewniej straciłby oko. Naiwni, którzy widzą w nich ludzi, szybko orientują się w swojej pomyłce. Potwory mają ludzkie twarze – to fakt.

– Jestem niewinny – upiera się. Jest młody, całkiem przystojny, choć jego czoło przecina paskudna szrama.

Mój partner, Mark, chwyta się właśnie tego.

– Blizna mówi co innego. Od dawna lubisz takie zabawy.

To nasz stary sposób. Przed nami praktykowali go inni, a przed nimi jeszcze poprzedni. Sądzę, że to w ogóle najstarsza z wszelkich możliwych międzyludzkich komunikacji – wywołanie irytacji, zdenerwowania. Wściekłość spuszczone z łańcucha, wymieszana z poczuciem bezradności.

Opanowaliśmy to do perfekcji.

– To było jeszcze zanim wstąpiłem do Klubu.

– Ach, Klub... – Mark powtarza, sięgając po kubek parującej kawy. Jest paskudna, ale dla niego w sam raz. Idealne połączenie. – To opowiedz o Klubie. W końcu to was łączy.

Chłopak parska, nawet nie ukrywając pogardy. Trzeba przyznać, że jego twarz idealnie odwzorowuje myśli. Wszystko widać jak na dłoni, ale przecież tak ma być, o to chodzi. To cnota, z której musi być dumny, w której ćwiczył się przez lata.

To zawsze mnie dziwi, choć przecież nie powinno. W końcu twarz to jedyne, czego on i mu podobni nie zasłaniają przed światem.

– No śmiało, gadaj – włączam się w rozmowę.

Chłopak nie musi nic mówić. Wszystko już wiemy. Od dawna czekaliśmy na niego albo kogoś takiego jak on. Za bardzo odstawali od normy, wprowadzali element nieprzewidywalności. A nam płacą za to, żebyśmy trzymali rękę na pulsie.

I trzymamy.

Czasem jednak puls zanika. Tak jak w tym przypadku.

– Co chcecie wiedzieć? – rzuca dzieciak.

Wymieniamy z Markiem porozumiewawcze spojrzenia. Doskonale wiemy, że nas sonduje. To moja ulubiona część, najwrażliwsza – podjęcie gry. Teraz wszystko się odwraca i z przesłuchujących stajemy się przesłuchiwanymi. Musimy więc sypać, aby i on zaczął. Musimy dać przykład.

– Joseph K., dwadzieścia cztery lata – zaczyna się. – Urodzony tutaj, w Mieście, matka poczciwina krawcowa, ojciec nieznan. Może jednak nie taka poczciwina, co nie?

– Kto to teraz odgadnie? – odpowiadam pytaniem.

– Od trzynastego roku życia stały bywalec poprawczaków. Od siedemnastego miejscowych aresztów, później więzień. Dwie odsiadki po dwa lata, cztery łącznie. Blizna z pierwszego pobytu, z bójki na spacerunku. Nauczyl cię tam czegoś, synku?

– Wyciągnął lekcję, przecież po raz drugi już nie zarobił kosy.

- A od wyjścia aż do teraz spokojny obywatel. No pogratulować!
- Tyle że to w końcu wychodzi z człowieka.
- Co wychodzi, koleś?
- Skurwysyństwo, Mark.
- Tak, to zawsze wychodzi.
- Pod kapotą nie ukryjesz.
- W twarzy zawsze widać.

I już go mamy. Kipi ze złości, ujawnia całą paletę grymasów i barw. Mierzy nas wściekłym wzrokiem, życzy bolesnej śmierci. Trafiliśmy w czuły punkt.

- Chyba ma o sobie lepsze mniemanie, niż my mamy o nim, heh?
- Coś tak właśnie sędzę. Patrz, nie zgadza się z nami. Może my tu go źle osądzamy?

– No spójrz tylko. Po drugim wyjściu wstąpił do FejsKlubu. Nałożył pokutną szatę zakrywającą całe ciało, oprócz twarzy. Przepraszam... Muszę podzielić się tu refleksją, bo mnie zżera od środka. Ty to zrozumiesz.

Partner zwraca się ponownie do dzieciaka.

– Nie sądzisz, że strasznie pretensjonalna nazwa dla waszego kramiku? Nie mogliście wymyślić czegoś lepszego? Kurwa, Joseph! Przecież jak ty trafisz na trzecią turę, to cię tam grypsera zeżre na siedząco. Od trzech lat twoje ciało nie widziało światła, a buźka piękna. Teraz trzęsiesz się jak osika, a masz jedynie odkryte dłonie, szyję i włosy!

– A tam przecież do naga cię rozbiorą. Myć się jakoś musisz – dołączam się.

– Właśnie, jak się myłeś dotychczas? W ogóle się myłeś?

– Przecież FejsKlub nie pozwala nigdy zrzucić szat. Co one, takie cenne, że się z nimi nie rozstajecie?

Chłopak rozluźnia się, odnajdując wreszcie w sobie siłę. Uśmiecham się w duchu. Właśnie na to czekałem. To znak, że teraz zaczną walczyć, zaczną gadać. Jedni burzą się i wyrzucają na nas werbalne pomyje, inni starają się być inteligentnie protekcyjnymi. Każdy jednak w końcu mówi coś, co go pogrąża.

Usta otwierają się i słyszę:

– Chcę adwokata.

A jednak nie wszyscy – myślę.

*

W pubie nas ledwo tolerują. Sporo w tym naszej winy, bo bezczelnie sączymy drinki z miniaturowymi parasolkami, podczas gdy inni popijają piwo. Nie czujemy specjalnej potrzeby wtapienia się w tłum. Nawet nie dlatego, że czujemy się lepsi, choć pewnie pod pewnymi względami tak właśnie jest, ale raczej z tego powodu, iż przychodzimy tu jak do pracy. Tak to już jest – obowiązki się nie kończą. Kryminalni nie znają spoczynku.

Mark po raz kolejny przegląda papiery. Dokumentację zna już na pamięć, a jednak wpatruje się z uporem, szukając czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić nas na nowy trop. To dla niego znaczące. Lubi czytać, skończył filologię. Tylko że teraz nie ma czasu na czytanie dla przyjemności. Przykleja się więc do akt za każdym razem, szukając nie tylko śladów, ale i marnej namiastki rozrywki.

Dobrze go rozumiem. Nie otworzyłem książki od... Sam nie wiem ilu lat. A na półkach domowej biblioteczki dalej stoją stare tomy, wyczekując mojego spojrzenia. Cały czas dochodzą nowe, bo odkąd przestałem pić, wpadłem w nałóg kompulsywnego kupowania książek.

Ten drink przede mną to nie jest picie. Picie jest wtedy, kiedy koledzy z policji wsadzają cię na cztery osiem, a potem zastanawiają się, czy aby na pewno nie przedstawić zarzutów. To teraz, to jest nic, zwykłe pajacowanie, które do niczego nie prowadzi.

– Tu nic nie ma sensu – Mark dojrzewa do tego, aby odkleić się od lektury. – Ofiara miała dziewiętnaście lat, dopiero skończyła szkołę. Wybierała się na studia, marzyła o robotyce. Niezbyt typowe zainteresowania dla dziewczyny, ale jakby dodać do tego seksualne ekscesy, to wychodzi wzorzec. Lubiła chłopców, nawet chyba za bardzo, chciała się nimi otaczać. Po zeznaniach koleżanek widać, że eksperymentowała. Miała bujne życie, była ciekawa świata. Po co wstąpiła do fejsowców?

Nie patrzy na mnie, tylko przeze mnie. Rzadko w ogóle na siebie patrzymy. Na przestrzeni lat nasze mordy niewiele się zmieniły, jeśli nie brać pod uwagę blizn po stoczonych walkach. Pamiętam twarz Marka, Mark zna moją.

– Ich tryb życia jest mocno restrykcyjny – kontynuuje wywód. – I tutaj właśnie jest rozdźwięk. W domu trzymana krótko, z różnym skutkiem, bo

jest buntownicza. Jednak potrzebuje jakiejś formy nadzoru, tak sędzę. Wskakuje w dekadencję, w istocie marząc o prostocie życia. Przygodny seks może się podobać, ale szybko orientuje się, że to nie do końca to, czego oczekuje. Wpada więc z jednej skrajności w drugą.

– Dziewiętnaście lat to wyjątkowo głupi wiek – rzucam. – Szczególnie dla dziewczyny. Jeżeli nawet wiedziała, co robi, to nie wiedziała, jak to zrobić. Jeśli zaś nie miała celu, to rozpaczliwie go szukała. Może te seksualne przygody były tylko sposobem na ukaranie starych? Zawsze grzeczna, ułożona, jak spod linijki. Może wcale się w tym nie odnajdywała i patrzymy na to ze złej strony? Myślimy, że to była nagła przemiana, tymczasem ona mogła tego chcieć od dawna. FejsKlub czymś w końcu przyciąga ludzi, jest atrakcyjny na swój sposób.

– Właśnie o tym myślałem, ale przecież to takie banalne. Chce uciec od każdej ze znanych rzeczywistości, ale robi to bez żadnego wyczucia, jakby znała tylko czarne i białe.

– Nic pośrodku.

– No. I to brzmi nierealnie.

– To brzmi dziecinnie. Badamy jej sprawę, jakby była dorosła, bo teoretycznie była, miała te dziewiętnaście. No ale przecież dalej mogła być naiwnym dzieckiem.

Mark popija drinka bez zadowolenia. Cisza trwa parę chwil, aż w końcu przecina ją:

– To dalej chuja mamy.

Zawsze dziwi mnie jego skłonność do nadużywania wulgaryzmów. Jest inteligentny i wygadany, nie musi kłąć, a jednak to robi. Na dodatek z wyraźnym zadowoleniem. I często bez powodu. Wolę nie pytać go o to, bo boję się, że będzie miał dobrze przemyślaną wymówkę, która mnie przekona. Nie znając jej, mogę uważać, że nie jest wcale taki kryształowy. Że ma skazę, tak jak my wszyscy.

– Pójdę zapalić – mówię i wychodzę na zewnątrz. Palić można w środku, ale nie przepadam za tym. Tytoń lepiej smakuje na świeżym powietrzu.

Wchodzę w ciemną uliczkę za pubem. To miejsce Filozofa – bezdomnego i bezrobotnego nieudacznika, który mógłby robić wszystko w swoim życiu, ale nikt nie chce powierzyć mu niczego.

– Jak tam łapanie przestępców, kolego? – zagaduje, ujrawszy mnie w półmroku. – Masz przejętą minę.

– Facet złapany, tylko dowodów brak – odpowiadam.
– Nawet nie chcę pytać, skąd wiesz, że masz właściwą osobę, skoro nie masz nic na potwierdzenie jej winy.
– To nie pytaj.
– Na szczęście ja nie muszę. To twój problem.
– Prawdziwie filozoficzne podejście.
– Jeśli nie masz właściwych przesłanek, to nie możesz nawet zadać odpowiedniego pytania, nie mówiąc już o sformułowaniu jakiegokolwiek wniosku. Musisz zacząć od początku, kolego.
Wyrzucam niedopałek i przydeptuję nogą, by zgasić żar.
– Nie wiem, po co z tobą gadam.
– Na to też musisz znaleźć odpowiedź. Mam przeczucie, że po prostu szukasz szczęścia po omacku.
– Coś w tym jest...
– No to wracaj do roboty. Jestem zajęty. Niedługo przyjdzie Ciemniak i spróbuje mnie przegonić, jak zwykle. Muszę znaleźć jakiegoś kija.
– A mówią, że filozofowie nie są agresywni.
– Mówią wiele bzdur. A teraz won.
Odwracam się na pięcie i odchodzę parę kroków, gdy krzyczy do mnie:
– Hej, jak ty w ogóle masz na nazwisko? Może jak powiem, że cię znam, to Ciemniak się przestraszy.
Uśmiecham się półgębkiem, nie zaszczycając go odpowiedzią. Za długo go znam, żeby pozwolić mu dowiedzieć się o sobie czegoś konkretnego.
Gdy wracam do środka pubu, Mark ma już dobrze w czubie. Zaczął swój rytuał szukania zaczepki. Pora więc tradycyjnie mu przerwać.
Odeskortowanie go do domu kończy mój dzień pracy. Po powrocie do pustego mieszkania nawet nie zrzucam ciuchów. I tak nie będą w gorszym stanie niż teraz.

*

Po prostu wyszliśmy z domu, niezatrzymywani przez nikogo. Wsiedliśmy do jej furgonetki i odjechaliśmy w mrok. Pistolet kobiety – nowoczesny Zeuller 6.52 konstrukcji Miejskiego Konsorcjum Broni Palnej, najpewniej wykupiony od Żółtka spod stadionu za ciężką forszę – wylądował na moich kolanach i wtedy dopiero poczułem, co to znaczy

mieć los we własnych rękach. Ów los ważył czterysta pięćdziesiąt gram wraz z magazynkiem. Ów los miał kształt parabellum.

– Gdzie jedziemy? – spytałem.

– Do domu – odparła.

– Mój dom jest tam. – Wskazałem za siebie.

– Nie. Twój dom jest tam, gdzie ja jestem.

Uwierzyłem jej na słowo. Nie miałem wątpliwości, że ten matowoczarny Zeuller, broń jednostek antyterrorystycznych, nigdy nie mógłby zostać wymierzony akurat we mnie. Mogłaby zamordować za jego pomocą wszystkich innych, ale ja zawsze miałem być bezpieczny.

– A co...

– Są nieistotni – rzekła oschle.

Musiała wyczuć moje zaniepokojenie, więc szybko dodała:

– Po prostu pośpij sobie jeszcze kilka godzin. Do tego czasu będziemy daleko i opowiem ci, co tak naprawdę się dzieje.

Ale nigdy nie opowiedziała. Przynajmniej nie w całości.

*

Patrząc na tablicę poszlak i dowodów, muszę przyznać po raz kolejny, że utkwiliśmy w martwym punkcie. Brak powiązania rzuca się w oczy. Ostro kontrastuje z naszymi przeczuciami, że dorwaliśmy właściwego gościa. Z tego powodu tablica, obwieszona zdjęciami, papierami oraz różnego rodzaju drobnicą w rodzaju strzałek, pinezek, mapek, wydaje się tak naprawdę przeraźliwie pusta. Całość układa się w jeden wielki znak zapytania.

Mamy dostatecznie dużo materiału, aby trzymać Josepha w areszcie, ale jeśli czegoś nie zrobimy, niedługo stamtąd wyjdzie. Nie wystarczy jego obecność na miejscu zbrodni, zakrwawione dłonie i opór stawiany policjantom, którzy go zgarniali. Nie udało się złapać go na gorącym uczynku, a dopiero po fakcie. To i tak cud, bo zwykle podejrzanych szuka się dłużej. Akurat jeden z wozów został wezwany do napadu na jubilera, zaś najkrótszą drogą była wąska, ciemna uliczka oddzielająca dzielnicę Przedmian od Artyleryjskiej. To tam właśnie chłopak klęczał nad jeszcze ciepłym ciałem ofiary.

Z sekcji zwłok wynikało, że dziewczyna otrzymała kilkanaście ciosów w klatkę piersiową oraz głowę, z czego śmiertelny okazał się już pierwszy,

który przebił prawą komorę serca. Reszta została zadana *post mortem*, co zakwalifikowało zabójstwo jako zbrodnię z pasji, wyjątkowo bestialską. Na miejscu nie znaleziono jednak noża, a rzekomy sprawca nie miał żadnego motywu, by to zrobić. Przynajmniej nic do tej pory nie znaleźliśmy. Środowisko fejsowców pilnie strzegło swoich tajemnic. Panowała niepisana umowa, iż członkowie FejsKlubu za żadne skarby nie mówią nikomu o sobie ani o reszcie swojego grona. Nie dowiedzieliśmy się więc prawie nic o Josephie oraz jego życiu po drugiej odsiadce.

Od początku zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że będzie ciężko. Fejsklubowcy to specyficzna grupa o bardzo sztywnych zasadach, podobnych do tych obowiązujących w sektach. Od sekt odróżnia ich jedynie brak wewnętrznej struktury czy hierarchii. Nie skupiają się wokół jednej osobowości ani religijnej idei. Bliżej im do koła filozoficznego, prezentującego głęboko negatywny światopogląd oraz przekonanie o parszywej naturze ludzkiej.

Czasem się zastanawiam, czemu sam do nich nie wstąpiłem.

– Pamiętasz tego tajniaka? – pytam Marka – Tego, który infiltrował fejsowców?

– Tak, Judah. Judah A. – odpowiada bez chwili namysłu. Ma doskonałą pamięć. – Po co ci on? To było lata temu. Chyba teraz nawet nie pracuje dla nas.

– To dla kogo?

– Podobno zmienił branżę. To była jego ostatnia robota.

– Nie dziwię się, że odszedł. To musiało być chore gównno.

– Trudno byłoby się dziwić – przytakuje. – Sam chyba bym dał sobie spokój. Trudno powrócić do normalności po czymś takim.

– On wszedł bardzo głęboko, z tego co pamiętam.

– Musiał przejść inicjację, żeby w ogóle się tam dostać.

Aż przechodzą mnie dreszcze na samą myśl, że ktoś o zdrowych zmysłach pozwolił się tak okaleczyć tylko po to, aby zdobyć informacje.

– Gdzie on teraz jest? – próbuję.

– A kto to może wiedzieć? – partner kręci głową z miną wyrażającą zrozumienie. – Na jego miejscu wybrałbym cmentarz.

Po chwili dodaje, widząc moje zastanowienie:

– W łeb bym sobie palnął.

– Muszę go znaleźć – stwierdzam.

– Wątpię, żeby znał Josepha. Był u fejsowców na samym początku, na

długo przed tym chłystkiem.

– Tak czy siak nie zaszkodzi.

Mark kiwa głową, zgadzając się. Więc postanowione. Chwytam kurtkę i wychodzę w zimne, miejskie popołudnie.

*

Do studia tatuażu trzeba iść długo. Jest położone w najdalszym zakątku Greki. Wysiada się na ostatnim przystanku przed samą dzielnicą i przemierza brudne uliczki, by doczłapać się do odległego małego budynku na skraju niczego. To jak droga krzyżowa – ciężka, ciągle pod górę. Sposobności, by upaść, jest wiele. Podczas marszu ma się sporo czasu, by przemyśleć, czy aby na pewno chce się tam dotrzeć.

To było miejsce powszechnie kojarzone z Judahem. Pracował tam dorywczo, w nielicznych wolnych chwilach, tatuując praktycznie wszystko. Podobno wyszkolił całe młode pokolenie ekspertów, tworząc to najlepsze studio w całym Mieście. Sam nie miał ani jednego tatuażu. Zanim stał się tajniakiem, musiał usunąć wszystkie, aby nie wyróżniać się żadnymi znakami szczególnymi. To ważne w tej pracy, pozostać anonimowym.

I faktycznie Judah był anonimowy. Wspinając się na tę jego Golgotę, mijam różnych ludzi, w każdej twarzy widząc jego odbicie, a zarazem w żadnej nie rozpoznając jego samego. Miał prosty nos, podobny do innych prostych nosów. Patrzył szarymi oczami, tak jak spoglądają ci o równie szarych oczach. Miał tyle wzrostu, że był niższy od wyższych, a wyższy od niższych. Tusza w normie, włosy ni to długie, ni krótkie. Czarne albo blond. Zależy jak padało światło. Nie miał żadnego specyficznego akcentu, nie jąkał się.

Widząc go, wie się, że to on. Dlatego był idealnym tajniakiem. Wtapiał się w otoczenie bez żadnego problemu. Oczywiście zanim infiltrował fejsowców. Po tym, co u nich przeszedł, był nieodwołalnie spalony.

Dzwonek telefonu wybija mnie z rozmyślań. Patrzę na wyświetlacz i chwilę zastanawiam się, czy naprawdę chcę odebrać. To taka nieunikniona myśl, bo przecież muszę.

– Tak? – zaczynam suchym głosem.

Była żona od razu przechodzi do rzeczy. Muszę przyznać, że to jedyne co dziś mi się w niej podoba. Dziwię się sobie, jak mogłem kiedyś tego

nienawidzić.

– Maria bierze tabletki – słyszę. – Co w związku z tym robimy?

– Antykoncepcyjne?

Milczy. Głupie pytanie. Nigdy nie odpowiadała na głupie pytania.

– Ile ona już jest z tym... Jak mu tam? – pytam.

– Będzie z pół roku. Mówi, że go kocha.

Przygryzam wargę. Więc moja córka jest z tych naiwnych. Trudno, aby było inaczej, skoro rozpieszczaliśmy ją ponad miarę.

– Znaczą się już po fakcie? – dopytuję.

Kolejne głupie pytanie.

– Kurwa, ona ma piętnaście lat – rzucam.

– A on niewiele starszy – w końcu słyszę odpowiedź. – Nie skopiesz mu więc dupy.

– Ale mogę skopać jego ojcu.

– Jest tylko matka. I to raczej z tych mizernych. Wystarczy, że staniesz w proggu, padnie na zawał.

– No to sprawa nie jest trudna, co nie?

– Zrób coś z tym. Nie musisz być bucem. Tu trzeba czegoś wyrafinowanego. I najlepiej, żeby Maria się nie dowiedziała, że coś kombinujemy. Wystarczy mi, że już się buntuje. Nie życzę sobie, żeby to się przekształciło w jakiś romantyczny, tfu, dramat.

To zadziwiające słyszeć coś takiego z ust mojej byłej już żony, bądź co bądź rozedrganej emocjonalnie, poszukującej magii rzeczywistości i chciwej romantyczności poetki.

– Myślałem, że ją kontrolujesz.

– Bo kontroluję. Ale to nastolatka. Nie przewidzisz, co do łba wskoczy.

Milczę, grzebiąc w kieszeni kurtki w poszukiwaniu papierosów.

– Nie mam pojęcia, jak to załatwić – mówię w końcu.

– Słuchaj, on chyba lubi dziewczynki.

– Każdy chłopak w tym wieku lubi dziewczynki.

– Ale on za bardzo.

Odnajduję wreszcie paczkę i odpalam jednego.

– Dobra, puszczę za nim znajomego, niech się czegoś bliżej dowie.

Rozłącza się. Nie dziękuje, nie mówi nawet zwykłego „cześć”. To też w niej cenię. Łączy nas już tylko dziecko. Od czasu rozvodu nie musimy dłużej udawać, z którego to prawa korzystamy. I tak jest dobrze. Pozostajemy w najlepszych stosunkach od lat. Są ludzie, którym zerwanie

ratuje życie.

Przed oczyma staje mi mała, blond włosy dziewczynka wydzierająca się na ulicy wniebogłosy. Palcem wskazuje witrynę sex-shopu. W swojej naiwnej niewinności wydaje się jej, iż ten wielki czarny wibrator to fantazyjny lizak o smaku coli. Dziś, jak mniemam, moja córka nie popełniłaby tego błędu. Dziś jest już tylko naiwna.

Nie zauważając upływu czasu, docieram do celu. Oto jest – buda doczepiona do starego dwupiętrowego bloku mieszkalnego. Nawet w najlepszych swoich czasach, które zresztą dawno minęły, nie mogła wyglądać zachęcająco. Teraz strach w ogóle tam wchodzić. Na ruinach muru resztki graffiti. Wokół budynku butelki i strzykawki. A wśród nich uparcie rosną malutkie stokrotki – znak, iż natura nie składa jeszcze broni.

Mimo to wkraczam do środka w towarzystwie hałasu rozpadających się desek i sypiącego się na podłogę tynku. Wyjmuję i włączam latarkę. Wiązka rozświetla spaloną dalszą część pomieszczenia. Domyślam się, iż to właśnie tam stały fotele wraz ze sprzętem do pracy. Wszędzie przewalają się porwane, pogniecione szkice z niezrozumiałą mi sztuką. Biomechaniczne, dekadencjonalne rysunki, a dla kontrastu pospolite gołe babki wespół z motylkami.

Rozglądam się, ale już wiem, że nie mam tu czego szukać. To, co było cenne, albo spłonęło, albo zostało rozkradzione. Na próżno wypatruję dokumentów świadczących o tym, że ktoś kiedyś prowadził tu biznes.

Wychodzę i spoglądam w okna bloku. Ludzie stąd dawno nauczyli się nie gasić świateł. To względy bezpieczeństwa, trzyma z dala złodziei. Choć często w mieszkaniach nie ma nikogo, większość pracuje do późna, pije wieczorami, wyjeżdża, to lepiej nie ryzykować i włamać się tam, gdzie jest ciemno. Tyle że nie można wtedy liczyć na większy zarobek – wewnątrz sama drobnica, pamiątki oraz brud. Z tego powodu, paradoksalnie, rzadko kiedy dochodzi tu do złodziejstwa. Częściej wandalę wkraczają do domów, by po prostu niszczyć.

Nie wiem więc, kto jest, a kogo nie ma. Poszukuję cieni na ścianach – znaku, że ktoś krząta się w środku. Po trzech papierosach wreszcie dostrzegam sylwetkę w oknie. Co dziwne, w tym zniszczonym bloku jakimś cudem ostał się domofon.

Tylko po co, skoro nikt nie odbiera?

– Policja! – próbuję staroświeckim sposobem. – Otwierać!

Nie mam wiele nadziei, że to coś da, ludziom stąd za bardzo

spowszedniała ta sztuczka, jednak po kilku chwilach słyszę dźwięk zwolnienia zamka. Wchodzę na górę, gdzie czekają już na mnie otwarte drzwi. Z głębi korytarza, z półmroku, wychyla się starcza, zmęczona twarz, a tuż za nią młode, jeszcze bardziej zmarnowane oblicze.

Przepuszczają mnie bez słowa, wskazując tylko fotel w salonie. Jest brzydko, lecz zaskakująco czysto. Wiekowe meble są jak pamiętnik staruszka – zbierane przez lata świadczą o różnych okresach jego życia. Stoi za nimi nie byle jaka historia. Zawodowa ciekawość budzi się z otumanienia, ale powstrzymuję pytania.

Dziadek siada naprzeciwko i zaraz porywa ceramicznego aniołka oraz małą szmatkę. Z zapalem wyciera figurkę, zupełnie jakby ją polerował. Na meblościance stoi wiele takich posążków.

– Jest pan kimś w rodzaju kolekcjonera? – zagajam.

– Uzbierało się – odpowiada. – Mam jakieś zajęcie na starość.

Młody krząta się w kuchni. Jego postać pojawia się co i rusz za progiem. Raz za razem słycać brzęk sztućców i naczyń. Jest nieco niezdarny, powolny.

– To pana wnuk?

– Aż dziw, że rodzina, co? Zupełnie bez energii – odgaduje moje myśli. Uśmiecham się półgębkiem.

– Niech pan mówi, o co chodzi. Nie mam zbyt wiele czasu – dodaje z posągową miną, nie dając po sobie poznać, czy żartuje.

– Kiedy ta budka przy bloku się spaliła? – pytam.

Jeśli do tej pory było w jego oczach coś na wzór iskry sympatii, zniknęło w momencie.

– Kilka lat temu. Nie pamiętam dokładnie.

– To było podpalenie?

– A to nie pan lepiej powinien wiedzieć?

– Szukam dawnego znajomego – ignoruję sarkazm w jego słowach. – Pracował tu kiedyś z doskoku. Tatuażysta.

– Oni wszyscy tu tacy – macha dłonią, poirytowany. – Skąd mam wiedzieć, o którego chodzi? A zresztą i tak ich nie odróżniam. Ja nie wychodzę z mieszkania od dawna. Od tego mam wnuka.

– To może jego zapytam?

– On nic nie pamięta.

– Nie pokłada pan w nim zbyt wiele wiary.

Grymas niesmaku wędruje mu na usta. Pociera aniołka coraz szybciej,

coraz mniej dokładnie.

– Masz pan nakaz? – wypala w końcu. – Jak nie, to won. My nic nie zrobiliśmy.

– Już dobrze, spokojnie – wtrąca się młodzik, nagle znajdujący się tuż za mną. W dłoni trzyma staromodną szklanekę z ciemnego szkła, równie czystą jak reszta mieszkania. – Nie możesz się denerwować, przecież wiesz.

Odstawia naczynie na ławę i zwraca się do mnie, nie patrząc mi w oczy:

– Jestem zmuszony prosić pana o wyjście.

Nie kłóczę się, w takiej sytuacji gniew nie ma sensu. Ludzie zwykle nie palą się do współpracy z policją, o co trudno ich winić. I tak nie spodziewałem się wiele po tej wizycie. Mieszkańcy zapewne chcą wymazać z pamięci dawną obecność wszelkiej maści ewenementów, przyciąganych sławą najlepszego studia tatuażu w Mieście. Ich życie musiało stać się o wiele spokojniejsze, odkąd interes poszedł w diabły. Nic dziwnego, że nie życzą sobie powrotu do tamtych czasów, choćby nawet we wspomnieniach.

Posłusznie opuszczam mieszkanie i piechotą wracam przez Grekę na przystanek autobusu oddalony o kilka długich kilometrów. Dopiero wsiadając w nocną linię, wydaję z tylnej kieszeni spodni zmiętą karteczkę, o której istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Jest na niej napisane:

Jutro po zmroku przy Wesołym Miasteczku.

Dzień jednak nie poszedł w całości na darmo.

*

To, co wiem, to zaledwie strzępki informacji poskładane do kupy – z jej słów, listów, z pamiętnika, ze zdjęć. Nie o to jednak chodzi, żeby znać całą historię...

– Chodzi o to, żeby znać jej sens – mówiła.

Noc doprowadziła nas kilkadziesiąt kilometrów dalej, do ukrytego w lesie domku, gdzie już czekały łóżka i skromna kolacja. Oprócz nas nie było nikogo, chociaż chata z pewnością była zamieszкана. Na mocnych, drewnianych ścianach wisiały zioła i suszone polne kwiaty, a na półkach stały książki o niezrozumiałych dla mnie tytułach. W głębi izby, która

służyła za salon, sypialnię oraz kuchnię, stało małe dębowe biurko.

Wszędzie pachniało mocnym, aromatycznym tytoniem. Dym wsiąkł w deski, wniknął w kłody. Jego ślad wyczuwalny był w nielicznych starych meblach. Nawet biała pościel miała woń tytoniu.

Poczułem się naprawdę w domu.

*

Mark upiera się, żeby mi towarzyszyć. Bronię się z czystej przyzwoitości, bo lubię czasem się z nim drażnić. Zwykle jesteśmy konkretni i rzeczowi, wymieniamy półsłówka, rozumiejąc się doskonale nawzajem. Jeśli zaś konwersujemy dłużej, to na tematy związane z prowadzonymi sprawami. Na co dzień nie potrzebujemy gadaniny, nasze partnerstwo jest prawdziwie szorstkie, męskie do potęgi. Czasem jednak trzeba je przełamać lekką niekonsekwencją, choćby dla odmiany. I wtedy droczymy się, odczuwając w tej grze prawdziwą przyjemność.

I tak uważają nas za pedałów.

Stawia na swoim, bo to w końcu on wygrzebał informację. Mark ma talent do tego. Jest jak pies wygrzebujący kości innych psów. Prędzej czy później znajdzie absolutnie wszystko.

Oto więc dojeżdżamy do siedziby firmy Miss Komando. Bywam tam częstym gościem, choć pojawiając się zawsze tylko w desperacji. Gdy zjawiłem się tam po raz pierwszy kilka lat temu, z uzbrojonym po zęby oddziałem szturmowym, nie było miło, jednak w końcu wypracowaliśmy coś, co z braku lepszego określenia można nazwać konieczną współpracą.

Drzwi zawsze są otwarte, nie mają nawet zamka. Mimo to nikt nie ma wątpliwości, że nie jest to sympatyczne miejsce. Już przejście przez długi korytarz powoduje ścisk gardła. Na ścianach rozwieszono są wysokiej jakości zdjęcia z różnych militarnych akcji z każdego zakątka świata. Kroczy się wśród krwi i świszających kul. W biurze zwykle siedzi jeden człowiek, ale zanim w ogóle się tam dotrze, trzeba przejść gruntowną rewizję osobistą urządzoną przez dwóch ochroniarzy. Z doświadczenia wiem, że w każdej chwili z dobrze zamaskowanych drzwi prowadzących do tajnych pomieszczeń może wyskoczyć kolejnych kilkunastu żołnierzy. Tutaj już są zamki – całe mnóstwo.

Biuro jest tylko przykrywką. Miss Komando nie przyjmuje żadnych zleceń, choć przecież jest firmą ochroniarską. Przynajmniej na papierze.

Na wtajemniczonych czeka dalszy marsz w półmroku kolejnym korytarzem do głównego legowiska paramilitarnej bojówki.

Mnie puszczają po pobieżnym przeszukaniu, lecz Marka, którego widzą po raz pierwszy, kontrolują dokładnie i bezlitośnie. Ich ruchy są tak sprawne, że nie muszą nawet rozbierać nikogo do naga. To wyszkoleni żołnierze – wiedzą wszystko o urządzeniach podsłuchowych, broni oraz technikach wywiadowczych. Nic nie ma prawa umknąć ich uwadze.

Mój partner więc dowiaduje się, że pistolet odbierze sobie po wszystkim. Albo dostanie go pocztą. Spodziewam się, że raczej będzie musiał jednak zgłosić jego zgubienie, bo tu za bardzo i zbyt szybko przywiązują się do takich zabawek.

Miss Komando już czeka. Jej pokój w niczym nie przypomina surowego, żołnierskiego wnętrza, jakie mijaliśmy wcześniej. Wręcz przeciwnie, jest tu pełno gratów, zupełnie niezwiązanych z wojskiem i rozlewem krwi. Do moich ulubionych przedmiotów należy stary kranik do nalewaka z piwem. Jest to też ukochany artefakt właścicielki, która, zanim zaczęła walczyć z wyzyskującym ją systemem, prowadziła miły dwupiętrowy klub dla rockmanów.

– Browara? – pyta bezpardonowo na wejściu.

– Jasna sprawa – odpowiadam.

– Jeśli można prosić – mówi Mark.

Miss Komando mierzy go wzrokiem, po chwili wybucha szczerym śmiechem.

– No proszę cię, nie musisz się ze mną pierdolić. Gadaj jak człowiek. Widać po mordzie, że potrafisz.

I nalewa nam złocistego trunku z tego właśnie starego kranika.

Jej kariera skończyła się, zanim moja jeszcze na dobre się zaczęła. Będąc młodą, ambitną dziewczyną, postanowiła zrobić coś, o czym od dawna marzyła. Ojciec słuchał gitarowej muzyki, grał nawet jako muzyk sesyjny na kilku ciekawych albumach. Znał paru ludzi z branży, kontaktował się z liderami najciekawszych kapel w Mieście. Zmarł młodo, zgodnie z niepisanym kodeksem rockowców. Od tamtej pory pragnieniem Miss Komando stało się kontynuowanie drogi ojca na swój sposób. Wzięła więc kredyt i założyła klub.

Z początku układało się świetnie. Znajomi starego chętnie odwiedzali przybytek i dawali koncerty. Ludzie z branży pisali przyzwoite recenzje, polecali jak mogli. Od pierwszych miesięcy dziewczyna wychodziła na

swoje, inkasując niewielkie, ale jednak zyski. Mogła z nadzieją patrzeć w przyszłość oraz z radością w niebo, gdzie – jak sądziła – znalazł się jej ojciec.

Po jakimś czasie nastąpiły chude lata. Coraz więcej ludzi szło w ślady gigantów rocka – co chwila słyszało się, że ktoś kopnął w kalendarz. Zespoły rozpadły się, ludzie z branży stracili swoje pozycje, a na ich miejsce przychodzili nowi, niekoniecznie przychylni starym porządkom. Klienci wybywali, lokal pustoszał. Nie stało się to nagle, raczej przebiegało stopniowo. Goście omijali klub, znajdując sobie inne miejsca do spędzania wieczorów.

Zanim więc Miss Komando spłaciła swój pierwszy kredyt, już musiała brać drugi, który szedł na spłatę pierwszego. Chcąc ratować rodzinny sen, wzięła na siebie zbyt dużo, nie pojmując, że nie da się ożywić trupa. Choćby jeszcze ciepłego.

Jak można się spodziewać – klub Komando wreszcie został zamknięty na cztery spusty. Ten los podzieliła także właścicielka – za oszustwa finansowe i nieterminową spłatę wierzytelności trafiła na dziesięć lat do pudła. Wyposażenie zlicytowano, miejsce przejął bank, a kobieta nauczyła się marzyć o czymś innym.

Właśnie tuż po tym fakcie zacząłem pracę w policji.

– Widzisz tę bliznę? – pyta Komando Marka, rozpoczynając znane mi od lat podchody. – Zawdzięczam to twojemu koledze.

Pokazuje stary, okrągły ślad po kuli na ramieniu. Obok widnieje długa szrama od noża, uciekająca pod top w kolorze khaki.

– Tak się poznaliśmy, skurwysyn mnie postrzelił – kontynuuje kobieta.

– Zrobiliśmy nalot – wyjaśniam partnerowi. – Dostaliśmy cynk, że transport broni trafił właśnie tutaj.

– I trafił, ale zanim przyszli, już go nie było – uzupełnia. – Ani pistolecika. Oprócz tych, którymi strzelaliśmy do nich, oczywiście.

– Trójka ciężko rannych, pięciu lekko, jeden sparaliżowany – podsumowuję.

– A u nas wszyscy bez szwanku. Oprócz mnie. Jedna jedyna kula – jeszcze raz wskazuje na bliznę, kiwając głową w niedowierzaniu i rozbawieniu zarazem. – Jedna jedyna, która trafiła. Z jego gnata.

– Wyparli nas i zabarykadowali się na wiele godzin – mówię. – Potrzebny był mediator. Po wszystkim okazało się, że w magazynach wszystko legalne. Detektyw prowadzący śledztwo wyleciał z roboty.

– A ten spryciarz wkroczył na jego miejsce. Od tej pory jesteśmy jak rodzina, co nie, chłopaczku?

Wymieniamy z Markiem porozumiewawcze spojrzenia, popijając piwo.

– Ale gadaj, po coś teraz przyszedł, łajzo? – bezceremonialnie pyta właścicielka.

Mój partner unosi się na krześle, gotów równie bezpardonowo wyjawić powód naszej wizyty. Uprzedzam go jednak, zanim zacznie. Znam kobietę od lat i wiem, że nie należy zbyt szybko wykladać kart na stół. Miss Komando to typ pokerzystki, którą bawi gra w niewiadomą.

– Sporo wiesz i my też chcielibyśmy wiedzieć parę rzeczy – mówię. Mark zastyga, nagle tracąc rezon. – W końcu wszędzie masz parę wścibskich oczu, prawda?

– Nazwałabym te oczy raczej wyszkolonymi.

– Chętnie byśmy zobaczyli, co widziały – powtarzam.

– To zależy, co masz do targu?

– Kilka słów.

– Słowa są tanie.

– Wręcz przeciwnie – spoglądam teatralnie na zegarek. – Jeszcze przez następnych kilkanaście minut.

Mierzy mnie przenikliwym wzrokiem. Ma ochotę sprawdzić, czy nie blefuję. Już zdołałem ją zainteresować – to podstawa. Nie jest sztuką przekonać pokerzystkę, by spasowała przedwcześnie – prawdziwy majstersztyk to spowodować, aby rozsądek przegrał z ciekawością.

Wreszcie pogania mnie ruchem dłoni.

– Twój eks zostanie objęty programem ochrony świadków – wypalam.

Robi to na niej odpowiednie wrażenie. Odkłada kufel i wyciąga slima z paczki. Mark przytomnie oferuje ogień, orientując się w końcu w naszej rozgrywce.

– Wielokrotnie o to prosił – odpowiada po paru chwilach straconych w mentolowym dymie.

– Nie było powodów, aby otwierać mu furtkę.

– Nie do końca rozumiem – kiwa głową. – Musisz przychodzić z ważną sprawą albo po prostu mnie dymasz. Stanęliście w miejscu i nagle trafiliście na coś, co do mnie prowadzi. Prawdopodobnie mogę wam pomóc, ale nie opłaci mi się to, bo wcale nie ustalałeś tego z przełożonymi. Mam rację?

– Mam morderstwo młodej dziewczyny od fejsowców.

– Jeśli młoda, to zapewne płotka. Powiem ci z doświadczenia, że tylko stare rury, jak ja, które mają odwagę trochę pożyć, warte są uwagi.

– Gówniara jest nikim – odzywa się nagle Mark, zupełnie dla mnie niespodziewanie. Miss Komando niechętnie zaszczyca go spojrzeniem, nieufna i z miejsca nadąsana. Nie lubi rozmawiać z nikim, kogo nie zna. Zanim zaczęła traktować mnie poważnie, musiałem sporo się postarać. – Dziewczyna zainteresować może tylko nas. No i rodzinę. Rzecz jest grubsza ze względu na samych fejsowców. Od dawna nas wkurwiają. Tyle że nie było powodów, aby wyładować złość.

Wstaję i podchodzę do barku, ukrytego za antyramą z plakatem *Buduj dziś lepsze jutro* – sztandarowym hasłem grupy rewolucyjnej, do której dziś należy bojówka naszej gospodyni. Bez pytania wyjmuję butelkę najlepszej whisky, jeszcze z czasów funkcjonowania pubu Miss Komando.

– To chyba dobra okazja do świętowania, co? W teorii nie zobaczysz swojego byłego. W praktyce nie mam wątpliwości, że znajdziesz jakiś sposób na podziękowanie mu za spieprzenie kilku spraw.

Dusi papierosa w popielniczce z poźółkłej już kości i dopiero teraz na jej poraną twarz wojowniczkę wpełza uśmiech smutnej satysfakcji. Dotarło do niej, że będzie mogła odpłacić pięknym za nadobne. Jest cała nasza. Nie wie tylko, że wchodząc do finalnej licytacji, przegrała rozdanie. Nic z tego, co jej mówimy, nie jest prawdą – nie ma żadnej umowy. Program ochrony świadków nie obejmuje zawodowych zabójców skazanych na dożywocie.

– Potrzebujemy informacji o jednym z twoich pracowników. Tym, którego córka spotykała się z niejakim Josephem K. Chcemy wiedzieć co nieco o podejrzanym w naszym morderstwie.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć, co robił bachor jednego z moich żołnierzy?!

Mark wpada w chichot. Idę w jego ślady, dostrzegając, iż to działa. Oczy właścicielki wyrażają wpierw zdziwienie, potem podziw zmieszany ze wściekłością. Mój partner odczytał ją doskonale, dowiadując się o jej charakterze więcej w ciągu jednego spotkania, niż ja odkryłem przez lata. Mark śmieje się zupełnie jak ludzie, którzy przyłapali dziecko na kłamstwie.

– Załatwię to najszybciej jak się da. A teraz won od mojej butelki, łajdaki.

Wychodzimy tą samą drogą, którą weszliśmy. Tym razem jednak

kroczymy dziarsko, w dobrym humorze. Nie psuje go nam nawet fakt, iż broni pozostawionej w depozycie już nie ma. Na zegarku wciąż kilka godzin do zmroku.

*

Przy Marii zawsze mam ręce w kieszeniach. Ona zresztą przy mnie też. Tylko z innych powodów niż ja. Kiedy była mała, upuściłem ją, przez co musi chować szkaradną bliznę na czaszce pod burzą blond włosów. Szrama jest długa – na jej zszycie zeszło trzynaście szwów. Do tej pory nie lubię liczby trzynaście. Moją córkę zaś za bardzo świerzbią dłonie. Kiedyś uderzyła mnie pięścią w twarz. Trudno mi ją winić, zasłużyłem sobie.

Maria była upragnionym dzieckiem dwójki zakochanych. Wyczekiwana, planowana, potrzebna – wydawało się, że to wystarczy, aby wieść szczęśliwe życie i dać córce to, co powinno dawać się potomstwu.

Jednak w momencie, kiedy pojawiła się na świecie, wszystko zaczęło się psuć. Okazało się, że ktoś marzący o dzieciach niekoniecznie musi być dobrym rodzicem.

Gdy patrzę na Marię, widzę cały swój związek z Lilką. Naszą wielką miłość opartą na dumie. Podziwialiśmy się nawzajem. Żona widziała we mnie stróża porządku, posagową figurę, człowieka o mocnym sercu i silnym ramieniu, którego można się chwycić. Nie przeszkadzało jej to, że byłem po uszy umoczony w układach, takich jak chociażby z Miss Komando. Uważała, że nikt nie jest kryształowy do końca, że na każdym pięknie powinna znaleźć się skaza. Ja w Lilce widziałem prawdziwą artystkę – rozedrganą w swojej emocjonalności, ale wielkoduszną. Upatrywałem w jej poezji swojego miejsca, stałem za sceną, pilnując wszystkiego, dbając, by zawsze miała czas dla sztuki i realizowała ambicje.

Nigdy nie zrozumiałem, co ją tak naprawdę urzekło. Nigdy bowiem nie interesowałem się sztuką czy kulturą. Nie bywałem na salonach, nie czytałem, nie potrafiłem docenić niczego pięknego. Natychmiast jednak odnalazłem się w roli partnera pisarki. Usunąłem się w cień, oddałem pole, rezygnując z przewodniej roli w związku, podporządkowując się jej trybowi pracy, jej zachciankom. Byłem czymś na wzór prywatnego sekretarza.

To mi odpowiadało. Kapałem się w pianie spływającej po niej sławy.

Podpowiadałem coś czasem, instynktownie, zawsze obawiając się ośmieszenia. Ona jednak często korzystała z moich pomysłów, mówiła, że jestem jej męską muzą. Roztaczała wokół siebie artystyczny blask, z naszego domu zrobiła literacki salon. Przechadzałem się wśród poczytnych pisarzy, ich redaktorów i wydawców.

Wreszcie – stworzyłem jej dom, którego nigdy nie miała. Taki, w którym ktoś ją akceptował taką, jaką była.

Ale to tłumaczy tylko fakt, że mnie kochała, a nie jak się we mnie zakochała.

Nasz wspólny czas dzieli się na ten przed Marią i na ten po Marii. To dwie zupełnie różne epoki. Jedna wzrostu, druga upadku. O ile potrafiłem sobie radzić z żoną, o tyle nie znalazłem sposobu, jak należycie żyć z córką u boku. Lilka też nie odnalazła się w nowej sytuacji. Żona nagle straciła prymat. Dalej była królową domu, jednak pojawiła się konkurencja w postaci księżniczki, z której potrzebami trzeba było się liczyć. To przewróciło nasze życie do góry nogami.

Patrzę więc teraz na Marię i widzę to wszystko dokładnie.

– Więc co to za chłopak? – pytam wprost. Tylko tak z nią rozmawiam. Wprost. Wszelkie próby jakiegokolwiek innej, subtelniejszej komunikacji nie przynoszą rezultatów.

– Żaden – odpowiada.

To nie jest kłamstwo. To po prostu nie jest prawda. Dziewczyna dawno nauczyła się damskiego alfabetu. W tym nie istnieje ani prawda, ani fałsz. Są tylko półprawdy, nie-całkiem-błaga oraz tajemnica spowijająca każdą wypowiedź.

Jeśli mówi mi, że żaden, to znaczy najpewniej – żaden poważny.

– Ale ktoś się kręci? – dopytuję uporczywie.

– Spójrz na mnie – mówi, wzruszając ramionami.

I już wyczuwam banalność dociekań. Oczywiście, że ktoś się kręci. Jest atrakcyjnym podlotkiem, za którym oglądają się liczni. Po co w ogóle pytam?

– No to kto?

– Nikt.

– Lubię być na bieżąco. Nie martw się, nie obchodzi mnie, co robi w życiu. Za parę lat będzie robił coś innego. Spoważnieje.

Uśmiecha się lekko. Rzadko widuję radość na jej twarzy.

– Ma pracę. Dobrą pracę – pęka wreszcie.

– Dobrze, że sobie radzi. Grunt, żeby cię uszczęśliwił. Matka mówi, że jesteście razem pół roku.

– Coś koło tego.

Wyjmuję w końcu rękę z kieszeni i sięgam po papierosa. Denerwuje mnie ta rozmowa. Wiem, że prowadzi donikąd. Muszę czymś zająć dłonie, rozluźnić zaciśnięte wcześniej pięści. Kocham Marię, ale wkurwia mnie, że strach.

– Jaki to dom?

– Domyślam się, że nie chodzi ci o kolor?

– Dobrze wiem, że jesteś przemyślana, a ja głupkowaty. Nie musisz mi tego jeszcze udowadniać.

– Ale ty musisz mnie kochać – przerywa zaczepnie.

– Muszę – odgryzam się.

Po wzroku, jakim obdarza mnie odpalającego papierosa, domyślam się, że już zaczęła palić. Pewnie też pije. Na bank uprawia seks. A niedawno robiła w pieluchę. Mam nadzieję, że jest na tyle inteligentna, żeby nie ćpać. To byłoby wyjątkowo głupie. Ma ojca w policji – wie doskonale, że akurat o tym dowiedziałbym się, zanim zdążyłaby strzelić działkę.

Przynajmniej tak się oszukuję.

– Słuchaj, muszę lecieć – mówi.

– Matka powiedziała mi o antykoncepcji – wypalam, zrezygnowany. Nie mam czasu dłużej krążyć wokół sprawy.

– Cieszę się, że w końcu coś wiesz w tym temacie.

Nigdy w życiu jej nie uderzyłem, ale wielokrotnie miałem ochotę. Ona na szczęście nie miała takich oporów.

– Tato, nie martw się. Jestem odpowiedzialna. Nie będziesz dziadkiem.

– Masz piętnaście lat...

– I swoje własne życie. Powinieneś się cieszyć, że dzielę się nim z tobą chociaż trochę.

Odwraca się i pozwala mi zatopić się w furii. To najstarsza z jej metod, opracowana jeszcze w czasach, gdy dopiero uczyła się mówić. Po chwili jednak rzuca przez ramię z przyzwoitości:

– Możesz być o mnie spokojny.

Ale już daleko mi do spokoju.

Bernarda znam od czasów szkoły policyjnej. Jest jednym z tych, którym się nie powiodło. Od lat na tym samym stanowisku krawężnika. Przeżył awanse większości swoich kolegów. Z początku był zawiedziony i niezbyt dobrze znosił kolejne upokorzenia, pominięcia. Teraz okrzepł i znalazł złoty środek. Robi, co do niego należy, a także o wiele więcej.

– Więc mówisz, że mam śledzić twoją córę? – pyta, nie dowierzając tylko trochę. Słyszał już dziwniejsze rzeczy.

– Zwróć uwagę, z kim się spotyka. Z jakim kolesiem – precyzuję.

– Rozumiem, że chcesz obić mu mordę tak, żeby nikt nie skojarzył tego z tobą?

– Na razie po prostu muszę wiedzieć, kto to jest.

Kiwa głową i wyjmuje paczkę fajek. Podsuwa mi pod nos, co zwykły przechodzień mógłby zinterpretować jako częstowanie papierosem. Tymczasem pudełko jest przeznaczone na zwitek banknotów, które dyskretnie wkładam do środka.

Myślę sobie, że nie ma czegoś takiego jak „brudny glina”. Gdyby takowy istniał, oznaczałoby, że znaleźć można także „czystych”. Takowi nie istnieją. Nie ma nikogo, kto nie byłby uwarunkowany przez czynniki zewnętrzne, byłby daleki od ciemnych spraw i nie wiedział czegokolwiek o szemranych interesach, nie czerpiąc z tego wymiernych korzyści. Wszyscy coś wiemy, wyciągamy łapy i chowamy różne rzeczy po kieszeniach. Dzięki temu możemy zapomnieć, że nie wszystko jest w porządku.

I nie oznacza to, że nie zajmujemy się tym, czym powinniśmy. Ani że źli z nas ludzie. Robimy wszystko, co powinniśmy oraz o wiele więcej. Tak jak Bernard.

Ja dla przykładu zadaję się z terrorystami z firmy ochroniarskiej Miss Komando, by zdobyć informacje. Bernard szpieguje ludzi na zlecenie w tym samym celu. Zaś Mark – bywa, że handluje tym, czego obaj się dowiedzieliśmy. Stoimy po moralnie dwuznacznej stronie, jesteśmy rantem etycznej monety.

– Bo wiesz, znam takich, którzy mogą się nim zająć potem. Tak jakbyś chciał. Zaufani ludzie. Jeden emeryt z brygady antyterrorystycznej – kontynuuje policjant, tym razem odpalając prawdziwego papierosa.

– Nie musisz mi mówić takich rzeczy.

– Jestem wylewny w towarzystwie starych kumpli.

– Mógłbyś nie brać od takich kasy.

– Starzy kumple mogliby dawać więcej. Wiedzą, że płacę alimenty.
Poklepuję się ostentacyjnie po kieszeni, w której trzymam portfel.
– Wiesz jak jest. Kiepsko płacą – odpowiadam.

Chichocze, oddalając się do radiowozu. Lubię myśleć, że gdyby faktycznie wypłata byłaby większa, nie musielibyśmy dorabiać na lewo. Prawda jednak prawdopodobnie okazałaby się zupełnie inna.

*

– Być może jeszcze nie wie, że ją dymasz, ale wkrótce się dowie. Widać, że masz jaja. Na pewno chcesz je stracić? – mówi starszy już mężczyzna w szarej podkoszulce i ramionach pokrytych tatuażami.

Jego wzrok wyraża pogardę znamioną dla ludzi, którzy stracili w życiu wszystko oprócz tego najważniejszego i przez to mają ogromny żal do świata. Dla byłego partnera Miss Komando najistotniejszą rzeczą było życie.

Ale nie takie życie.

Już od najmłodszych czasów wiedział, jak potoczą się jego losy. Mógł szarpać się, miotać, ale w końcu i tak wyszłoby na to samo. Rzeczywistość nie podsuwała mu innych możliwości, więc szybko przystał na jej warunki. Doszedł do wniosku, że jedni mogą być, kim chcą, a on zostanie tym, kim trzeba. Nauczył się strzelać, a reszta przyszła sama.

I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

Przedemną siedzi człowiek, któremu prawie wszystko w życiu wyszło, jednak żadnej z tych rzeczy tak naprawdę nie wybrał. Jedyne, co się nie udało, to umrzeć w porę. Nie zamknął ostatniego rozdziału swojej książki, więc teraz kolejne karty musi pisać sam, zamiast zdać się na niewidzialną rękę wypełniającą treścią jego egzystencję. A nie jest dobrym pisarzem.

Na szczęście pojawia się ja, by za niego napisać najbliższą przyszłość.

– Dziękuję, poradzę sobie – odpowiadam, nie wnikając w szczegóły. Prawda jest taka, że nie do końca w to wierzę, ale nie mam innego wyjścia. Cała ta sprawa pochłonęła mnie bez reszty i gotów jestem zaryzykować, by ją rozwiązać.

Prawda jest taka, że w snach, na stole w prosektorium widzę ciało ofiary z twarzą mojej córki. Dlatego brnę coraz dalej i dalej – by już więcej nie przeżywać tego koszmaru.

– Podsumujmy – mówi więzień. – Mam rozpuścić wieści, że chcą nadać mi status świadka koronnego, że niedługo wyjdę. Wszystko po to, aby moja eks kupiła twoją bajeczkę, by dała ci informacje, których potrzebujesz. Jeśli dotrze do niej, że sam chwale się wszem i wobec, łyknie haczyk. Ty trafisz na trop, a ja dostanę przeniesienie do zakładu o zmniejszonym rygorze oraz pisemną obietnicę...

– Nie dostaniesz niczego na papierze – wchodzi mu w słowo.

– Pisemną, kurwa, obietnicę... – cedzi gniewnie. – Pisemną, kurwa, obietnicę, że mogę starać się o zmniejszenie wyroku po łącznej odsiadce dwudziestu pięciu lat, czyli już za dwadzieścia lat, zgadza się?

Kiwam głową.

– Żadnej gwarancji, że zostanę wypuszczony?

– Nikt nie da ci czegoś takiego.

Tym razem on kiwa głową. Nie jest pazerny. Wie, że i tak może ugrać sporo, ale w ręku mimo wszystko trzyma znacznie słabsze karty. Już cieszy się z tego, co może wycisnąć z sytuacji.

– To brzmi całkiem nieźle, biorąc nawet pod uwagę, że chętnie zagram byłej na nerwach raz jeszcze – kontynuuje. – Nie przewidziałeś tylko jednego, małego, kurwa, faktu! Jak zacznę się chwalić, że zostanę koronnym, to się rozniesie, zem kapuś. Wiesz, co takich czeka na Pawilonie? Kosa pod żebra.

Jak kłamać, aby prawdziwy kłamca wziął słowa za prawdę? Nie ma żadnego układu, żadnych ustępstw, żadnego więzienia o zmniejszonym rygorze, żadnego zwolnienia warunkowego. Nigdy nie było żadnej autoryzacji tej oferty, jest tylko wielka blaga i blef. Tylko desperacki plan z małą szansą realizacji, ale mi to wystarczy. Wierzę w to, nie mam zamiaru się wycofać. Za dużo już spędziłem nad sprawą morderstwa małolaty. Za bardzo się zaangażowałem.

– I tak nie bywasz na spacerach, prawda? Zadomowiłeś się w izolatce. Inni osadzeni nie mają z tobą kontaktu. Tylko strażnicy. Wystarczy, że im powiesz, a podadzą dalej – mówię, w duchu modląc się, by w razie potrzeby naczelnik zakładu poszedł dla mnie na ustępstwa i zapewnił ochronę dla terrorysty odpowiadającego za śmierć kilkunastu ludzi.

Chrząkam i dodaję:

– Zresztą wiesz przecież, jak sobie radzić. Byłeś blisko przejęcia wszystkiego po swojej byłej, prawie wygryzłeś Miss Komando. Nie boisz się niczego. Gdyby było inaczej, nie zastrzeliłbyś jej syna.

Z jego spojrzenia wreszcie znika pogarda, a pojawia się zdegenerowana duma oraz samozadowolenie.

– To było dawno temu... – odpowiada.

– Jakiś ty skromny...

Wstaję od stołu, ale zanim wyjdę, zadaję jeszcze jedno pytanie:

– Te tatuaże... Zrobiłeś je u Judaha, w Grece?

– Nie znam nikogo o tym imieniu.

*

Wesołe Miasteczko po zmroku wygląda upiornie, czyli dokładnie tak, jak się spodziewałem. Jest to tak banalne, że strach. Tak oczywiste i zupełnie wyświechtane, że aż nie mogę tego pojąć. Oczywiście, nie spodziewałem się niczego innego, aczkolwiek i tak jestem zaskoczony. I zawiedziony. Czasem życie oferuje po prostu to, co musi.

Czekam już od dobrej godziny, zastanawiając się, czy dobrze robię. Wystawiam siebie na odstrzał, w końcu to Greka. Na gliniarzy w Grece nie czeka zbyt wiele dobrego. Nie mogę mamieć siebie, że nikt mnie tu nie zna – zbyt wielu przymknąłem, zbyt wielu podpadłem. Cała nadzieja w tym, że niewielu przychodzi tu za dnia, a już na pewno nikt w nocy.

Chyba że ktoś taki jak ja. I ten, który ma się zjawić lada moment.

We łbie pusto, a chciałbym myśleć o czymś. O czymkolwiek, chociażby o tym, czy dobrze robię, dorabiając ogon własnej córce. Nic z tego – pustka. Umysł przełączył się na tryb czuwania, oczekuje bodźców z zewnątrz, aby znów zacząć pracować. Jest gotowy, ale nie rusza. Zamiast tego utrzymuje ciało w bezlitosnym ruchu, nie nadając mu celu. Energia na wysokim poziomie, ulatująca w próżnię. Przemierzam drogę wokół obiektu raz za razem, dostrzegając coraz to nowe szczegóły, które przeoczyłem wcześniej. Zapamiętuję je, nie wiedząc czemu.

Zdarza mi się to dość często. Otaczający mnie świat zwalnia, zawieszając mnie w sobie. Nakazuje czekać, gdy wszystko we mnie aż kipi. Zwykle potem nagle rzeczywistość przyspiesza, a ja pomimo gotowości zostaję w tyle. Prawdziwa ironia losu.

Teraz jest właśnie tak. Zamyślony w bezmyślności słyszę dźwięk wystrzału, ale dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, co się dzieje. Jak zwykle reaguję z opóźnieniem.

Strzał pada z niezbyt daleka. W milczącej nocy bez problemu słyszę

odgłos ciężkiego biegu. Zrywam się z miejsca i ruszam w pościg za sam nie wiem kim.

Adrenalina skacze momentalnie. Serce pompuje krew z nadludzką szybkością, płuca chwytają powietrze na zwiększonych obrotach. Biegnę tak szybko, że zdaje mi się, że w ogóle nie dotykam podłoża – że płynę przez przestrzeń, frunę nad ziemią.

Euforia, niezrozumiała euforia, która tętni w żyłach, rozjaśnia mi wzrok. Wpadam między drzewa, wyławiając każdy wystający korzeń, każdą gałąź zagradzającą drogę. Przeskakuję nad kamieniem, skręcam co chwila, starając się nie zgubić odgłosów uciekiniera.

On tam jest, wyczuwa mnie. Nie zatrzymuje się, nie ogląda nawet za siebie. Doskonale wie, że ktoś go ściga, że jest blisko. Zna teren, wie, dokąd biegnie. Nie myli drogi, choć stara się mnie zmylić. Rzuca czymś, trafiając w drzewo. Po chwili znowu. Prędko jednak porzuca swój plan, orientując się, że na niewiele się to zdaje, że cały czas jestem za nim.

Nie widzę go. Drzewa stają się coraz gęstsze. To Gęstwina – stary las na pograniczu Grecji, będący jednocześnie miejską granicą oraz starym cmentarzem. Cierpliwe rośliny jakimś cudem przedarły się przez marmurowe nagrobki, wypchnęły na wierzch trumny, zwały posągi i zawłaszczyły to miejsce. Teraz to prawdziwa puszcza. Wydawałoby się, że to odwet flory na faunie – królestwo bez człowieka, gdzie strażnikami są stare drzewa, a pomagają im rozrastające się wściekle krzewy; gdzie mech zdradziecko porasta rozłupane płyty nagrobne, chowając je przed oczyma tak, żeby intruzi potknęli się o nie i rozłupali sobie czaszki o ostre krawędzie.

Prawda jest jednak inna – ten niegdyś piękny zabytkowy cmentarz został zdewastowany przez chuliganów, a potem zapomniany przez prawie wszystkich oprócz wyrzutków społecznych. Stał się azylem dla zbiegów, wywrotowców i zwykłych ćpunów.

Kiedy więc wreszcie pod butem rozpęka się butelka po wódce, a szkło przebija podeszwę i wbija się w stopę, padam jak długi wprost na krzyż z napisem *Nie zatrzymywałaś się za życia, nie zatrzymuj po życiu.*

Ironia losu.

Zbieram się powoli, pozwalając adrenalinie odpłynąć i pozostawić po sobie pustą, zużytą skorupę zwaną ciałem. O dalszej pogoni nie ma już mowy. Stopa rwie do żywego, to samo otłuczone ramię, którym chroniłem głowę przy upadku. Przy każdym wdechu czuję dojmująco kłujący ból –

prawdopodobnie złamane zebro. Zdarta tu i ówdzie skóra już zaczyna piec.

– Kurwa! – nie wytrzymuję.

Wyjmuję telefon z kieszeni spodni i już wybieram numer Marka, kiedy orientuję się, że coś jest nie tak.

Jeszcze bardziej nie tak.

Sięgam do kabury zawieszanej na pasku.

Broń zniknęła.

*

Gdy obudziło mnie poranne słońce, jeszcze przyblakłe, ale już ciepłe, ujrzałem człowieka. Przykucnął w kącie, brudny, śmierdzący i stary. Długie strąki siwych włosów opadały mu na ramiona, omiatały podwinięte pod gęstą brodę, zdarte do krwi kolana. Wychudzone ręce nerwowo zaciskał w pięści. Patrzył wzrokiem, który parzył.

– To tylko duch – powiedziała. – To nikt taki.

Wyciągnęła ku mnie dłoń.

– Chodź. Pokażę ci, kim jestem.

Ubrała mnie bez pośpiechu, delikatnie. Nie tak jak Inge, która zawsze spieszyła się, poirytowana moją dziecięcą nieporadnością. Inge wszystko robiła w milczeniu, choć całe jej ciało wściekle krzyczało. Teraz jednak, dopiero teraz, poczułem jak milczenie może być prawdziwe, bez fałszu – łagodne, lekkie.

Do drzwi odprowadzał nas wzrok starego. Kobieta nie zwracała na niego uwagi.

Na małej polance przed chatą stały dwa krzeselka, a na szerokim pniu rozłożono szachownicę.

– Umiesz grać? – spytała.

– Umiem – odparłem.

– Twój ojciec grał. Naprawdę świetnie grał.

Wylosowaliśmy kolory. Dostałem czarne.

– To ja – powiedziała prowadząc białego piona na b4. – Zapamiętaj. Jestem tylko tym małym, białym pionem wystawionym przed szereg, przeznaczonym do zbitia. Pisane mi umrzeć. Mogę co najwyżej się poświęcić. A jednak pod koniec tej gry zostanę kimś ważnym. Tak jak ty kiedyś zostaniesz.

Spojrzałem na nią, nie rozumiejąc.

– Kiedyś zrozumiesz. Grajmy – dodała.
Z wnętrza chaty dobiegł nas cichy śmiech ducha.

*

W pewien dziwny sposób Lilka jest zachwycona całą sytuacją. Opatrując mi nogę, trzyma w jednej dłoni bandaż, w drugiej papierosa. Moja była żona pali tylko wtedy, gdy pracuje, gdy pisze, gdy zbiera informacje o tym, co będzie pisać.

W jednej chwili więc wiem, że zostanę uwieczniony w jej książce. Można rzec – w końcu. Nigdy wcześniej nawet nie brała tego pod uwagę. Widocznie nie byłem na tyle ciekawy.

Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy nie. Pomaga mi, a jednak traktuje instrumentalnie. W pewien finezyjny sposób jest to obraźliwe. Ale czego miałbym się spodziewać? Dobrze, że mnie w ogóle przygarnęła.

– Paskudne – mówi, wyciągając kolejny kawałek szkła z mojej stopy. – Nie będziesz mógł chodzić przez jakiś czas.

– Akurat – odpowiadam, zaciskając z bólu zęby. – Jeszcze dziś stąd wyjdę.

– Chciałabym, ale nie sądzę. To może nie wygląda tragicznie, ale z pewnością takie właśnie jest.

Uśmiecha się pod nosem, wypuszczając kłęby dymu z ust. To irytujący obrazek – gdy kobieta nie umie palić. Lilka tylko symuluje, nie zaciąga się. Próbowałem ją nauczyć przez lata, jednak nic z tego nie wyszło. Po prostu nie potrafiła zrozumieć samej idei.

Pociągam trochę wódki z butelki.

– Nie zabawię tu długo, nie martw się – zagaduję.

– Mimo wszystko nie zdziwiłoby mnie to. Jak cię znam, to zaraz jak flaszka się skończy, będziesz chciał zdobyć następną. Choćbyś nawet musiał się czołgać.

Tyle razy to słyszałem, a wciąż dotyka do żywego.

– Już tyle nie piję.

I pociągam kolejny łyk.

– Aha – przytakuje. – Więc co z tym ciałem?

Wydaję cichy syk, gdy polewa stopę alkoholem, by odkazić rany.

– Nic, trup. Nie miał szans. Zaszedł go z tyłu i strzelił w głowę. Biedak nawet nie zorientował się, że nie żyje.

– I to z twojej broni, tak?

Kobieta nie pokazuje tego po sobie, ale boi się. Wie, że w każdej chwili do jej mieszkania może wparować uzbrojony oddział policji. Wyważą drzwi, wycelują broń, w razie potrzeby nacisną na spust. Pomagając mi, stwarza potencjalne zagrożenie i może zostać oskarżona o współudział w sprawie.

W końcu to z mojej giwery zamordowano w nocy człowieka. Podczas gdy ja czołgałem się przez groby do miejskiej dżungli, ktoś przystawił pistolet do skroni młodego chłopaka, a potem rozkwaślił jego mózg na chłodnym betonie Greki. Pistolet musiał zostać ukradziony wcześniej, gdy czekałem w umówionym miejscu na spotkanie nie wiadomo kogo.

Nie mogłem nie streścić sytuacji Lilce. Miała prawo wiedzieć, w co się pakuje.

– Prawdopodobnie – przytakuje.

– To w końcu Greka, tam wielu zdolnych ludzi.

Też się boję, o wiele bardziej, niż ona. Ktoś wziął mnie na cel i zaczął realizować swój dziwny plan. Działa szybko i skutecznie, a ja mogę się tylko domyślać, o co może chodzić. Na pewno jest to związane z prowadzoną sprawą, ale coś musiało się zmienić, skoro nagle, po dość długim już śledztwie, ktoś postanowił udupić detektywa prowadzącego. Gdyby nie to, że od pewnego momentu nie poruszyłem się z Markiem ani krok do przodu, pomyślałbym, że wreszcie jestem blisko.

Co się zmieniło? O co tak naprawdę toczy się gra?

– Jak zwykle trafiasz w samo sedno – odpowiadam Lilce, by nie pograżyć się ostatecznie we własnych myślach.

– Sarkazm mam wyćwiczony – uśmiecha się półgębkiem.

Nie kochamy się już, nie znosimy wręcz, ale coś nas do siebie ciągnie. Wraz z tą niezrozumiałą grawitacją idzie w parze coś na wzór szacunku. Jesteśmy ułomnymi ludźmi i wiemy o tym. A jednak widzimy w sobie również dziwne piękno, z którego trzeba szydzić, aby nie porwało duszy w szaleńczy bieg za sobą nawzajem. Żadne z nas już nie chce drugiego, ale nie potrafimy się odtrącić. Być może to ze względu na dziecko, ale wydaje mi się, że raczej pomimo to.

Oburzam się więc, że Lilka próbuje palić, opatrując mi rany, ale tak naprawdę rozpira mnie duma. Po tylu ciężkich latach wreszcie znowu traktuje mnie poważnie, w końcu stałem się kimś interesującym, niechby tylko jako „model” literacki, którego później przeniesie na karty swojej

powieści, tak jak malarz portretuje kogoś na płótnie. Błysk zainteresowania w oczach byłej żony to jeden z największych komplementów na świecie.

*

Mark zwykle nie odbiera telefonu, ale dziś jest inaczej. Wie, spodziewa się, oczekuje – że do niego zadzwonię. Trzeba sobie wyjaśnić, cofnąć się po własnych śladach, odkryć, co tak naprawdę się stało.

Mark wie, że skoro ktoś wziął się za mnie, to on jest następny na liście. Dziś więc, wyjątkowo, wciska zieloną słuchawkę i mówi:

– Oby, kurwa, to nie była prawda.

– Nie jest – odpowiadam krótko i rzeczowo.

Przez dłuższą chwilę nie wypowiada ani słowa, tylko głęboko oddycha. Nie przerywam ciszy – to jego cisza, jego czas na dojście do siebie.

Wreszcie dochodzi mnie trzask kamienia zapalniczki.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – dopytuję.

Ignoruje mnie i wypowiada wyuczoną regułkę na wypadek, gdyby jego telefon był na podsłuchu:

– Masz stawić się do wyjaśnienia. Jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz doprowadzony i przesłuchany. Lepiej dla ciebie, by stało się to dobrowolnie. Sprawa jest w toku. Nie chcemy wyciągać pochopnych wniosków. Konieczna jest rozmowa.

Potakuję tak, jak gdyby mnie widział. Wiem, że on też kiwa głową. Rozumiemy się doskonale, to żaden tajny kod. On wie, gdzie mnie szukać, zdaje sobie sprawę, że musi działać szybko, zanim grubym rybem skończy się cierpliwość i przyjdą po mnie. To może nastąpić lada chwila. Nie zgarnia się swojego bez powodu. Z drugiej strony – nie należy sobie pozwolić na zbyt długą zwłokę.

Noga rwie jak cholera. Choć nie ma w niej już odłamków szkła, czuję, jakby ostre jak igły kawałki wbijały się coraz głębiej pod skórę, drażąc drogę wprost do serca.

– Wiesz, co robić? – głos Marka tylko pozornie brzmi spokojnie.

Rozłączam się bez słowa.

*

Drzwi do mieszkania otwierają się. Z przyzwyczajenia sięgam do boku,

broni jednak jak nie było, tak nie ma.

– Co tu się dzieje? – Maria staje w progu zaskoczona.

Ma na sobie krótką, wyzywającą spódniczkę, zbyt obcisły top i ostry, choć w jakiś tajemniczy sposób odpowiedni dla niej makijaż. Jest śliczna, nawet gdy próbuje wyglądać na starszą. Mogłaby być aktorką, piosenkarką, modelką. Cudownie się na nią patrzy. I to właśnie jest najstraszniejsze dla ojca – widzieć kobietę we własnym dziecku.

– Drugi raz w przeciągu tygodnia – mówię. – Widzieć cię tak często to prawdziwe szczęście.

Lilka zawiązuje opatrunek na stopie i wyrzuca do kosza zużyte, zakrwawione bandaże. Siada obok, zbyt blisko mnie. Zawsze to robi przy córce. Jakby w ten sposób próbowała ją oszukać, że nasze relacje nic a nic się nie zmieniły. Kiedyś wyczytała, że trzeba utwierdzać dziecko, iż nawet po rozwodzie może istnieć przyjaźń między rodzicami. To oczywista bzdura – gdyby przyjaźń istniała, dalej byłibyśmy małżeństwem.

– Zamknij wreszcie mieszkanie – poucza córkę Lilka. – Ojciec nie potrzebuje widowni.

Maria omiata wzrokiem pokój. Kompletnie ignoruje moje rany, nie daje po sobie w ogóle poznać, że cokolwiek ją to obchodzi. Emocje wychodzą na wierzch dopiero w chwili, gdy dostrzega butelkę. Instynktownie chowam ją za siebie, zdając sobie sprawę z tego, jak głupi i pusty to gest. Dziewczyna w teatralny sposób trzaska drzwiami, wściekła podbiega do zlewu i nalewa szklankę wody, po czym stawia przede mną.

– Oddaj – nakazuje głosem nieznoszącym sprzeciwu i wyciąga rękę po wódkę.

– Bo to, co mi tu przyniosłaś jest niby o wiele lepsze? – warczę, poirytowany zachowaniem córki.

I tyle ją widzę. Ucieka do pokoju, manifestacyjnie trzaskając kolejnymi drzwiami. Dobrym jestem ojcem, zaprawdę...

– Przynajmniej tym razem nie dała ci w mordę – rzuca Lilka, odgadując moje myśli.

Po chwili dodaje:

– Nie daję sobie z nią rady. Czasami wydaje mi się, że jest obojętna wobec wszystkiego, a potem odstawia taką farsę, jak teraz. Coś się kotłuje w jej głowie, ale trudno jest mi to zrozumieć.

– Nauczyła się ignorować zbyt wiele – odpowiadam. – Część jednak dotyka ją do żywego. Jak to moje picie. I wtedy wychodzi z niej wszystko.

Nie potrafi jeszcze tylko odpowiednio reagować, ale nauczy się. Jeszcze wszystko przed nią.

– Masz o niej lepsze zdanie niż ja.

– Nie zrozum mnie źle, to wciąż rozkapryszona gówniara. Widzi to, co chce i jeszcze sporo czasu minie, zanim nauczy się widzieć to, co musi. Ona będzie lepsza niż my kiedykolwiek byliśmy. Ale póki co będzie gorsza.

Maria ma do mnie pretensję, że ich opuściłem, do matki zaś, że trzymała mnie tak długo. Jest typowym zagubionym dzieckiem dwójki ludzi, którzy nie wiedzieli, na co się piszą. Takich, którzy nie wytrzymali presji. Maria musiała wielokrotnie stawiać nas do pionu, nie wiedząc w ogóle, jak to zrobić.

Jednocześnie to właśnie ona była powodem naszego upadku i każde z nas zdawało sobie z tego sprawę. Nikt z nas nie był na to gotów – ani ja, ani Lilka, ani tym bardziej ona sama nie była na siebie gotowa.

Nie zazdrozczę jej życia.

– Dalej trzymasz stare telefony w szufladzie? Potrzebny mi jeden – proszę byłą. – Wciąż mam śledztwo na głowie.

Ktoś tam w świecie zabił młodą dziewczynę, w wieku naszej córki – kończę już tylko w myślach, nie chcąc przestraszyć Lilki.

*

Filozof zawsze jest w tym samym miejscu. Nigdzie się nie rusza, jakby nie interesował się już światem, nie miał tej ciekawości właściwej myślicielom. Jego rzeczywistość to wąska beczka ulicznego zaułku, wiekami są klapy od śmietników, których używa jako parasoli. Schronienie dla psa, nie dla człowieka. Oto synonim spsienia – inteligent w ciemnej uliczce, cuchnący i brudny, żaloszny.

To jego dziedzina, dominium. Urządził je na własną modłę jeszcze zanim w sąsiednim budynku pojawił się bar. Jest tolerowany dlatego, że potrafi udawać szaleńca, a przez to trzyma innych szaleńców z daleka. Lepszy znajomy diabeł od obcego...

Rękę Filozofa widać wszędzie. Pomimo wszechobecnego brudu i błota, zaułek wydaje się czysty. Zorganizował przestrzeń, ułożył ją według jakiegoś niepojętego feng shui. Wszystko jest na wierzchu, a jednocześnie nic nie widać. Najtrudniejszą sprawą jest oczywiście odszukanie samego

gospodarza tego miejsca. Gdzieś jest, ale tak naprawdę gdzie?

Prawdziwie filozoficzne pytanie.

Szukam go, bo dużo wie, wielu zna. To logiczne.

Jego wiedza nie jest wynikiem długich poszukiwań, nikt też nie naucza go meandrów codziennej egzystencji wprost. To, co zna, zna pomimo wszystko. Uczy się od tych, którzy czasem zabłąkają się do jego uliczki i postanowią go stąd wykurzyć. Obserwuje zjawiska, jakich na swoje nieszczęście jest świadkiem. Wie, kto z kim i dlaczego, ale dowiedział się tego pokątnie, przypadkiem, niechcący.

Nie zmienia to faktu, że to właśnie do niego udaję się po informację oraz radę. Rzadko to robię, polegając raczej na własnej siatce kontaktów, jak też typowej policyjnej robocie. Nie mam też do niego wielkiego zaufania, choć nie mam też podstaw, aby mu nie wierzyć. Jeszcze nigdy się nie zawiodłem na tym, co mi zdradził. Po prostu czuję się brudny, gdy muszę go o to prosić.

Kulawym krokiem wchodzę do zaułka. Staram się podtrzymywać się ścian budynków, jak i podpierać kijem znalezionym gdzieś przy jednej z alei, ale noga i tak doskwiera. Wiem, że bandaż znowu jest czerwony od krwi. Cieszę się, że ciężkie, wojskowe buty nie przesiakają na zewnątrz.

Wołam go, ale nie wychodzi od razu. Ma swoje metafizyczne sprawy, programowe konflikty czy przyzwyczajenia. Jeśli chce pogadać, sam się zjawi, jeśli nie, trudno. Wydaje mi się, że intuicyjnie wyczuwa, gdy ktoś coś od niego chce, a wtedy ucieka w głąb swej ulicznej twierdzy.

W końcu wyłazi nie wiadomo skąd. Rozpoznaje mnie i porzuca wszelkie obawy. Jest między nami coś na wzór sympatii, choć to określenie bardzo na wyrost. W końcu ani ja nie lubię jego, ani on mnie.

– Kto cię tak urządził? – bezbłędnie wyłapuje moją kontuzję.

– Mam nadzieję, że ty mi powiesz?

– Ja? – dziwi się. To taka jego gra. – Mogę tylko domniemywać.

– Byłbym zobowiązany.

– Powiedz coś bliżej o tym wszystkim.

I opowiadam. Podaję wszelkie zapamiętane szczegóły, licząc, że cokolwiek uruchomi jego pokłady pamięci i układ skojarzeń. Czasami człowiek nie wie, co wie i co może wiedzieć.

Nie przerywa, choć chwilami wyczuwam, że życzyłby sobie coś uściślić, ując inaczej. Wtedy próbuję opisać z drugiej strony, dopowiedzieć. Kiwa głową zadowolony.

Wreszcie, po wysłuchaniu całości, zadaje pytanie:

– Myślisz, że to ten tajniak stara się ciebie zrobić, abyś do niego nie dotarł?

Nie odpowiadam, zawstydzony, że nawet o tym nie pomyślałem. Wśród wielu scenariuszów ten brzmiał chyba najbardziej prawdopodobnie. Wciąż nie wyjaśniał zbyt wiele – na przykład kim tak naprawdę był ten szczeniak, który skrycie wcisnął mi w mieszkaniu staruszka kartkę do kieszeni ani dlaczego Judah miałby uciekać się do ostatecznych środków, bym go nie znalazł – ale jednak w pewien perwersyjny sposób pasował do całości, coraz bardziej pokręconej.

– Zaslugujesz na swoją ksywkę – powiedziałem do Filozofa.

Skrzywił się tylko. Potem powiedział mi jeszcze kilka rzeczy, które być może okażą się przydatne.

*

Ciągle mówiła mi, że stanę się kimś i muszę być gotowy. Mówiła, że wróciła po mnie właśnie po to, abym to zapamiętał. I z tęsknoty, bo jestem jej sercem.

Nie zadawałem zbyt wielu pytań, bo nie wiedziałem, o co pytać. Nie do końca rozumiałem, co się wokół dzieje. Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad tym po dziś dzień. Pewne rzeczy pozostają zakryte, inne niepojęte. Byłem pionem w czyjejś grze. Dalej jestem.

Matka niewiele mówiła o sobie, zdecydowanie więcej o mnie. Opowiadała o przyszłości tak, jakby się już wydarzyła, została zapisana i nam przychodzi tylko ją wypełnić. Nie wspominała o niczym konkretnym, mówiła zagadkami, ale nie miałem wątpliwości, że ona już to wszystko przeżyła, a teraz uczy mnie, jak sam mam to przeżyć. Dla małego dziecka było to jak wstąpienie do świata żywej fantazji, jak gra z wyobraźnią, jak budowa zamku na piasku.

Te kilka miesięcy mijało jak sen.

Sen z matką bez serca i duchem bez imienia.

*

– Tylko nie zgub – mówi Mark. – Tym razem będą drążyć...

Umówiliśmy się kiedyś z moim partnerem, że gdyby cokolwiek się stało, spotkamy się na moście Samobójców. Raz, jeden – aby sprawdzić,

czy kolejne spotkanie będzie potrzebne, czy raczej będziemy zmuszeni odstąpić od siebie i przejść na przeciwne strony barykady. Taka dżentelmeńska umowa, policyjny spiszek, wierność szorstkiej przyjaźni.

Stoimy więc, opierając się o barierkę, na której zawisli kiedyś smutni, młodzi mężczyźni. Obaj w kapturach, szerokich bluzach i okularach przeciwsłonecznych mimo pochmurnej pogody. Już nie jesteśmy młodzi, ale z pewnością jesteśmy smutni.

– Dzięki, ale co z tobą? Zostaniesz bez broni? – zapytałem.

Odchyła marynarkę, pokazując mi starego, dobrego Clinta zawieszoną pod pachą w specjalnie przygotowanej do tego uprząży. Znamcy nazywają go „Brudny Harry”, od imienia dawno zmarłego gliny, który nigdy się nie mył. Facet był za twardy na mydło i za miękki na kobiety. Jego żona zastrzeliła go właśnie z tego modelu, nie mogąc znieść ciągłych zdrad.

– Tak, działa – uprzedza moje pytanie. – Prawdziwy antyk. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że wolę oddać ci służbowy. Za tego zapłaciłem krocie.

Tylko z mostu Samobójców dokładnie widać cały mur otaczający getto Greki. Wynika to z topografii Miasta. Dzielnica jest tak położona, że trudno wyłowić ją na widokowej panoramie, również nie da rady jej dostrzec z drapaczy chmur w Centrum, gdyż leży na tyle nisko, że wygląda jak wielki dół, lej po bombie. Nie sposób zobaczyć mur z oddali, tak jak nie można ogarnąć jego całego z bliska, widząc ledwie fragmenty.

– Wracając do rzeczy. Musieliśmy go wypuścić – podejmuje na nowo, odnosząc się do naszego podejrzanego. – Prokurator zdecydował, że mamy tylko poszlaki, a sam pobyt na miejscu zbrodni nie świadczy jeszcze o niczym. Nie mamy broni, nie ma motywu. Jest tylko ciało i brak powiązań.

– Sam nakazał jego zgarnięcie – szepczę, zdenerwowany.

Mur budowano przez kilka lat, wtedy gdy poziom przestępczości osiągnął w Grece punkt krytyczny, z którego nie było już powrotu. Nagle dla wszystkich stało się jasne, że obrzeża Miasta utoną w morzu gangsterów, morderców i złodziei. Kto mógł, sprzedawał za marne pieniądze mieszkania i wraz z dobytkiem uciekał bliżej bezpiecznego ciepła Centrum – do Zarzecza, Przedgrodzia, a nawet niesławnej, choć słynnej Dzielnicy Trzynastej. W ciągu paru miesięcy w Grece zostali tylko najbiedniejsi i przestępcy. Wycofano wszelką komunikację tak, że

powstało miasto wewnątrz Miasta.

– No cóż, po wczoraj doszły nowe ślady. Okazało się, że z twojej broni został zastrzelony kolejny fejsowiec, bliski znajomy wcześniejszej ofiary. Uznano to za zbyt duży zbieg okoliczności. Każdy krawężnik w Mieście dostał twoje zdjęcie. Badają, czy nie masz z tym nic wspólnego.

– Skurwysyny, wrobili mnie.

– Toteż daję ci cynk. I spluwę. Cokolwiek nie zrobiłeś, z kimkolwiek nie gadałeś, byłeś blisko. Musisz iść za tym dalej.

Malunki, tagi i graffiti na Murze Greckim z tej odległości to zaledwie plamy i bohomazy. Tak samo zresztą z bliska. Ogrodzenie jest zapowiedzią tego, co czeka wewnątrz na każdego, kto ma odwagę tam wejść. Kiedyś ustawiono posterunki wzdłuż Muru. Oficjalnie podano, iż służby porządkowe obawiają się zamieszek z uwagi na bądź co bądź kontrowersyjny charakter budowli i chcą od razu gasić konflikt w zarodku. Szybko okazało się, że oddelegowani do ochrony policjanci mają tylko jeden obowiązek – odstraszenie ulicznych artystów, którzy koniecznie chcą wyrażać się farbą na tym kawałku przestrzeni. Wreszcie odwołano wszystkich, z uwagi na rosnącą krytykę społeczną. Mieszkańcy chcieli, aby ich pieniądze z podatków wydawane były lepiej. Od tamtej pory policja nie pojawia się w Grece bez wyraźnego powodu. Żadnych patroli, notoryczne ignorowanie zgłoszeń. Tylko morderstwa i porwania. W ostateczności nalot na dziuple narkotykowe przez antyterrorystów.

– Iść bez ciebie? – wyrażam wątpliwość.

Robi obrażoną minę.

– Nie kpij sobie z kolesia, który właśnie oddał ci swoją służbową broń. Mogę ci wybaczyć, że uważasz mnie za idiotę, ale jeśli masz mnie za szpicla, to w tym miejscu się pożegnamy.

Rozkładał ręce w geście kapitulacji.

– Dobra, przepraszam. Jestem przeczulony po ostatnich wydarzeniach. Po prostu muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną.

– Chyba znasz odpowiedź.

– Nigdy nie zrobiłeś nic przeciw mnie, kapuję. Słuchaj, naprawdę przepraszam.

Odwraca wzrok.

– Trzymam z tobą, ale nie dam się wyrolować jak ty – odpowiada po chwili. – Ktoś z naszej dwójki musi być sprytny.

*

Noga nie daje spokoju, ale i ja nie pozwalam sobie na konieczny odpoczynek. Pozostaję w ruchu, aby pozostać nieuchwytny. W tym momencie szuka mnie każdy patrol w Mieście. Wiem, jak to działa – smętni, zaspani policjanci snują się po ulicach, na motocyklach, w samochodach i pieszo, czuwając nad bezpieczeństwem dnia oraz nocy.

Nie wypatrują tak naprawdę nikogo, po prostu są, a ich oczy rejestrują. Wiele z tego zostaje zapomniane, pominięte, nieistotne, ale taka rzecz nie umknie ich uwadze. W jednej chwili byłeś swój, teraz jesteś obcy. Priorytetem jest znalezienie mnie, zanim ktoś naprawdę zacznie węszyć i niecierpliwić się. Tu nawet nie chodzi o zwykłą, policyjną robotę czy sprawiedliwość, ale i zatarcie śladów. Mając mnie przykutego do stołu, gotowego do zeznań, mogą ustalić najmniej groźną wersję – dla siebie albo i dla mnie.

Na razie wolałbym do tego nie dopuścić, bo z pewnością nie wiedzą więcej ode mnie. To nie działa na moją korzyść.

Staralem się więc omijać ich z daleka. Nie było to trudne, po tylu latach zna się rutynę pracy większości kolegów. Wie się, jakich miejsc unikać, w którą stronę nie patrzeć, aby nie zlokalizowała cię kamera. Nie pokazuje się samemu, najlepiej zawsze w tłumie i nigdy w Doowyloh, bo to dzielnica z największą liczbą krawężników. W końcu mieszkają w niej artyści i celebryci. Miejska wizytówka.

Na co dzień nie zauważa się tylu funkcjonariuszy czy patroli. Dziś naliczyłem blisko pięćdziesiąt nianiek i dwa razy tyle mundurowych.

Idę już bez kaptura. To Greka – paradoksalnie dzisiejszej nocy najbezpieczniejsze miejsce dla takiego jak ja.

Idę ponownie do spalonej nory Judaha. Idę wrócić do punktu wyjścia. Idę poznać fakty, wytropić tego pieprzonego skurwysyna. Dorwę go i wyciągnę, co chcę: co wie o fejsowcach, co wie o ofierze, co o zabójcy. Powie mi, czy tego chce, czy nie, kto wrabia mnie w morderstwo.

Z każdą kolejną myślą noga coraz bardziej doskwiera. Zdenerwowany, stąkam coraz śmielej i szybciej, co jednak nie pomaga, więc po chwili muszę zwolnić, paraliżowany bólem. Właściwie jestem tak zmęczony, że najchętniej położyłbym się na którejś ławce, jak kłoszard. Głód odzywa się w trzewiach, bebechy wibrują.

I wódka. Napiłbym się wódki. Niechby wreszcie ręce przestały się

trząść. Na dodatek kończą mi się papierosy.

Wygrzebuję skądś drobniaki. Kartę mam przy sobie, ale z oczywistych powodów nie mam zamiaru jej użyć. Zresztą, tutaj nie ma terminali płatniczych, bo niby skąd miałyby się wziąć? Izolacja dzielnicy pogłębiała się systematycznie, z roku na rok, w naturalny sposób. Dziś króluje tu twarda, tradycyjna waluta – monety, banknoty, długie ostrza noży i kule do pistoletów.

Jest jeszcze jeden otwarty bar o nazwie Stoik. Ponure, ciche miejsce, w którym siedzą ludzie nad pustymi kieliszkami, dawno pijani. Kupuję paczkę miejskich mocnych. Innych nie ma. Niech będą i takie...

Dalszy marsz jest długi. Wydaje się nie kończyć, ale gdzieś w połowie entego papierosa docieram na miejsce.

Tym razem w oknach nie pali się żadne światło.

Tym razem w ogóle nie ma żadnych okien. Wszystko wybite, blok wygląda jak dawno opuszczony.

Zastanawiam się, czy wszystko ze mną w porządku. Czy to zmęczenie, czy może czymś udało mi się zakazić rany i już zaczynam majaczyć na jawie?

– Jest tu kto?! – wołam w przestrzeń, ale nie odpowiada nawet echo.

Co tu się, kurwa, stało?!

Po całodziennym ruchu znajduję wreszcie czas, by po prostu usiąść na ziemi. Choć może raczej to czas znajduje mnie. Czuję się słabo. Nie wierzę własnym oczom. Na przekór wszystkiemu, nie mogąc złapać tchu (co spowodowane jest zapewne szokiem), odpalam kolejnego fajka. Duszę się i zanoszę kaszlem. Zdemolowany, opuszczony budynek wciąż stoi, jak stał.

Nie wiem, ile tak siedzę – na mokrej, śmierdzącej, brudnej ziemi. Nic nie jest tak, jak powinno, a ja powoli zaczynam się w tym gubić. Przestaję wierzyć zmysłom. Wracam ponownie do tamtego dnia, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy. Napotkałem zgoła inny obrazek, wszedłem w odmienną sytuację. Wygląda na to, że od tamtej pory minęły całe długie lata, a ja straciłem tego świadomość. Jednak ja nie postarzałem się więcej, niż powinienem. Nie jestem mądrzejszy, niż byłem. Wręcz przeciwnie.

Łapię za telefon na kartę, w jaki się zaopatrzyłem. W myślach już dzwonię do Marka, ale resztki instynktu samozachowawczego nakazują mi schować aparat z powrotem do kieszeni. Szkielet bloku spogląda na mnie dziesiątkami wybitych okien. Pustka zieje ze środka.

– Co się ze mną dzieje?... – mówię do siebie.

Wiatr przygania ciężkie chmury i ziemne robactwo wychodzi ze swych nor. Podnoszę się z trudem i nie bez obaw wchodzę do budynku. Ściany, wejścia, schody, są tam, gdzie je zapamiętałem, tylko brudne, rozpadające się. Próbuję stawiać ostrożne kroki, lecz kilkakrotnie potykam się, ciężko upadając. Obijam sobie szczękę i klnę bez opamiętania.

To tutaj, to właśnie to mieszkanie.

Nie pozwalam zawahaniu sobą zawładnąć i przekraczam próg.

Wewnątrz ten sam korytarz, tylko obrzydliwie pusty. Coś hamuje mnie przed wejściem do pokoju staruszka. Jest ciemno. Bardzo ciemno.

Siedzi tam, to musi być on. Stary szkielet, pozostawiony na pastwę losu. Poczerniała, rozbita czaszka opada na przegniłe oparcie fotela, a w kościstych dłoniach figurka anioła wraz ze strzępem szmatki.

I mała kartka. Dla mnie. Dla kogo innego?

A na niej:

Czym różni się to, co jest, od tego, co nigdy nie było?

*

Mark wyciąga odtwarzacz i po chwili włącza nagranie. Obraz jest czarno-biały, niewyraźny.

– Przyszło dziś – wyjaśnia. Słabe promienie rodzące się dopiero zza horyzontu słońca bardziej zaciemniają okolicę, niż ją rozświetlają. Ulica w kolorze betonu staje się naprawdę zimna, zimniejsza niż zwykle.

Przy tej pogodzie, w ciemnych okularach musimy wyglądać co najmniej podejrzanie. Ale mnie bołą oczy z niewyspania i nerwów, a Mark nie chce, aby ktokolwiek zapamiętał go w moim towarzystwie.

– Nie udało mi się tego zatrzymać. Szef zresztą odsunął mnie od sprawy – dodaje. Kiwam głową.

Na ekranie widok na jedną z ulic w Centrum. Poznaje ją od razu. To miejsce zbrodni, miejsce, gdzie zabito dziewczynę. Puste, jeśli nie liczyć fruwej wte i wewte jednorazowej reklamówki targanej porywami wiatru. Domyślałam się, że to dzień, w którym to się stało, ale nie pamiętam, aby wtedy wiało.

Mój partner chce jeszcze coś powiedzieć, ale przerywam mu. Staram się skupić, wyłapać każdy szczegół, co nie jest łatwe w moim stanie. Zziębnięty, trzęsący się po nocy spędzonej w kącie jednego z zaułków.

Czy Filozof tak ma codziennie? Czy przyzwyczał się już, zahartował w życiu bezdomnego? Czy może raczej ma dach nad głową, ktoś przygarnia go na chwilę, daje azyl? Czy minionej nocy byliśmy tacy sami?

Tuż przed kamerą ustawioną dość wysoko nad ulicą, pojawia się wysoka, chuda postać w czarnym płaszczu. Gdyby nie maska na twarzy, powiedziałbym, że to jeden z fejsowców. Nie robi nic, tylko stoi. Czeka.

Mark przewija nagranie. Minuty upływają na linii czasu, a człowiek stoi, jak stał. Właściwie bez ruchu, nieludzko. Nie mogę się zdecydować, czy to maska wieprza, czy hieny. Nieokreśloność to główny jego atrybut. Jedyne, co jest pewne, to natura siły emanującej z jego postaci – nieskończenie odrażającej. Patrzenie na niego sprawia ból. Ból w sercu, przenikający i otumaniający.

Kim jest i czego chce? Czy to nasz morderca? Czy po prostu świr? Pamiętam Ducha z dawnych czasów... Też potrafił godzinami przebywać w jednej pozycji, w dynamicznym, pełnym napięcia bezruchu...

Kręcę głową z niedowierzaniem. Wygląda bardzo naturalnie, tak bardzo swobodnie. Ocieka spokojem, a mnie przechodzi dreszcz strachu. Spoglądamy z Markiem na siebie i mój partner mówi:

– To jeszcze nic, poczekaj, za chwilę...

I wtedy pojawia się ona. Sama.

Więc jednak...

Reszta dzieje się błyskawicznie. Posągowy spokój całej sceny w nagłym momencie został bezpowrotnie zburzony. Nóż błyska odbitym światłem neonów. Dziewczyna nawet się nie broni. Czarna krew z jej piersi tryska na biało-szarą maskę napastnika. Wszystko dzieje się w mgnieniu oka.

Martwe ciało mężczyzna niezwykle delikatnie układa na ziemi. Dopiero teraz orientuję się, że nawet na nią nie spojrział, że cały czas patrzy w kamerę. Podchodzi bliżej, a pysk wieprza lub hieny jakby uśmiechał się jeszcze szerzej.

Koniec wideo.

– Nie widać twarzy, to może być Joseph K. – stwierdzam.

– Patrz na to – i Mark włącza kolejne nagranie.

– Czary-mary? – brzmi niski głos w małych głośnikach.

Miniaturowa kamera przypięta do koszulki, kiwająca się na wszystkie strony, chaotyczna. Wizja w kolorze. Słabe światło latarni nie obejmuje zbyt wielkiego obszaru, ale i tak wystarczy, abym poznał Grekę. Po

dzisiejszej nocy wydaje mi się, że tylko ją znam, że wsiąknęła we mnie, odcisnęła się na duszy.

Chłopak biegnie. W oku obiektywu raz za razem widać jego spocone przedramię. Na przegubie specjalny zegarek, będący jednocześnie muzycznym odtwarzaczem, ciśnieniomierzem oraz stoperem.

On tego nie widzi, ale na granicy światła z ciemnością co chwila pojawia się ten sam człowiek w czarnym płaszczu i masce świni bądź hieny. Jest mijany co parę metrów, a zaraz znowu znajduje się w kadrze. Ledwo dostrzegalny, ale obecny. Każda jego postać stoi nieruchomo, jedynie wzrokiem wodząc za kamerką.

Nie rusza się, nie biegnie za swoją ofiarą, ale zawsze tam jest.

– To niemożliwe – mówię.

– To tylko zagadka – odpowiada Mark.

Pochylam się w napięciu. Czuję na sobie wzrok mojego partnera. Jednocześnie nie mogę oderwać wzroku od ekranu. Bieg trwa dobrych kilkadziesiąt minut. Przyspieszam więc odtwarzanie.

Ostatnia minuta. Chłopak staje i łapie oddech. Opiera dłonie na kolanach i widzi chodnik. Jest z siebie zadowolony, zerka na zegarek. Udało mu się przebyć dziesięć kilometrów, spalił sporo kalorii. Serce wali mu jak młotem, ale to zrozumiałe. Śmieje się krótko.

Podnosi wzrok, a przed nim stoi już postać. Pistolet wyciągnięty przed siebie, wycelowany. Zanim chłopak zdąży cokolwiek powiedzieć, nie żyje. Głośny huk roznosi się po okolicy.

Kroki. Niespieszne kroki. I maska. To świnia, z pewnością świnia – stwierdzam w myślach. – Uśmiechnięta, brudna, tłusta, szalona maska karnawałowa.

Postać zdejmuje i wreszcie widać twarz.

Mark wyłącza nagranie i mówi:

– Chyba rozumiesz, że to nasza ostatnia rozmowa. Byłem ci to winien. Nie dzwoń już, uciekaj. Następnym razem zrobię, co muszę.

Twarz.

Moja twarz.

*

Po namyśle odstawiam i tak prawie pustą butelkę wódki. Zamiast tego wybieram najtańszą z kaw serwowanych w automacie. Czekam chwilę,

wsluchując się w burczenie maszyny i wreszcie wpatruję się w parującego, czarny napój. Zawieszam wzrok, zawieszam się, choć na chwilę. Staram się wyczyścić umysł i tym razem udaje się bez problemu, jakby wraz z odejściem Marka opuściły mnie wszelkie siły.

Podobnie czułem się kilka lat temu, odchodząc z mieszkania, w którym pozostawała moja najbliższa rodzina. Wiedziałem, że jeszcze tu wrócę, aczkolwiek nie zastanę już tego, co kiedyś. Wszystko rozpadło się nieodwołalnie. Zostały tylko strzępy dawnych uczuć, urwane relacje, pretensje i kawa w plastikowym kubku z wbudowanego w ścianę automatu.

Czuję, że coś nadchodzi.

Gniotę kubek w dłoni, wylewając parujący napój na dłoń. Wcześniej wypita wódka łagodzi ból. Poczuję go dopiero później, gdy wytrzeźwieję. Jedyne, co widzę, to światła pędzącego z dużą prędkością samochodu i zbliżającą się barierę policyjną.

I oczy matki w lusterku.

– Możesz wyć, kochanie – mówi zza kadru. – Zawyjemy razem?

*

Matka i Duch byli nierozłączni. Z początku spotykałem go tylko w chacie, w której skryliśmy się przed światem, ale szybko przekonałem się, że był z nią zawsze. Wytrawne i czujne oczy potrafiły go dostrzec, choć dla innych pozostawał nieuchwytny. Ja widywałem go za zasłoną deszczu, w kąciuku oka, w pół kroku od przepaści, o milimetr dalej niż sięgała wyciągnięta ręka.

Nigdy nic nie mówił, czasem tylko chichotał po cichu. Zwykle jednak obserwował z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nauczyłem się go ignorować, tak jak czyniła to Matka. Był tylko zjawą, niegroźną iluzją, choć od chwili, gdy pierwszy raz objawił mi się, wiedziałem, że czeka na jeden jedyny moment. Był zapowiedzią czegoś nieuchronnego, czegoś ostatecznego. Dopóki jednak nie nadszedł czas końca, grał zaledwie rolę towarzysza.

Matka wiedziała o tym tak samo jak ja. Dlatego przyszła po mnie tamtej nocy i wyrwała z rąk zastępczych rodziców. Musiała wykorzystać czas, jaki jej pozostał, aby przygotować mnie na to, co miało przyjść.

Nigdy wprost nie wyjawiała mi celu swoich nauk. Nie wiem, czy

w ogóle był jakiś konkretny cel, ubrany w kostium gotowego rozwiązania, panaceum. Myślę, że nie o to chodziło. Sądzę, że po prostu pokazywała mi, jak być wystarczająco silnym i mądrym. A gdy nie mogła już dłużej, gdy przyszedł jej czas i Duch śmiał się na tylnym siedzeniu, kiedy wreszcie policja nas znalazła, nauczyła mnie, jak odejść.

Chciałbym być swoją Matką.
Jestem jednak tylko mordercą.

*

Staram się nie myśleć. Pusty umysł zamiast udęczonych majaków – aby tylko nie zwariować, a przynajmniej nie zwariować przedwcześnie. Jest jeszcze dużo do zdobienia, zaś z pozycji upitego wariata nie osiągnę zbyt wiele. Człowiek, gdy tonie, brzytwy się chwyta.

Nie wierzę w to, co zobaczyłem. Nie wierzę, że mógłbym być zdolny do takich czynów. Na pewno nie po tym, co mnie spotkało, nie po tych wszystkich trudach i kłódach rzuconych przez los. Nie po decyzjach, jakie miałem odwagę podjąć, do których zrealizowania dążyłem od chwili, gdy Matka umarła w płomieniach samochodu na moich oczach.

Nigdy nie zabiłbym człowieka, wiedząc, jak boli utrata kogoś bliskiego.

Muszę udowodnić ten fakt, a można to zrobić tylko w jeden sposób – samotnie rozwiązać sprawę zabójstwa dziewczyny. Znikąd nie mogę oczekiwać pomocy, ale z drugiej strony czasami najlepszą motywacją jest kompletna desperacja.

Znam szefa wydziału oraz prokuratora, więc wiem, że dziś areszt opuści Joseph K. Dlatego że trzeba go w końcu wypuścić z braku dowodów, ale to rzecz teraz drugorzędna. Głównym powodem jest nadzieja tych dwóch starych lisów, iż podążę jego śladem, aby dowieść swojej niewinności. Liczą na to, że dzięki temu mnie dorwą. Młody fejsowiec jeszcze nie opuścił murów komendy Centrum, a już ma ogon. Jeszcze o tym nie wie, nie domyśla się niczego. Choć może nie doceniam jego przebiegłości.

Nie dam się złapać i zrobię, co będzie trzeba, aby wyrwać się byłym już kolegom oraz nie stracić go z oczu. Ubrany tak, by nie rzucać się w oczy, zasiadam w jednej z pobliskich knajp z szerokim widokiem na mury budynku policji. Joseph wyjdzie głównym wyjściem, jestem tego całkowicie pewien. Ludzie idą czasem na łatwiznę, chcą uprościć sobie

życie. Prokurator pragnie, by znaleźć mnie szybko i jeszcze prędeż przesłuchać. Życzy sobie, żebym poddał się już teraz, przy pierwszej lepszej okazji. Dlatego mój podejrzany wyjdzie tędy, nigdzie indziej. Jak przynęta, kusiciel.

I faktycznie, długo nie muszę czekać. Jest, wreszcie pewny i spokojny w swoim pokutnym, czarnym płaszczu. Staram się zachować spokój, ale pod powiekami znowu staje mi wspomnienie świńskiej maski z wideo od Marka.

Nie ulegam oczywistej chęci pójścia za nim i śledzenia go krok w krok. Zamiast tego mam asa w rękawie i zagrywam go natychmiast.

Filozof rozumie moje machnięcie ręką i zgodnie z planem rusza w ślad za mężczyzną. Podnoszę filiżankę kawy do ust. Spotykamy się z moim nowym partnerem za trzy godziny na moście Samobójców. Już wkrótce dowiem się, gdzie szukać tego sekciarskiego skurwysyna. Tym razem pogadamy sobie trochę inaczej.

Wypluвам czarny płyn z powrotem. Smakuje jak wódka, w której niedawno topiłem najczarniejszą rozpacz.

Dziś Bernard dyżuruje na skraju Rajskiej. To kilka minut drogi stąd. Szerokim chodnikiem idzie się malowniczą, kompletnie bezsensowną aleją wypełnioną do przesady lokalami oraz sklepami. Witryny krzyczą, muzyka wrzeszczy, gęsty tłum gwałci przestrzeń i siebie nawzajem. Pomimo naprawdę dużej przestrzeni ma się wrażenie przebywania w okrutnie ciasnej uliczce lub targu.

Na końcu Rajskiej znajduje się wejście do blokowisk, gdzie kwitnie handel logosiną – coraz bardziej popularnym narkotykiem, który oferuje poszerzenie percepcji. Od kwasu różni się głównie ceną, za którą jednak przemawia stosunkowo mniejsze ryzyko utraty zmysłów i zawieszenia w chaotycznej zupie własnej podświadomości.

Bernard lubi tam przebywać i utrudniać życie tym dilerom, którzy wcześniej nie zapłacili mu za odwracanie wzroku. Widzę jego niańkę, stoi pod drzewem, w cieniu. On, oparty o maskę, w przyciemnianych okularach, pożera pestki słonecznika. O tej porze nie ma jeszcze nikogo prócz niego.

Waha się, czy sięgnąć po krótkofalówkę i nie zameldować o mojej obecności. Poznał mnie nawet mimo kaptura głęboko naciągniętego na głowę oraz reszty przydużego, brudnego ubrania.

– Chcę tylko wiedzieć to, o co cię prosiłem, żebyś się dowiedział –

wołam z daleka, zanim zrobi cokolwiek. – Potem to twoja wola.

Nie zwalniam, więc jego dłoń rutynowo wędruje na kaburę z pistoletem. Nie ma intencji wyciągnięcia broni, robi to mimowolnie, bez udziału świadomości. Wyćwiczona rzecz, absolutnie niezbędna do pracy w patrolówce.

Dla pewności jednak unoszę ramiona do góry.

– Zamykam sprawę, sam rozumiesz – dodaję.

– Będziesz miał problem z zamknięciem tej konkretnej.

Nie wiem jeszcze dlaczego, ale włosy stają mi dęba.

*

Nie teraz. Nie teraz. Nie teraz. Nie. Teraz. Później. Po. Po. Wszystkim.

Najpierw jedno, potem drugie. Bo jeśli wpierw drugie, to już nie będzie żadnych szans na pierwsze. Po kolei.

Więc teraz sprawa morderstwa.

Potem Maria. Moja mała córeczka.

Potem. Na. Pewno. Nie. Teraz.

Na pewno...

Mina Miss Komando mówi wszystko – boi się. Ta żelazna kobieta, która pochowała ojca oraz setki innych osób; ona, której mały synek został zamordowany przez jej byłego partnera w brutalnej walce o władzę; smutna terrorystka w kamuflażu sprośnego, starego uśmiechu – ona się boi.

Mnie się boi.

I siebie też. Obawia się tego, co zrobi, gdy będzie po wszystkim. Czy spełnię swoją obietnicę, czy wystawię ją do wiatru. Jeszcze jakimś cudem nie dowiedziała się, że nawet gdybym chciał, gdybym mógł, to już tego nie zrobię. Nie ma pojęcia, że jestem poszukiwany przez policję.

Nie ryzykowała i poszła wraz ze mną. Wzięliśmy dwójkę jej najlepszych ludzi. Jest ku temu też kolejny powód. Okazało się, że córka jednego z najemników Miss Komando została niedawno zamordowana. Przez fejsowców. Prawdopodobnie przez Josepha K.

Nawet nie pytam, skąd mają takie informacje. Brzmia jednak prawdopodobnie. Małej bowiem wyrwano serce.

W archiwach policyjnych można znaleźć szereg tego typu spraw. Pochodzą z czasów początków sekty.

Moje warunki są nieubłagane: wchodzimy, odszukujemy, wychodzimy. Żadnej krwi, tylko gumowa amunicja. Nie zależy mi na rzezi, chcę dorwać właściwą osobę i dowiedzieć się prawdy. Co się potem stanie, nie wiem, ale Miss Komando zadbała o to, aby ojciec zamordowanej nie szedł z nami. Aby jakaś zabłąkana kula „przypadkiem” nie trafiła kogoś prosto w łeb. Odbicie, nic więcej.

Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że mają przy sobie naładowaną ostrą amunicją broń i gotowi są jej użyć w razie potrzeby. Jediną osobą, która może ich powstrzymać, jest przywódczyni grupy. Jej interes jest ważniejszy, jej zemsta czeka dłużej. Mimo wszystko to i tak wielkie ryzyko, bo emocje mogą ponieść w jednej chwili. Ułamek sekundy, a cały plan weźmie w łeb. Moment, który będzie zbyt drogo kosztował, ma prawo zdarzyć się i zdarzy, jeśli tylko zimny spokój opuści kogokolwiek z nas.

Dlaczego więc zdecydowałem się iść z nimi? Oszukuję się, że nie miałem wyjścia, że nie dostałbym się do siedziby FejsKlubu, ale to tylko wymówka. Mogłem przecież poczekać, nie zdawać się na zawodowych najemników. Takich wszak stać na wszystko.

Myślę, że i ja podświadomie szukam zemsty. Już powoli jawi się w myślach, jeszcze odsuwana jako szaleństwo, ale też staje się rzeczywistością. Upadam w potrzebę krwi. Przestaję siebie rozpoznawać.

Filozof, zanim wyjawiał mi ich siedzibę, poprosił tylko:

– Nie rób niczego głupiego, dobrze?

Nie spodziewałem się po nim takiego banału...

– Gotowi? – pyta Miss Komando.

Zamiast odpowiedzi jej ludzie zakładają czarne kominiarki. Ruszają od razu, bez żadnego polecenia, znaku, czegokolwiek. Naciągam swoją osłonę twarzy i rzucam się za nimi.

Wyważają drzwi z zaskakującą łatwością. W środku jest ciemno. Ustawiają się po obu stronach wejścia. Kobieta wymierza lufę pistoletu w ciemność korytarza i włącza latarkę. Nikogo nie ma.

– Panie przodem – kiwa do mnie.

Wkraczam tuż przy ścianie, by jak najefektywniej zmniejszyć ryzyko postrzału. Działam bezwiednie, włącza się pamięć mięśni, a adrenalina dopompuje wzrok. Świat wokół wycisza się...

I wtedy orientuję się, że coś jest bardzo nie tak. Odwracam się, by przywołać resztę grupy...

Miss Komando pociąga za spust. Pocisk trafia mnie w pierś i powala na ziemię.

Chwilę (lub całe wieki) później widzę jej wykrzywioną w szyderczym uśmiechu twarz. Kobieta spluwa mi na policzek.

– Pieprzony manipulator – syczy przez zęby.

Tracę przytomność.

*

Jedyne, co Matka zabiera z chaty, to kluczyki do wozu oraz broń.

Wyrywam się jej i podbiegam do Ducha. Kobieta woła mnie po imieniu, ale nie daję za wygraną.

– On musi iść z nami! – krzyczę. – Musi.

Duch wstaje z klęczek i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaki jest potężny. Jego skóra pulsuje czerwonym, krwistym światłem. Patrzy na mnie zadowolonym wzrokiem, ale uśmiech ma drapieżny.

– Proszę cię, nie mamy czasu! – wrzeszczy Matka. – On jest nikim! Nikim!

Po raz pierwszy słyszę z jego ust coś więcej niż tylko chichot.

– Czym różni się to, co jest, od tego, co nigdy nie było?

*

Na agorze stoi on. Znany mi wzrok, znana twarz.

Widziałem go nie jeden raz. Żyłem z nim w jednym domu. W tym jedynym domu, prawdziwym. Tam dom twój, gdzie serce twoje.

Serce o skórze pulsującym czerwonym, krwistym światłem.

Duch.

Patrzy na mnie i mówi coś, ale nie słysząc absolutnie nic. Uśmiecha się. Klaszcze w dłonie. Rozpiera go euforia.

Podnosi do góry ręce, a wraz z nim goście zgromadzeni pod agorą na sali. Jest ich legion. Siedzą w milczeniu przy pustych kieliszkach. Mają zakryte głowy czarnymi chustami. To jedyna ich zakryta część ciała.

Żaden nie ma serca.

Duch jest ich sercem. Pulsującym czerwonym, krwistym światłem.

Wznoszą mu toast kieliszkami, w których nie ma nic.

Znowu odpływam...

*

...i budzę się ponownie.

Nade mną stoi człowiek o twarzy niepodobnej do żadnej innej, a jednak znajomej. Szyję pokrywają mu tatuaże, tak samo jak ramiona. Jest szczupły, ale postawny.

– Judah...? – szepczę, wyczerpany. Natychmiast odzywa się potężny ból w klatce piersiowej.

Krzyczę.

– Mam wiele imion – odpowiada mężczyzna. – Tu możesz zwać mnie Pan Pneuma.

Uciska moją ranę, zaś na stole obok leżą medyczne narzędzia.

– Znasz się na tym? – pytam pomiędzy jednym a drugim atakiem mdłości.

Ignoruje pytanie.

– Znałem twoich rodziców. Byli dobrymi ludźmi. Przykro mi z powodu twojej matki.

Dyszę ciężko, zawieszając dalsze dociekania. Czuję, że ten człowiek nie ma zamiaru ze mną rozmawiać. Chodzi mu o coś innego. Będzie mówił tylko to, co chce powiedzieć.

– Znałem ich od dawna – kontynuuje. – Jeszcze zanim się urodziłeś. W pewnym sensie to dzięki mnie się zeszli. Nie wiem, czy ci mówili, ale byłeś wyczekiwany dzieckiem.

Odsłania opatrunek uciskowy i moim oczom ukazuje się mała dziura – jak krater wulkanu szybko wypełniający się lawą krwi. Miniaturowy wybuch, mała apokalipsa. Mężczyzna sięga po skalpel i szczypce.

– Oni siebie bardzo kochali. I ciebie też. Nie możesz siebie winić za ich rozstanie. Tak musiało po prostu być. To było im pisane, a nie oni układali plan. Mniejsza z tym, ważne jest to, że nie potrafili wypełnić go do końca, że się im nie udało.

Z półmroku wyłaniają się kontury baru oraz krzesel. Widać puste kieliszki i drewniany wystrój. Jestem w miejscu moich majaków. Widzę podwyższenie, na którym w swoich nieprzytomnych wizjach stał Duch.

Duchów nie ma – myślę gorączkowo, spanikowany.

– Jedyne, co im tak naprawdę wyszło w życiu, to ty. Resztę przegrali do szczętu. To nie tak, że nie mieli szczęścia... Fortuna zerknęła na nich łaskawym okiem, ale to i tak nie wystarczyło. Widzę, że odziedziczyłeś po

nich tę chorobę.

– Judah... – mówię, powstrzymując mdłości. – Judah, musisz mi pomóc...

– Oni byli szczęśliwi, wiesz? – odpowiada, jakby zupełnie nie słuchając moich słów. – Przynajmniej przez chwilę. Mieli siebie, to wystarczyło. Nigdy nie znałem tak zakochanych w sobie ludzi. Ale i to zniszczyli. Twoja matka... Zwariowała, wiesz? Ojciec niewiele mógł zrobić. Oni nie potrafili żyć pełnią życia. Nie mogli po prostu brać tego, co było im dane.

– Judah...

– Musisz zrozumieć, że pomagałem im, jak mogłem. Towarzyszyłem im w każdym najważniejszym momencie. Byłem tam dla nich. Staralem się. Mieli to za nic, dlatego tak wyszło. I teraz jesteś tutaj. Upadłeś tak nisko... Dlaczego zamordowałeś tych biedaków, chłopcze? Byli niewinni. Zmieniili swoje życia, odgradzili się od dawnych błędów. Zakryli wszystko prócz twarzy w pokutnych płaszczach. Wiesz, dlaczego tylko ta twarz? Wiesz?

Wkłada szczypcę głęboko w ciało, aż wrzeszczę jakby rozpadał się cały świat.

– Może i wiesz, ale nie rozumiesz... Oni odkrywali takim jak ty to, co najcenniejsze. Bezbronna twarz, wystawiona na cios. Prosząca, naga w swoich emocjach. Szukająca miłości... I te serca, których się wyzbyli. Serca czarne, złe. I puste miejsce w piersi, czekające na wypełnienie. Tacy oni byli. A ty ich mordowałeś...

– Nikogo nie zabiłem!!! – ryczę na całe gardło. – Przestań!!!

– Owszem, zabiłeś... Zabiłeś moje owieczki...

Łapię go za rękę. Wreszcie czuję, że mnie zauważa, że nie jestem tylko obiektem.

– Pomóż mi... – proszę. – Jeśli pomagałeś moim rodzicom, to i mnie pomóż. Nie zabiłem ich! Nie zabiłem tych ludzi!

I opadam bezsilnie na stół.

Uśmiecha się.

– Dam ci szansę, tak jak dałem im. Pomogę – odpowiada.

Czuję, że znowu nieuchronnie tracę przytomność.

– Dam ci szansę na uratowanie córki – słyszę.

Budzę się w tym samym miejscu. Nie czuję bólu, nie czuję złości, nie czuję dezorientacji.

Niczego nie czuję. Tylko spokój.

Spoglądam w dół, dłonią wodząc po torsie. Nie ma ani śladu po kuli.

Nie ma też serca.

Obok leży tylko czarny płaszcz z kapturem i pistolet, który dał mi Mark.

Mark zaś siedzi naprzeciwko – przywiązany do krzesła i przerażony.

A więc pomógł mi. Judah naprawdę mi pomógł.

Judah, Pan Pneuma, kimkolwiek by nie był.

– Szybko! – mówi Mark. – Rozwiąż mnie! Musimy uciekać! Oni zaraz tu będą!

Schodzę ze stołu z ziejącą pustką w ciele. Przez dziurę widzę rozdymające się od powietrza płuca, białe żebra i koniec dawnego życia. Czysty umysł, obojętny, cudownie prosty. Półmrok w pomieszczeniu rozstępuje się przede mną.

Mój partner widząc to, przeklina soczyście.

– Szybko! Musisz mnie uwolnić! Uciekajmy stąd, kurwa, natychmiast! Oni mnie porwali, fejsowcy, kurwa! Na co czekasz, rozwiąż mnie!

– Boisz się? – pytam, oglądając własne dłonie. Znać po nich trudy dawnych czasów. Chwytam przestrzeń, zaciskam pięści. Czuję się, jakbym złapał w garści czas.

– Co ty?... Kurwa, pewnie, że się boję! Nie rozumiesz?! Oni nas wrabiają!

Patrzę na niego. Jest pchłą. Obrzydliwą pchłą, którą trzeba rozgnieść.

– Niewielu rzeczy się boisz – odpowiadam. – Niewiele rzeczy szanujesz.

– Co ty pierdolisz?! Słuchaj, nie ma ani chwili do stracenia!

Gdyby coś jeszcze mogło mnie bawić, zaśmiałybym się.

– Mnie się nie boisz. Mnie nie szanujesz. Nie szanujesz mojej córki.

I w tym momencie Mark rozumie. Przestaje się miotać, opadają ramiona, nie sili się już na zerwanie więzów.

– Słuchaj...

– Pieprzysz moją małą, Mark. Bernard cię śledził. Pieprzysz moją córeczkę – przerywam.

Chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie daję mu dojść do słowa.

– Już wszystko wiem. Chciałeś się mnie pozbyć, bo wiedziałeś, że

nadejdzie ten dzień, kiedy się dowiem. Niewielu rzeczy się boisz, przyjacielu, ale to przyprawiało cię o paniczny strach. Nie spałeś po nocach, piłeś. Miłość jest ślepa, Mark. Ja to rozumiem.

Milczy.

– Ja to naprawdę rozumiem – powtarzam.

Na jego oblicze wpełza smutny, obrzydliwy uśmiezek. Podchodzę i gładzę go po policzku.

– Kocham cię, przyjacielu. Pomogę ci. Już nie będziesz się bał.

Mark płacze.

– Śpij dobrze, już koniec intryg. Koniec koszmaru. Miałeś rację, że ktoś z naszej dwójki musi być sprytny. Szkoda, że to nie byłeś ty – mówię.

Jego mózg rozbryzguje się na drewnianej ścianie.

Lufa pistoletu jest ciepła.

Pan Pneuma klaszcze w dłonie i śmieje się radośnie.

Rozdział IV

Tron

Ojciec mówił mi, że jestem dzieckiem jego porażki. Wtedy nie wiedziałem, o co może mu chodzić.

Ojciec był człowiekiem, którego ciągle nie było. Niewiele pamiętam z najmłodszych lat. Obrazy wspomnień są niepełne, niekompletne. Od zawsze wyczuwałem, że czegoś brakuje, ale dopiero teraz widzę wyraźnie dziurę, której nikt nie chciał załatać.

Nie wiem, dlaczego winił mnie za swoje życie. Matka mówiła, że wybrał mnie, wybrał nas, że tak chciał, ale jakby rozmyślił się po fakcie. Nie miał jednak odwagi, by odejść.

Matka więc zrobiła to za niego.

*

W piekle panuje spokój i porządek. Diabły niewiele mówią, do kieliszków nalewają nicość. Atmosfera nieokreśloności wisi w powietrzu, jakby otchłań sama nie potrafiła zmierzyć tego, jak bardzo jest głęboka. Nie ma tu żadnych kręgów, jak chcieliby pisarze i filozofowie. Jest tylko jeden poziom, na pozór rozległy jak sala Stoika, ale przecież znacznie większy; nieskończenie głęboki, ale wciąż ten sam, jeden jedyny. Piekło to nie miejsce. Piekło to stan rzeczywistości.

Jest tu cała masa dobrych ludzi. Istnieją tylko dobrzy ludzie, choć czasem podejmują złe decyzje. Zło nie wynika z niewiedzy, nie jest też wrodzone. Zło można wybrać, ale rzadko kiedy tak się dzieje. Zwykle dobry człowiek wpada w nie przypadkiem i zostaje wciągnięty jak w bagno. Choć przecież dalej jest tylko dobrym człowiekiem. Nie może być nikim więcej ani nikim mniej. Butnym byłoby sądzić, że może być kimś innym. Można być tylko dobrym człowiekiem w złych okolicznościach.

Właśnie tak teraz patrzę na Marka w swoich wspomnieniach. Identycznie widzę siebie.

Tylko Pan Pneuma jest inny. Tylko on.

*

Nie uciekłem z piekła, choć opuściłem Stoik. Nikt mnie nie zatrzymywał. Nikt nie gonił. Oni wiedzą, gdzie mnie znaleźć, choć sam jeszcze nie wiem, dokąd pójdę. Na razie idę jak najdalej od Greki, w kieszeni czarnego, pokutnego płaszcza ściskając Szulera 6.52 na naboje parabellum. To nie jest broń na demony. Nie ma broni na demony. To na ludzi, dobrych ludzi w złych okolicznościach. Takich, którzy chcieliby mnie zatrzymać.

Dopiero teraz dopada mnie złość i niepokój. Pojawiają się nagle, nieproszone, nieoczekiwane. Nie spodziewałem się, że przyjdą. Wydawało mi się, że po tym wszystkim nie doznam już niczego, że utonę w słodkiej obojętności. Najwyraźniej na spokój ducha trzeba zasłużyć. Nie jest on dany raz na zawsze.

Zastanawiam się, jak trafiłem do baru? Czy ktoś mnie zaniósł, gdy byłem nieprzytomny? Czy od początku tam byłem? Może cały świat to Stoik i dalej w nim jestem? Albo w umyśle kogoś takiego jak Pan Pneuma? Co stałoby się, gdybym w istocie był jego myślą? Czy gdyby zaczął wyobrażać sobie kogoś innego, zniknąłbym? Jeśli wróciłby do mnie, czy powstałbym na nowo jako ten sam człowiek?

Mijam witryny sklepowe, przechodniów. Patrząc na nich, mam pewność, że są, ale gdy tylko odwracam wzrok – czy dalej by byli? Niedawna pewność własnych czynów odbiera mi zmysły. Okrutny ból w brakującym, wyrwanym sercu – paląca pustka niegotowa do wypełnienia – czuję, że oszaleję.

*

Ojciec opowiadał mi kiedyś o innym Mieście. Podobno mieszkał tam przed poznaniem Matki. Mówił, że choć wyglądało inaczej, w gruncie rzeczy było takie samo. Tak jak i to Miasto nie miało duszy, własnej tożsamości. Nie definiowało nikogo i można powiedzieć, że oba miejsca różniły się tylko architekturą.

Mieszkali tam też tacy sami ludzie. Tonący we własnych problemach,

targani wiatrem losu na każdą ze stron. Walczyli i kapitulowali, rodzili się i umierali. Szara masa, umysł zbiorowy jednolitych pragnień, bo wszyscy koniec końców pragną tylko jednego.

Ojciec nie wyjawiał mi, czego dokładnie, ale wydaje mi się, że wiem. Domyślam się. Przecież jestem taki jak oni.

*

Gdzieś w okolicy Muru Greckiego zaczepia mnie kloszard.

– Poczęstuje pan papierosem? – pyta.

Ze zdziwieniem odkrywam, że w kieszeni oprócz pistoletu znajduje się paczka fajek.

– Niestety, nie palę – odpowiadam.

Odchodzi zniesmaczony, jakby wyczuł mój fałsz. Żebracy doskonale wiedzą, kiedy ktoś kłamie. Od tego zależy ich los. Nie mają jednak luksusu odpuszczania – muszą zapytać, choć czasem nie mają nadziei na sukces. Muszą, bo przecież inni nie chcą pomagać, boją się ich. Więc gdyby i oni się bali, nigdy nie wyżebraliby ani grosza.

Odprowadzam wzrokiem mężczyznę w łachmanach i nagle dociera do mnie, gdzie tak naprawdę idę. Podświadomie wybrałem już kierunek, zaś nogi prowadzą mnie prosto do celu. Przede mną jeszcze kawałek, ale to nic, chwila marszu. Wreszcie czegoś jestem pewny. Nie muszę pytać. Odpowiedź została udzielona.

O tej godzinie Filozof może być wszędzie, ale pod wieczór wróci do swojej domeny przy barze, w którym przesiadywałem wraz z Markiem. Powinienem zaopatrzyć się w jakąś chustę lub chociażby okulary, aby nikt nie rozpoznał we mnie poszukiwanego mordercy. Jednak nie wydaje mi się to konieczne, gdyż dzięki przebraniu fejsowców staję się niewidoczny. Ludzie odwracają wzrok, a te nieliczne patrole przejeżdżające po okolicy, prześlizgują się spojrzeniem po mojej twarzy, jakby nagle przestali ją rozpoznawać.

Czy należę już do sekty? Czy stałem się jednym z tych, których zwalczałem?

Czuję, że zadaję niewłaściwe pytania, że błędę jak dziecko we mgle.

Wchodzę między stragany na Targach Książki. Te prowizorycznie zbite stoły podtrzymują prawdziwe skarby – antykwaryczne wydania, już niedostępne w głównym obiegu, jak też zupełnie nowe utwory, pachnące

świeżo zadrukowanym papierem. Kręci się tu mnóstwo ludzi, choć ścisk może być spowodowany ciasnym ułożeniem budek sprzedawców. Sporo osób bije się, aby wynająć tu kawałek i sprzedawać na własną rękę, pomimo iż placowe jest wysokie.

To właściwie jedyne znane mi miejsce, gdzie jest tylu zainteresowanych literaturą. Żadna księgarnia ani biblioteka w Mieście nie pomieściłaby wszystkich klientów, ani też tomów, jakie tu zalegają.

Po Targach krąży sporo złodziei, bynajmniej niezainteresowanych sztuką – chyba że własną. Podkradają portfele i telefony komórkowe. Ich łupem padają mniej lub bardziej cenne drobiazgi – pierścionki, łańcuszki, bony przypominające banknoty, zdjęcia pociech i małżonków. Będąc jeszcze zwykłym krawężnikiem, często patrolowałem tę okolicę. Dobrze wspominam ten czas.

Facjaty złodziejasków zmieniają się z czasem, ale pewne rzeczy pozostają te same. Dla przykładu ten oto: niski, niepozorny brunet z brodą i wąsami. Człowiek jak każdy inny. Niespecjalnie wyróżnia się z tłumu, nawet nie ma rozbieganego wzroku. Ręce trzyma głęboko schowane w kieszeniach. Całym ciałem mówi, że nie trzeba się go obawiać, raczej to on się boi o swój dobytek. Przeciska się bliżej ścian i straganów, omija przechodniów oraz klientów. Stara się zawsze pozostać na uboczu.

Tak robią wszyscy ci, którzy za wszelką cenę nie chcą być złapani. To znaczy – wszyscy mężczyźni, gdyż kobiety mają inną taktykę.

Kobieta złodziej zwykle nosi szeroką spódnicę oraz bluzę polarową. Zdecydowanie rzadziej używa własnych dłoni. Ma ze sobą narzędzia: szcypce, skalpel, czasem obcęgi. Porusza się w tłumie, nie stroni od gwaru i widać ją z daleka. Stara się wzbudzać zaufanie. Działa wtedy inny mechanizm – otóż lekkomyślni ludzie mniej spodziewają się właśnie kogoś takiego. Złodziejka bez problemu to wykorzystuje.

Spoglądam na kryminalne tańce o marny kawałek grosza i uśmiecham się do minionych czasów, kiedy życie ograniczało się do tego placu oraz jego przestępczego ekosystemu.

Zupełnie mimowolnie, prawdopodobnie z przyzwyczajenia – nawyku wpojonego tak mocno, że niedającego się wyplenić – chwytam za nadgarstek starszą kobietę. Jej dłoń już sięgała do torebki niczego niepodjęrzewającej paniusi kartkującej tanią, prostacką fantastykę.

– Co mi tu! – podnosi krzyk złodziejka. – Bierze te łapska! Dame tak obłapywać!

To dobrze znana taktyka. Najlepszą obroną jest atak, a więc skierowanie winy za dowolny czyn w stronę tego, kto przyłapuje złodzieja na gorącym uczynku.

– Co mnie tak trzymie! Ja sobie nie życzę! Państwo to widzą! Co sobie wyobraża?!

Wnet dostrzegam wszelkie ciężary jej duszy. Przyjmuję to ze zdziwieniem i jakąś cichą grozą.

– Niech już przestanie! Ratunku! Pomocy!

Kobieta kradnie dla siebie, ale nie z potrzeby szybkiego zysku. Wypełnia tym pustkę po nienarodzonej córeczce, której nie donosiła kilka lat temu. To jedyny znany jej sposób, wyuczony jeszcze w trudnym, biednym dzieciństwie. Zapomniała o nim na długo, ale w końcu wróciła, bo nie działała żadna terapia, żaden gest i słowo. Mogła zagłuszyć wewnętrzny żal, zabierając przypadkowym osobom drobiazgi. Szczególnie cieszyły ją cukierki i małe zabaweczki, miniaturowe pluszowe breloczki. Były namiastką czegoś, czego nie mogła mieć.

Puszczam ją jak oparzony i przez chwilę stoimy tak, w zdziwieniu wgapiając się w siebie. Czuję, że w jakiś sposób pojmuje ona, co przed chwilą zaszło. Zgwałcona przeszłość, prywatność i ujawnione najskrytsze tajemnice. Wszechogarniający żal wylewa się z niej wprost na mnie, aż zimny pot zalewa mi czoło.

– Złodziejka! – krzyczy zaczytana wcześniej kobieta, zorientowawszy się w sytuacji. – Ludzie! Pomocy!

I wtedy następuje ucieczka. Nikt nie łapie przestępczyni, nikt nie kwapi się nawet odwrócić, by sprawdzić, co zaszło.

– Dziękuję panu najserdeczniej – kobieta ściska mi dłoń, dalej zawieszoną w powietrzu. – Gdyby nie pan, już nie miałabym portfela!

– Nie ma za co... – odpowiadam skonfundowany.

– Ależ nie, niech pan przestanie! To pana zasługa! Ktoś wreszcie powinien zrobić z tym porządek. Może to będzie pan?

I uśmiecha się słodko. W gruncie rzeczy jest bardzo ładna, ale jej uroda jest raczej z natury smutnych.

– Niech pan tu jeszcze przyjdzie, bezpiecznie tu przy panu – zagaduje dalej kobieta. – Proszę, chciałam sama kupić, ale panu się bardziej należy.

Wręcza mi trzymaną wcześniej książkę. Spoglądam na tytuł. Tragiczny.

Kobieta płaci i odchodzi rzucając mi jeszcze krótkie:

– Wierzę, że jeszcze się zobaczymy!

Do wieczora jeszcze kawał czasu, więc chwilowo zmieniam zdanie i z Targów skręcam w stronę mieszkania Lilki.

Idąc, spoglądam na cudze oblicza, ale nie dostrzegam już żadnej duszy.

*

Z dzieciństwa pamiętam, jak ojciec zakrywał lustro. Nie pozwalał mi poznać własnej twarzy. Również z daleka trzymał od wody, bym przypadkiem nie zobaczył swojego odbicia. Gdy zacząłem zadawać pytania, które nie sposób było już zignorować, odpowiadał tylko, że przecież nie mam na co patrzeć.

Tak naprawdę przypominam to sobie dopiero teraz. Wcześniej stanowiło to zamazaną przestrzeń, czas bez wypełnienia, absolutnie pusty. Jakby ktoś wyprał mi wspomnienia.

Ojciec zawsze taki był – szorstki. Ale czułem, że mnie kocha. A nawet, że kocha mnie za bardzo. Tak bardzo, że chciałby odepchnąć tę miłość, jakby mu ciążyła. Stopniowo oddalał się, ale nie potrafił uciec.

Ja za to go nie kochałem. Wpatrzony byłem natomiast w innych, którzy nas otaczali. Badałem ich twarze, wgapiałem się. One zastępowały mi własną. Pytałem Matkę, czy da mi lustro, ale również odmówiła.

– Kiedyś – powiedziała. – Kiedyś nie będziesz musiał mnie pytać o zgodę. Zobacysz wszystko, co zechcesz.

*

Rozglądam się na boki, czy nikt mnie nie śledzi. Nie dalej jak kilka godzin temu byłem wolny od wszelkich wątpliwości, ale z godziny na godzinę, minuty na minutę, ogarnia mnie coraz większa paranoja. Wzmacniam czujność, gdy tylko widzę kogokolwiek w zasięgu wzroku, a w każdym przechodniu upatruję niebezpieczeństwa. Oddałbym wszystko za do niedawna jeszcze mi towarzyszącą pewnością siebie – może lekkomyślną, nieuzasadnioną, ale pozwalającą postawić kolejny krok bez rozpatrywania uprzednio potencjalnych scenariuszy zdarzeń.

To, co się ze mną stało w ciągu ostatnich dni, jest nie do pojęcia. Nie odnajduję się w sobie, nie poznaję nic. Obcy w obcym kraju...

Nie odważyłem się wejść do mieszkania byłej żony. Nie przestąpiłem progu w obawie, że któryś z sąsiadów mnie zobaczy i zadzwoni po policję. Zabiłem człowieka. Nie sądziłem, że jestem do tego zdolny.

Śniło mi się kiedyś, że istnieje świat, w którym każdy musi choć raz w życiu spróbować czegoś przeciwnego swej naturze. Wszystko po to, aby przekonać się, jakie są konsekwencje danego czynu i by stać się lepszym w tym, co się wyznaje. Wierna żona zdradza męża, kochanek bez skrępowań wybiera jedną partnerkę na stały związek. Strażak podpala dom, a stróż prawa popełnia przestępstwo. Jeśli raz zdradzisz, znasz niszczące emocje, które doprowadzają drugą stronę do mentalnej ruiny. Jeśli raz zabijesz, wartość istnienia wzrośnie, a na dodatek poznasz sposób myślenia zbrodniarza. Będziesz lepszym partnerem, łowcą, kucharzem, filmowcem, pisarzem. Staniesz się lepszym człowiekiem.

Czuję, że tkwię w tym koszmarze i bardzo chciałbym się obudzić.

Ukryty w gęstych krzewach dostatecznie daleko od bloku, obserwuję wyjście. Wiem, że Lilka wyszła już dawno do pracy. Jej dzień się nie zmienił od momentu naszego rozstania. W zaciszu domowej pracowni pisze książki, zaś za dnia udaje się do redakcji, aby łowić materiały do pisma dla kobiet. Jest dobrą, dzielną reporterką – zajmowała się kiedyś dziennikarstwem śledczym. Szybko jednak zamieniła to na chałturę za niezłe pieniądze. Potrafi doskonale opisać relacje międzyludzkie oraz charaktery. Niestety zwykle pozwalają jej jedynie na niewiele znaczące felietony o drobiazgach. Głównie zarabia na redagowaniu cudzych tekstów.

Czekam na Marię, która nie zwykła opuszczać legowiska przed południem. Jest rozkapryszonym, głupim dzieckiem, które udaje dorosłą, ale nie chce zrezygnować z gówniarskich przyzwyczajzeń. Nie wie, jak ma pokierować sobą i pakuje się w rzeczy, których później żałuje. Niestety ma charakter po mnie, więc nie słucha żadnych życiowych rad. Musi sama się sparzyć.

Właśnie się sparzyła.

Zastanawiam się, czemu właściwie wybrała Marka, czemu oszukała Lilkę, pozwalając jej sądzić, że jej partner nie jest wiele starszy od niej? Żeby zrobić mi na złość? Czy kierowałyby się takimi powodami? Może po prostu nie myślała, tylko zwyczajnie, po ludzku, weszła w sytuację? Nie rozumiem mojej córki, choć przecież jest tak podobna do mnie. A może właśnie dlatego – nie zgadzam się na prześlizgiwanie się po powierzchni bezrefleksyjnie. Popatrz, córciu, popatrz, do czego mnie to doprowadziło!

Z nieba zaczynają spadać ciężkie krople deszczu. Letni deszcz konieczności – nieprzynoszący ulgi, nieochładzający. Płaszcz nasiąka

wodą i przylega do ciała. Czuję się jak w śliskim, obmierzłym kokonie.

Wychodzi. Staje pod daszkiem, by sprawdzić, czy jednak nie cofnąć się po parasolkę. Jeden rzut oka i wiem, że nie poznała jeszcze prawdy o Marku. Jej ruchy są swobodne, lekkie i wyczekujące. Jest atrakcyjną dziewczyną, rześką, dającą nadzieję na lepsze lub też piękniejsze jutro. Przestaje dziwić mnie to, że Mark ją dostrzegł. Dalej jednak nie potrafię pojąć, czemu zdecydował się na związek z moją córką. On nie bawił się ludźmi, nie wchodził w pobieżne relacje. Gardził tymi, którzy trwonili swoje siły na bezowocne przygody. Mówił mi wielokrotnie, że tak zmarnował młodość i że żałuje, iż nigdy nie da się do niej wrócić.

Ale Mark koniec końców okazał się zwykłym skurwysynem.

Ostatecznie Maria wychodzi w deszcz. Nie spieszy się. Chłonie każdą chwilę. Idzie dziarsko, z zacięciem nastolatki, która ma wszystko u stóp. Przygryzam wargi do krwi, widząc to. Dochodzi do mnie myśl, że popełniłem błąd, przychodząc tu. Na co liczyłem? Że wyjdę do niej, by powiedzieć, co zaszło? Że wyjaśnię, a ona zrozumie?

Idzie wprost na Rynek. W słuchawkach pchełkach słucha jednego z tych swoich zespołów, którego muzyki nie rozumiem. Fascynują ją zupełnie inne rytmy, ale to chyba logiczne, że dzieci nie idą w ślady rodziców. Maria jest zresztą wypadkową najgorszych cech moich i Lilki. Ciężki upór i przekora po ojcu, skłonność do megalomanii po matce. Po nikim nie odziedziczyła zdrowego rozsądku.

Choć jeśli popatrzeć na mnie, to może i lepiej...

Śledzę ją, martwiąc się ciągle, że ktoś jednak zwróci na mnie uwagę. Nie jestem w stanie omijać większych ulic i uczęszczanych miejsc. Nasuwam więc głębiej kaptur na głowę, ale jest tak uszyty, że zawsze będzie widać twarz, choćbym nie wiem co zrobił.

Maria nie rozgląda się na boki, nie schodzi z raz ustalonej drogi. Pamiętam, że nienawidziłem z nią spacerować, gdy była jeszcze małym dzieckiem. Zawsze szła własnym rytmem. Nie obchodzili ją inni. Nie ustępowała nikomu oraz nie słuchała poleceń czy próśb. Za rączkę prawie nigdy nie pozwalała się chwytać, nawet jako berbecę uczący się chodzić. Trzeba było zmuszać ją do tego krzykiem, ale i wtedy nie było łatwo. Później odkryła nową zabawę – stąpanie tylko po płytkach lub tylko po łączeniach. Występowały one w różnych wariacjach. Na przykład było drobienie po łączeniach wyższych, czyli po krańcach płyt chodnikowych wystających nad innymi płytami. Istniało też kroczenie bokiem po rogach,

czy też środkiem stopy po łączeniach. Bywało, że chciała wyłącznie poruszać się po krawężniku, niczym linoskoczek.

Nazywaliśmy to z Lilką taktyką żabich skoków i żartowaliśmy, że mała przeskakuje wszystkie swoje aktualne oraz przyszłe problemy. Nie próbowaliśmy z tym walczyć, a to ustawiło całe nasze przyszłe życie pod dyktando smarkuli.

Nie potrafię spojrzeć na wszystko trzeźwym wzrokiem. Gdy tylko myślę o Marii, widzę Marka i jego mózg na ścianie Stoika. To nie moja wina, że musiał umrzeć, tylko jej – głupiej małolaty, która nie przyjmowała do wiadomości, że nie może mieć wszystkiego.

Wreszcie jesteśmy na Rynku. Ludzi, jak zwykle, jest masa. Tłoczą się pomiędzy budkami oraz ławkami. Obsiedli jak gołębie dwa umieszczone naprzeciwko siebie spore pomniki. Są szarzy pomimo kolorowych ubrań i drinków.

W jakiś dziwny sposób tłumy rozstępują się przed moją córką. Dzieje się to tak naturalnie, jakby potrafiła naginać innych do swojej woli. Ani na chwilę nie zmienia rytmu kroków, nie zbacza, a za to cały czas kroczy prosto przed siebie.

Gdy staram się iść w jej ślady, napotykam ścianę cudzych pleców. Zaczyna się slalom pomiędzy ciałami. Maria znika mi z oczu.

Dopiero teraz przestaję czuć gniew. Przyspieszam, aby ją dogonić. Chcę złapać córkę za rękę, przyciągnąć do siebie i po prostu przytulić. Choć wiem, że mnie odtrąci, nie zrozumie i momentalnie zamknie się w sobie, potrzebuję tego.

Przebijam się przez coraz gęstszy tłum, ale orientuję się, że mocno zbaczam z drogi. Maria idzie wprost do straganów miłości, na środku Rynku. Ja w tym momencie skręcam ku jednej z bocznych uliczek.

Nie zważając na nic, odpycham przechodniów, by przebić się we właściwym kierunku. Ludzie reagują agresją. Uderzam barkiem piękną dziewczynę z niewyraźnym wzrokiem. Jej partner już sięga mojego płaszcza, ale w ostatniej chwili rozmyśla się i cofa rękę. Zupełnie jakbym był trędowatym. Odbijam się od torsu umięśnionego łysola, zaś ten tylko się głupio uśmiecha.

Zaczyna mnie irytować zachowanie ludzi. Nagle nabieram ochoty, aby ktoś wreszcie porządnie zdzielił mnie w pysk. Chcę zalać się krwią, wyskoczyć z pięściami na kogoś innego, na zupełnie niewinną osobę. Palce zaciskam na uchwycie broni. Jest gorąca, przyjemna w dotyku.

Z furją i lekkomyślnością przewiercam się przez bezrozumny tłum, gardząc nim każdą komórką ciała. Morze innych miota mną wte i wewte. Tonę w ich myślach, rozpływam się w duszach.

W końcu wyłamiam się na powietrze, łapczywie chwytając oddech. Przede mną stragany i gra, która właśnie trwa w najlepsze.

Jedną z uczestniczek jest Maria.

Właśnie losują kartkę z jej imieniem. Promienieje gracją i wdzięcznością. Posyła anielski uśmiech w stronę męskiego grona uczestników zabawy, dając nadzieję na coś więcej. Mężczyźni podziwiają ją jak klacz na zawodach. Widząc to, czuję się jeszcze bardziej wściekły niż przed chwilą.

Z drugiego koszyka losują młodziutkiego chłopaka. Szybko dochodzi do niego, co się dzieje. Wyszczersza zęby w prawdziwie szczerej radości. Wyobrażam sobie, że nigdy nic nie wygrał, a teraz nagle czeka go być może dobra kolacja z piękną dziewczyną. Jego reakcja porywa gapiów i zaczynają klaskać, skandować jego imię. Maria spogląda na niego, lecz nie potrafię odgadnąć, co myśli.

Posypują się gratulacje i uściski dłoni. Kilku starszych mężczyzn, wyraźnie rozbawionych całą sytuacją poklepuje zwycięzcę po ramieniu. Ślepa bogini Fortuna chyba lepiej wybrać nie mogła. Dzieciak jest prostolinijny i prosty w uczuciach. Wydaje się, że bierze życie takie, jakim jest, bez narzekań. Dobrze znosi trudy, potrafi odnajdywać się w wygranych. Naprawdę miły to widok dla oka.

Swat podstawia koszyczek z zebranymi w zabawie pieniędzmi i pyta wpierw chłopaka, czy chciałby iść na kolację z moją córką. Pada szybka zgoda, nagrodzona aplauzem zgromadzonych.

Maria przybiera słodką minę. Ten wyraz twarzy zawsze zwiastuje kłopoty. W tej chwili orientuję się, że to jednak nie jest szczęśliwy dzień dla dzieciaka.

Swat zadaje pytanie i ona oczywiście odmawia. Dumnym głosem oświadcza, że nie jest zainteresowana. Przez tłum w pierwszej chwili przebiega buczenie, ale gdy ludzie dostrzegają wreszcie rozczarowaną minę chłopaka, zaczynają śmiać się do rozpuku.

Maria zaś teatralnie się kłania, jakby grała rolę w sztuce i dobrze wykonała swoją robotę. Moment później odchodzi niespiesznie.

Już za nią nie idę.

*

Znowu w zaułku Filozofa. Zaczynam traktować to miejsce jak dom. Przyzwyczajam się do bycia zbiegiem, a ono stanie się moją kryjówką, jeśli los pozwoli. Nie jadłem nic od dwóch dni, a pieniądze powoli się kończą. Konto pewnie dawno już zablokowane, choć i tak nie będę w stanie sprawdzić, bo gdybym choć spróbował wyjąć kasę z bankomatu, odpowiednie służby w ciągu kilku chwil by mnie namierzyły.

Oto codzienność Filozofa: kontenery, brud i zimne noce. Niepewność jutra – w tym już jesteśmy ze sobą bliscy. Cały kłopot w tym, że Filozof ma i tak więcej niż ja – swoistą wolność, swobodę życia, choćby nie wiem, jak byłoby parszywe. Mój czas jest pożyczony. Dawno powinienem gnić w więzieniu. Jeśli wcześniej byłem niewinny, to po morderstwie Marka wszystko się zmieniło.

Nie ma jeszcze gospodarza. Przeszukuję jego legowisko. Znajduję kilka koców oraz pustych butelek. Jest też prowizoryczna płachta chroniąca przed deszczem. Dziwię się, że nie dostrzegłem jej wcześniej, ale prawdę mówiąc, tak naprawdę jej nie szukałem.

Wchodzę do kryjówki i odgarniam poły płaszcza. Dziura w ciele nie znika. Czemu miałyby? W końcu to nie sen, choć wydaje się prawdziwym koszmarem. Nie wiem, jak to możliwe, nigdy tego nie zrozumiem. Żaden fejsowiec nie był w stanie tego wytłumaczyć – bądź nie chciał. Wtedy uważałem, że to jakaś wielka tajemnica, dziś sądzę, że oni sami nie wiedzieli, dlaczego mogą żyć bez serca.

Odgłosy Miasta dochodzą do mnie przytłumione. Wycie syren, rozbijanie szkła, pijackie przyśpiewki oraz muzyka z pobliskiego baru. To właściwie paszcza lwa, latarnia, pod którą jest najciemniej. Samo ścisłe Centrum, patrolowane w dzień i w nocy.

Z pakunków i worków wygrzebuję butelkę z mętnym płynem. Naczynie lepi się od odpadów, cuchnie potężnie. Z namokniętej naklejki niewiele można przeczytać, ale to i tak dość, aby zorientować się, że to wódka. Odkręcam i pociągam potężny łyk. Pali w gardle, pali w żołądku, cofa do ust kilka ostatnich dni.

Rzygam jak kot.

Właśnie w takim stanie znajduje mnie Ciemniak.

– Co jest, kurwa?! – zaczyna. – Następny żul na dzielni?!

Zanim zdążę zareagować, wyciąga mnie na zewnątrz. Uderzam głową

w metalowy pręt, na którym Filozof zawiesił płachtę. Konstrukcja rozpada się w mgnieniu oka, ale ledwo co to dostrzegam, gdyś mięśniak rzuca mną o bruk.

– Już mówiłem twojemu koledze – kontynuuje. – Nie ma tu mieszkania! Idźcie sobie stąd, szczury!

– Zaraz... – próbuję wyjaśnić, ale dostaję potężnego kopa w szczękę.

Kilka zębów odbija się od betonu. Spluwam krwią.

Ciemniak coś jeszcze krzyczy, ale już tego nie słyszę. Nie mam siły nawet się skulić, tak mocno bije. Kopie wszędzie – po nogach, plecach, piersi, przygnięta dłoń. Wyję z bólu, a on pochyła się i wymierza mi solidny cios pięścią. Potylicą uderzam o ulicę. Czuję, że odpływam.

Łuna świateł Miasta zasłania niebo, nie widać gwiazd. Myślę, że to dobra śmierć, zasłużona, cudownie podsumowująca mój nędzny żywot. Od jakiegoś czasu ból tępieje, staje się ledwo odczuwalny, jakby wystarczająco już wbił pazury w ciało, a teraz puszczał, zorientowawszy się, że już po wszystkim.

Z moich ust wydobywa się bełkot i morze krwi. Ciemniak męczy się, sapie głośno, jego postać zakrywa się mgłą, pożera go ciemność. Nie... To mnie pożera ciemność.

Wreszcie trafia w puste miejsce w piersi.

– Co do kur... – cedzi przez zęby.

Rozrywa płaszcz i widzi.

Odskakuje jak porażony prądem. Nad nim toczy się walka świateł, zaś ja czuję przypływ sił. Nagła, zaskakująca fala energii nakazuje mi wstać. Więc wstaję, pomimo siebie, pomimo tego, co przed chwilą się stało.

Nie kontroluję ruchów, coś wodzi mną jakbym był zwyczajną marionetką.

Coś mówi moim głosem:

– Zostaw mnie. Zostaw jego.

Wskazuję palcem na Filozofa, podpatrującego zajście zza rogu budynku.

– To nasze miejsce, nie twoje.

Ciemniak stoi jak słup soli. Zupełnie nie rozumie. Trudno się dziwić.

Po paru chwilach decyduje się na atak. Jego język to siła, nic innego nie wchodzi w grę.

Zatrzymuje go moja dłoń. Ściskam go za gardło. Blednie w momencie.

– To. Nie. Jest. Twoje. Miejsce – szepczę kolejne słowa. – Rozumiesz?

Trzyma moje ramię, ale nie jest w stanie sięgnąć twarzy. Wreszcie poddaje się, odklepuje. Moja nie moja dłoń cofa się, puszcza. Mężczyzna upada w miejsce, w którym sam przed chwilą leżałem w agonii.

Pochyłam się jeszcze i mówię:

– Już nigdy tu nie przyjdiesz.

Ciemniak w panice odsuwa się, po czym zrywa na nogi. Ucieka jak goniony przez diabły.

Kto wie, czy właśnie one nie ruszają za nim w pościg.

*

Wśród wszystkich twarzy widzę tak naprawdę tylko jednego człowieka. Nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego tak czuję.

Mówię o tym Ojcu, a on spogląda na mnie znad planszy szachów. Na tej konkretnej desce nigdy ze mną nie zagrał. Naszym wspólnym kompletem były brzydkie, turystyczne szachy, wyświechtane do granic możliwości.

Ojciec odpowiada mi, żebym przestał fantazjować.

– Nie ma na świecie tylko jednego człowieka – mówi. – Popatrz, jesteś kimś innym niż ja albo matka.

Przyznaję mu rację, ale odczucie nie znika.

*

– Dziękuję ci – Filozof podaje mi pajdę starego chleba rozwodnionego w mleku. Przyniósł te skarby ze sobą, ktoś mu je ofiarował.

Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo byłem głodny.

– Naprawdę dziękuję – powtarza.

– Nie musisz się upewniać, że słyszę – odpowiadam. – Nie zrobię ci krzywdy, nie musisz się bać.

Kiwa głową jakby zupełnie nie to przyszło mu na myśl, ale wiem, że w istocie właśnie to chciał usłyszeć. Ciemniak przychodził tu często i starał się na dobre go przegonić. Już na pewno się nie pojawi, będzie trzymał się jak najdalej. Uliczka bezwzględnie należy teraz do Filozofa.

Gospodarz jeszcze raz, jakby dla pewności, kiwa głową. Tym krótkim zapewnieniem chce sobie kupić moją przychylność. Jest asekurantem, który zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Znajduje się w sytuacji bez precedensu. Widział już w życiu wiele, ale zapewne nic podobnego do

czarnej dziury zamiast serca.

Nie wiem, czy nie uważa mnie za jakiegoś demona. Nie chcę wiedzieć.

– Tak czy siak, dziękuję – dodaje na zapas. – W końcu będę miał spokój.

Żujemy w milczeniu. Choć smakuje paskudnie, to zdaje mi się, że nie mógłbym dostać niczego lepszego. Prawdziwa uczta z odpadków, odbudowany na nowo dach nad głową w postaci wcześniej zerwanej płachty, kawał koca na ciało, by chronił przed zimnem nocy – to więcej, niż miałem jeszcze wczoraj.

– Czemu tak upodobałeś sobie to miejsce, skoro on cię prześladował, ten Ciemniak? – dopytuję w końcu, wkładając do ust ostatnią namoczoną piętę. Oblizuję usta.

– Nie chciałem rezygnować, tak po prostu. To moje, tu się wszystko zaczęło i tu skończy.

– Mieszkałeś przy tej ulicy?

– Często bywałem w barze obok, jeszcze zanim stał się tym, co znasz. Kiedyś otwarty był tu inny lokal, Babilon.

Przytakuję, czekając na dalszą część historii, ale takowa nie nastąpiła. Filozof uznał najwidoczniej, że nie muszę więcej wiedzieć.

– Hej! – klepię go po ramieniu, aż odsuwa się do ceglatego muru tworzącego jedyną prawdziwą ścianę prowizorycznej nory. – Spokojnie... Mówiłem, że nie zrobię ci krzywdy...

– Przepraszam, przyzwyczajenie – macha ręką.

– Jak ty właściwie masz na imię?

Mierzy mnie dziwnym wzrokiem. Jakby sprawdzał, czy na pewno chciałem zadać to pytanie.

– Georg – odpowiada po chwili. – Georg W.

Myślę przez dłuższy moment, aż wreszcie wypalam:

– No tak! To ty byłeś tym medium! Tym z telewizji!

Filozof uśmiecha się półgębkiem. Wygląda to niezwykle smutno.

– Tym, co miał swój talk-show w telewizji! W BC1!

– Tak, ten sam – wyciąga skądś ledwo napoczętą paczkę papierosów. Sam wyjmuję jednego i częstuje mnie. – To było dawno temu.

Odpalam i zaciągam się głęboko z zadowoleniem.

– Co się z tobą stało? Zniknąłeś tak nagle i teraz nagle okazuje się, że jesteś... zwykłym kloszardem. Kurwa, posypało ci się życie, co?

– Sam je zmarnowałem – słyszę. – Nie trzymały się mnie pieniądze.

Tylko duchy nie chciały nigdy puścić. Ile tak można? Ty wiesz, powiedz mi. Ile?

Marszczę czoło, zaś mój głos brzmi groźniej, niżbym chciał.

– Co to za pytanie?

– No jak to? No... Czym różni się to, co jest, od tego, co nigdy nie było? Sam rozumiesz.

– Nie. Nic nie rozumiem.

Mężczyzna jest zaskoczony.

– Jak to? – pyta. – Przecież jesteś jednym z nich...

– Jednym z nich? O kogo ci chodzi?

– Nie masz serca – wyjaśnia Georg. – Jesteś jednym z jego akolitów.

Przybliżam się do niego. Muszę wyglądać groźnie, skoro mimowolnie się cofa. Napotyka jednak na ścianę budynku. Wygląda, jakby chciał się w nią wtopić.

– Kogo?

Rozmowa od słowa do słowa stała się przesłuchaniem. Uświadamiam sobie, że od początku miałem rozwiązanie tuż obok, że źródło wiedzy na temat zagadki morderstwa tułało się w tej właśnie ulicy.

– Ty coś wiesz – mówię. – A ja nic nie rozumiem. Nie potrafię poukładać faktów, nie wiem, co się ze mną stało. Musisz mi pomóc. Nie chcę już twoich pytań, nie chcę już więcej tajemnic. Jestem poszukiwany za zabójstwa, których nie popełniłem i ktoś mnie wrabia.

Raz jeszcze pokazuję mu dziurę w piersi.

– Nie wiem, co to ma znaczyć ani jak to możliwe. Błądzą od dawna i sam nie dojdę do prawdy. Ty coś wiesz. Pomóż mi.

Rozluźnia się po moich tłumaczeniach. Dalej wygląda, jakby mi nie ufał, ale wierzy w moje słowa. Nieważne. Istotne jest to, że zaczyna mówić...

*

– Różnie go nazywają. Nie wiem, czy w ogóle ma jakieś imię. Nie wiem, kim jest, też nie rozumiem wszystkiego. Wiem natomiast, co robi. A robi armię. Prawdziwą armię.

Poznałem go lata temu, gdy byłem jeszcze stróżem na moście, który znasz jako most Samobójców. Wiodłem wtedy inne, szczęśliwe życie i ludzie mi zazdrościli. Miałem rodzinę, pieniędzy dość, aby wystarczyło

na proste potrzeby. Nie szukałem sławy ani złudzeń. Chciałem jedynie spokoju.

On znał mojego ojca. Grywał z nim czasem w karty, choć stary mówił, że tego nienawidził. Nie znosił nieprzewidywalnych gier, takich, w których nie wszystko od niego zależało. Zawsze bał się zdawać na ślepy los, więc starał się manipulować każdą sytuacją. On, Pneuma, czuł potrzebę totalnej kontroli, nie chciał pozostawiać nic przypadkowi. Ojciec mówił, że grał z nim tylko dlatego, że go potrzebował. Do czego? Nie wiem. Ale powiem ci jedno. Jeśli on już kogoś nie potrzebuje, zabija go.

Rzadko robi to własnymi rękoma.

Mówił staremu, że da mu wszystko, co zapragnie, jeśli tylko nauczy się grać w karty tak, że będzie w stanie ograć samego diabła. A potem chciał, aby ojciec wykorzystał swoje umiejętności w jego imieniu. Po co? To też niewiadoma... On mówił, że po prostu chce wyprostować kilka żyć, aby móc wyprostować swoje...

Na moście pracowałem kilka ładnych lat, zanim nadano mu to małe chlubne miano. Byłem tam w te dni, kiedy ci biedni chłopcy wieszali się zupełnie bez powodu. I powiem ci to, co mówiłem wtedy policjantom prowadzącym sprawę. Widziałem diabła, który na chwilę przed śmiercią szeptał każdemu coś do ucha. Później rozpływał się we mgle, a potem pojawiał się tam mój stary. Zwłoki dyndały już na paskach od spodni.

Sądzę, że to właśnie przez to zacząłem widzieć duchy. Tym pierwszym duchem był diabeł na moście. To zmieniło całe moje życie. Ludzie myśleli później, że to dar. Kurwa, sam tak sądziłem. Chyba chciałem na siłę zapomnieć, zakłamać rzeczywistość... Ale to było jebane przekleństwo. Wstyd mi teraz, że płacili mi za to, że byłem napiętnowanym skurwysynem...

Nie, nie patrz tak na mnie. Dziś już jestem wolny od swoich demonów. Zostawiłem je za sobą. Już nic nie widzę, nic mnie nie nachodzi. On zresztą już mnie nie potrzebuje, więc chyba zabrał mi to, co zostawił wtedy. Zabił we mnie resztki człowieczeństwa. Przez niego wzniosłem się i upadłem. Staczam się każdego, pieprzonego dnia. Przeklinam go! Słyszysz?! Przeklinam!

Nie mów mi, żebym się uspokoił!

Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Czekaj... Zapalę...

Ci chłopcy, którzy tam się powiesili... Widziałem ich później. Te sine,

straszne twarze i pręgi na szyi od paska. Mieli przekrzywione głowy, połamane kręgosłupy. Pełzali po mnie w snach. Wdzierali się w transy, nawiedzali mnie...

Mówili, że są moimi braćmi. Synami mojego ojca. Że nasz ród ma zadanie do wykonania i oni byli jego częścią. Że ja sam jestem częścią jakiegoś wielkiego planu...

To było ponad moje siły. Dziś na szczęście już ich nie ma.

Ale powiem ci coś jeszcze... W jakiś chory sposób dawało mi to spokój. Zapominałem o życiu, które wiodłem wcześniej, o rodzinie, którą miałem. Wszystko straciłem, ale oni byli przy mnie. Czasem naprawdę tęsknię do tego...

Co ja gadam...

On.

On ma wiele twarzy i sam z pewnością znasz go bardzo dobrze. Twój los, tak jak mój, też jest z nim związany, a to znaczy, że obserwował cię i zna doskonale. Wie o wszystkim, każdym sekrecie. Wykorzystuje to dla swoich celów, a może tylko dla własnej satysfakcji. On nie ma sumienia, wiesz?

Od lat tworzył sobie podobnych – ludzi bez serca. Wyrывał ich z dotychczasowego życia, ofiarowywał schronienie oraz opiekę. Potrafi być hojny, jeśli czegoś potrzebuje. Nie pytaj mnie, do czego to prowadzi. Skąd miałbym wiedzieć? On jedyny zna szczegóły całej intrygi...

Pod jakim imieniem go znam? Pod wieloma, już mówiłem.

Ale lubi nazywać się Pan Pneuma.

Nie musisz go szukać, on sam ciebie znajdzie. Znalazł... Już znalazł przecież. Należysz do niego.

Dał ci coś, prawda? Dał coś, czego nie powinieneś mieć. Jakąś władzę nad czymś lub nad kimś, tak jak mi. To jego rzecz, tak właśnie postępuje. Wydaje mi się, że zna ludzką naturę, każdy czuły punkt, pragnienie. Wykorzystuje to w zależności od sytuacji. Jest prawdziwym władcą marionetek.

Wydaje ci się, że bredzę. Że opisuję coś, czego nie ma, jakieś doskonałe zło. Zło istnieje, facet. Po tylu latach na tym łez padole uważam, że tylko zło istnieje.

Ojciec mówił mi, że odkąd nauczył go wszystkiego o grze, zabronił zasiadać do stołu. Stary panicznie się go bał i wiedział, że jeśli kiedykolwiek złamie zakaz, on o wszystkim się dowie. Chodził więc do

jednej takiej speluny i pomagał innym za pieniądze. Podawał im gotowe rozwiązania, uczył taktyki, blefu, wszelkich tajników. I oni wygrywali. Dzielili się później wygraną. Myślę, że o to właśnie chodziło Pneumie. Że przewidział to, że ojciec tak właśnie zrobi. W gruncie rzeczy oczekiwał tego. Po coś było mu to potrzebne.

Gdy uznał, że stary wykonał zadanie, złapał go za gardło na moim moście i wraz z nim rzucił się do rzeki.

Nigdy nie znaleziono ciała. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale wiem, że Pneuma nie zginął. Przyszedł do mnie, by powiedzieć, że niedługo zobaczę całą swoją rodzinę. I wiele więcej.

To chyba jednak właśnie po tym fakcie zacząłem widzieć duchy... Już sam nie wiem, miesza mi się.

Zapalisz jeszcze jednego? No dalej... Szkoda, że nie ma nic więcej. Chętnie bym się upił...

Nie uciekniesz przed nim, zawsze cię dogoni. Zresztą, gdzie miałbyś uciekać? Czasem wydaje mi się, że jest tylko to Miasto... On jest sprytny, mi też coś dał w zamian za to, co przeżyłem. Dołączył mnie w pewien sposób do waszego grona. Pozwolił być w centrum wydarzeń.

Któregoś razu przyszedł do mnie taki jak ty, bez serca. Poprosił, abym z nim porozmawiał. Zdziwiłem się wtedy, bo przecież byłem, rozmawiałem. Twarzą w twarz, nie inaczej. Ale on, że nie, nie tak. Powiedział, żebym naprawdę z nim porozmawiał. Żebym przywołał jego duszę, która zniknęła wraz z sercem. Przegoniłem go, bo się bałem. Dowiedziałem się później, że i on się zabił. Nie mógł znieść tego, co się stało.

Ty też o tym myślisz? Nie rób tego. On się tylko ucieszy...

Co wiem o fejsowcach?

Wiem, że zostali oszukani, tak jak i cała reszta, jak mój ojciec i ja. Nie wiem, dlaczego zabiera im serca ani czy dzięki temu zabiera też dusze. Ale stoją za nim murem. Coś ich porywa, coś bardzo szczerego, naiwnego. Ten młody chłopak, który do mnie przyszedł, czuł, wierzył, że teraz nic nie będzie w stanie go dotknąć. Że będzie odporny na podłość innych ludzi. Chyba o to chodzi, to właśnie im obiecuje – brak emocji, spokój w nicości. Nie wiem... Gdybym nie znał tego nieszczęśnika, myślałbym, że ma to sens. Ale on wcale nie stracił uczuć. Wręcz przeciwnie...

Choć może był wyjątkiem.

Teraz jesteś jednym z nich, więc wtop się. Znajdź sobie podobnych,

a może czegoś się dowiesz. Ja nic więcej nie mogę ci wyznać. To wszystko. Nie pytaj już, zostaw mnie. Przegoniłeś Ciemniaka, byłem więc ci coś winien, ale nie próbuj zjawiać się tu jutro.

Idź szukać swojego sumienia.

Idźcie wy wszyscy do diabła!

*

Gdy Matka uciekła, Ojcu nawet nie przyszło na myśl, by ją gonić. Miał dość ofiarowanego mu życia, wykorzystał więc sytuację, aby uwolnić się raz na zawsze.

Pewnego dnia po prostu znaleźliśmy liścik na kuchennym stole. To do niedawna było moje pierwsze wspomnienie. Choć oczywiście zamazane, nie pamiętałem treści, tylko emocje, które temu towarzyszyły. Lecz nie swoje – Ojca.

Ulga, każdy rodzaj ulgi.

Dziś słowa spisane na kartce są wyraźne i jasne:

Nie ufam słowom, ale to wiesz. Nie będę więc wylewać ich wiele.

Nie chcę już więcej tej całej maskarady. Zabrałeś mi wszystko. On zabrał mi wszystko.

W zamian dostałam tylko obietnicę – nie moją, a waszą. Ale przecież czym różni się to, co jest, od tego, co nigdy nie było? Weź to dziecko. Nie jest moje, choć bardzo chciałabym, aby było.

Ale nie zostałem z Ojcem. Wkrótce potem on też mnie opuścił.

*

Pan Pneuma. Człowiek zwany diabłem. Ma wiele twarzy i wiele serc. Zbiera dusze.

Oto bełkot szaleńca.

Tylko że w takim razie sam jestem częścią tego szaleństwa. Żywym dowodem na słowa opętanego przez duchy przeszłości kloszarda. A może jestem koszmarem, który komuś się przyśnił?

Dopóki osobiście mnie to nie dotknęło, myślałem, że to jakieś oszustwo. Patrzyłem na zionące pustką dziury w piersi przesłuchiowanych fejsowców i racjonalizowałem wszystko. Tam przecież gdzieś jest serce, musi być, nie może być inaczej. To tylko jakieś straszne okaleczenie wywołujące głęboką traumę. Może nawet te dzieciaki same wierzą w to, że

nic już tam nie ma, bo któregoś dnia obudzili się i musieli jakoś to sobie wytłumaczyć.

Teraz wiem, że to nieprawda. Problem w tym, że to jedyne, co wiem.

Jednak teraz przynajmniej mam pomysł, gdzie szukać, by odkryć więcej.

Muszę wrócić tam, skąd uciekłem. Tak jak moja Matka dawno temu. Chciałbym znowu przeżyć ten dzień. Był najszcześniejszym w moim życiu. Jedno z nielicznych świąt, jakie mógłbym celebrować, gdybym był ckliwym człowiekiem. Żałuję, bo mógłbym, ale nie będzie już na to szansy.

Aby odnaleźć Pana Pneumę, nie trzeba wiele. Już raz mnie znalazł, sam doprowadził do siebie. Tak utkał sieć, abym wpadł w sam jej środek, a później przyszedł, niespiesznie, lecz nieuchronnie, jak pająk po swoją zdobycz.

Wiem, że już za późno i miotam się jakby w przedśmiertnych drgawkach – na wpół żywy, ukąszony, obezwładniony, ale jeszcze w jednym desperackim zrywku. Już bez szans, jednak wciąż z wolą walki. To koniec i aby skończył się dramat, muszę po prostu odpuścić. Poczekać, aż pająk wróci, by wreszcie mnie pożreć.

Lecz nie potrafię stać w miejscu. Niepokój przenika do kości, sączy się z otwartej w piersi rany. Ruszam o świcie wzdłuż pajęczej nitki, srebrzystej pięknej pułapki. Zanim stanie się, co ma się stać, wyrównam rachunki. Jestem to winny sobie, przede wszystkim sobie.

Do kwatery Miss Komando docieram dość szybko, jednak wita mnie ruina budynku, który jeszcze niedawno był prawdziwą twierdzą. Został tylko nagi szkielet, jakby od dawna niczego tu nie było. Wchodzę do środka i tuż obok upada gruba, spróchniała belka. Strop w każdej chwili może runąć. Nie ma tu ani śladu życia, nawet pustych butelek po piwie. Nie chcą tu przebywać nawet bezdomni.

Świat, jaki znałem, wydaje się ułudą. Jakbym żył w wiecznej iluzji albo w błyskawicznym rozpadzie. Entropia w natarciu.

W oddali słycać krzyki. To ktoś nawołuje. Staram się wsłuchać w słowa, ale one też docierają zniszczone, niepełne. Nie jestem w stanie zrozumieć nic. Wchodzę więc dalej, już bez nadziei na zrozumienie. Kierowany ciekawością przemierzam zagracone cegłami, deskami i tynkiem korytarze. Tu było przejście, tu pierwsze z ukrytych drzwi, za którymi czaił się oddział zabójczych najemników gotowych wypalić we

mnie gradem kul. A tu wisiała kamera, stąd tylko dwadzieścia kroków dzieliło od wejścia do pokoi Miss Komando. Układ się zgadza. Byłem tu, z pewnością. Tylko kiedy? Parę dni temu czy dekadę? Ile czasu minęło od ostatniej nocy?

Odgłosy nawoływania są bliższe, jednak wciąż dochodzą zniekształcone i nijak nie można zorientować się w sytuacji. Czujnie oglądam się za siebie dzięki dziwnemu przeczuciu. Chowam się za kawałkiem nie do końca zburzonej ściany. Wyglądam, czy aby na pewno nikt mnie nie śledzi. Myślę, że w pewnym momencie przestałem zachowywać dostateczną dozę ostrożności. Czekam kilka chwil, ale nikogo nie widać na horyzoncie.

Wtem z głębi ruiny słyszę szmer i trzask. Szczury – mówię w duchu. W takich miejscach z pewnością jest ich mnóstwo. Nie niepokojone szukają pożywienia, resztek wyrzuconych przez ludzi. Powoli ruszam w tamtym kierunku.

Z zaskoczeniem odkrywam, że za kwaterami Miss Komando znajdują się dodatkowe pomieszczenia, o których nie miałem pojęcia. Przejścia niegdyś odgradzone od reszty kratami. Pordzewiałe dziś pręty są powyginane oraz połamane. Za nimi wąskie cele, potłuczone pisuary, umywalki, jak też metalowe prycze. Więzienie. To musiało być więzienie.

Na podłodze dostrzegam błysk. To tarcza plastikowego zegarka. Różowy pasek, zbyt krótki, aby pasował na przegub dorosłej osoby. Wskazówki dawno stanęły.

– Niech pan im powie, że tu jestem – słyszę z kąta celi.

Odskakuję w tył, przerażony. Naprzeciwko siedzi brudna, chuda dziewczynka o posklejanych blond włosach.

– To mnie wołają, ale boję się wyjść – dodaje.

Jej spojrzenie błądzi po moim ciele, aż czuję namacalny dotyk chłodu.

– Co się dzieje?... – mówię zdezorientowany.

– Pan mnie znalazł. Czekałam tutaj, aż pan mnie znajdzie – odpowiada dziecko.

Wstaje i podchodzi do mnie. Otwieram usta absolutnie zaskoczony.

– Jestem taka, jak pan – oznajmia i chwyta mnie za dłoń. – Proszę, niech pan zobaczy.

I wkłada moje palce do zionącej pustką dziury w piersi.

– Czy ja śnię? – pytam ją. – Straciłem zmysły?

Kręci głową z prawdziwie dziecięcą przesadą.

– Niech pan im powie, że tu jestem – prosi ponownie. – Inaczej nigdy się nie znajdziemy.

Wtedy właśnie zaczynam rozumieć nawoływania.

To jej imię.

– Zgubiłaś się? – postanawiam wejść w tę grę.

Znowu zaprzecza.

– Źli ludzie mnie tu przyprowadzili.

– Zostałaś porwana?

– Wzięła mnie. Zła kobieta. Byli też inni.

– Kto? Mieli pistolety?

– Nie, ale mieli takie dziury jak Pan i ja. Tyle że ja kiedyś nie miałam.

Dziury nie miałam.

Ściskam jej lodowato zimne dłonie.

– Jak wyglądała? Ta kobieta. Miała takie włosy?

I staram się pokazać niezdarnymi ruchami fryzurę Miss Komando.

– Nie, zupełnie inne – odpowiada dziewczynka.

– A jak gruba była? Tak?

Odmierzam na oko.

Ponownie nie.

– Wołają mnie. Niech pan mnie do nich zaprowadzi. Do rodziców – oczy małej robią się szkliste.

– Dobrze, kochanie – zgadzam się. – Chodźmy.

Biorę ją za rękę i ostrożnie przedzieramy się przez gruzy. Nawoływania są coraz bliższe. Słysząc kobiecy głos.

– Już zaraz – mówię bardziej do siebie niż do dziecka. – Już zaraz będziesz u mamusi.

Wychodzimy na zewnątrz i mała chowa się za mną. Mocniej ściska moją dłoń, zaś drugą wskazuje na stojącą nieopodal kobietę.

– To ona! – krzyczy. – To ona mnie porwała.

Kobieta odwraca się i widzę twarz mojej własnej Matki.

Po chwili wszystko znika, a ja obracam różowym zegarkiem między palcami.

Gdy podnoszę znaleźisko do góry, ktoś chwytą mnie za ramię. Jakaś staruszka wpatrzona weń jak w obrazek. Zalewa się łzami i opiera na mnie.

– Znalazł pan... – wyjękuje. – Znalazł pan... To moje... To mojej wnuczki...

– Niech się pani uspokoi – proszę, przytrzymując ją w pasie. – To było

tam, w zawałonym budynku.

– Wiedziałam! Czułam to! Tyle czasu szukałam, ale nie mogłam, nie mogłam... A pan znalazł! Proszę, niech pan pójdzie ze mną! Proszę! Niech ja się panu odwdzięczę!

Pozwalam jej uwiesić się na mnie i odprowadzam do jednego z okolicznych bloków.

*

Stół wypełniony jest smakołykami, ale mnie najbardziej interesuje parująca herbata. Trzymam kubek, chłonąc ciepło, rozgrzewając się. Nawet nie sądziłem, że mogę być tak zziębnięty.

Prysznic i mydło zmyło ze mnie trudy ostatnich dni. Stałem oparty o kremowe kafelki, pozwalając, aby woda opadała mi na głowę. Z oczu płynęły łzy, ale ginęły wśród kropel. Tak właśnie starałem się oszukać siebie. W obcym domu, obcym świecie, zagubiony w labiryncie zdarzeń płakałem tak, aby nie wiedzieć, że płaczę.

Staruszka krząta się w kuchni, sporządzając coraz to nowe potrawy. Jej ociężałe ruchy świadczą o poważnej chorobie. Jest u kresu, ale mocno trzyma się życia. Nie chce mojej pomocy. Mówi, że już zrobiłem więcej, niż mogłaby pragnąć. Powiesiła zegarek na srebrnym łańcuszku jak medalion.

Na meblościance stoi cała jej historia. Od najmłodszych lat zatrzymanych na biało-czarnych zdjęciach, gdy uśmiecha się do aparatu bez dwójki przednich zębów – szczęśliwy osesek – aż po poważne fotografie skurczonej wiekiem seniorki wydrukowane cyfrowo na wysokiej jakości kredowym papierze. Dostrzega, że przyglądam się właśnie im i wtrąca, że nienawidzi tych nowoczesnych pamiątek. Widać wszystkie zmarszczki, zwisającą skórę i nawet wątrobowe plamy na dłoniach.

A zawsze miała takie piękne ręce – dodaje.

Była córką, panną, żoną, matką, babką. Bywała kochanką (w głębi półki stoi mała ramka z portretem kilkudziesięcioletniego mężczyzny, o którym nie chce rozmawiać), wdziewała tysiące ról oraz masek. Jest w tym pewna dewolucja – szczęśliwa w młodych latach, coraz bardziej przygniatana przez los z biegiem czasu.

Pytam, czy ma rodzinę, odpowiada, że miała. Już nikt nie pozostał.

I głodzi zegarek, który znalazłem. Sama jak palec, do samego końca, który nastąpi szybko – taką ma nadzieję. Nie liczy jednak na to. Kobiety w jej rodzie zawsze były długowieczne. Oczywiście oprócz wnuczki. I córki. Nie chcę o to dopytywać. Wiem, że sama mi powie, gdy dotrwa do końca swojego kuchennego misterium. Tymczasem zajmuję miejsce w starym, nieco zapadniętym, ale wciąż wygodnym fotelu, pozwalając sobie na odpoczynek. Wiercę się, nie potrafiąc znaleźć dobrej pozycji, jakby miękkość stała się wrogiem. Człowiek szybko odzwyczaja się od komfortu.

– Nic pan nie ruszył – biadoli kobieta. Uśmiecham się, słysząc te typowe starcze narzekanie. W Grece mają takie przysłowie, że nie ma czegoś takiego jak starość. Jest tylko coraz większa zachłanność. – Niechże pan coś zje. Proszę się częstować, pan ma trudno i źle pan wygląda.

Nie pozwoliłem jej uprać mi płaszcz, choć nalegała. Materiał śmierdzi ulicą oraz potem. Wstyd mi przed nią, ale to jedyna rzecz, która ukrywa moje okaleczenie. Ubrałem się natychmiast po wzięciu prysznic, co zaprzepaściło wszelkie wysiłki higieniczne, ale inaczej zobaczyłaby, kim jestem.

Kobieta stawia na stole wielki gar aromatycznej zupy. Zapach pobudza, kusi i choć tak naprawdę nie jestem głodny, zmuszam się do zjedzenia jednej miski. Na dnie naczynia namalowano kiedyś jakiś wzór, ale czas zatarł go prawie całkowicie.

– Czym różni się to, co jest, od tego, co nigdy nie było? – pytam sam siebie.

Zamiast odpowiedzi dostaję papierosa. Starsza pani pali mocne, jak sama mówi – jednego na dzień. Dla przyjemności. Kiedyś kurzyła jak smok, bo to takie męskie było, a ona przepadała za męskim towarzystwem. No i tak już zostało, choć z roku na rok codzienna norma tytoniu zmniejszała się. Nie powinna już palić, to złe dla zdrowia – wspomina. – No, ale przecież i tak nie umrze zdrowa, więc co szkodzi?

Od jej papierosa zanoszę się kaszlem, pomimo iż wiele już na swej drodze wypaliłem.

– Ten zegarek to wnuczki – zaczyna wreszcie opowieść. – Leżał tam chyba ze trzydzieści lat, jeśli nie lepiej. Pan wybaczy, ale pamięć już nie ta, a i do dat to nigdy właściwie nie była ta. No mniejsza. Wnuczki, dobrze się stało, że w końcu ktoś go znalazł. Traciłam już nadzieję.

Wypuszcza jasne kłęby dymu z ust.

– Miała może dziesięć lat, może nawet mniej – kontynuuje. – Śliczna blondyneczka, bardzo odważna. Oczko w głowie rodziców, no i moje małe serduszko. Tak się wszyscy cieszyli, jak się urodziła, bo były komplikacje i córka poważnie zastanawiała się, czy donosi. Pan ma dzieci? Tak? To wie pan, jaki to skarb. Czeka się na nie. To moja jedyna wnuczka była. W rodzinie zawsze wszyscy jedynaków mieli lub jedynaczki. Taki to los był, a czasem i wybór. Bo jak się jedno dziecko ma, to można na nie całą miłość przelać. Nie trzeba dzielić pomiędzy nikogo innego.

Podsuwam jej popielniczkę widząc, jak nadmiar popiołu narasta.

– Dziękuję – kiwa głową. – Czasem się zagapię czy zagadam. Starość. Mniejsza. Córcia z zięciem bardzo się starali o potomstwo. Zawsze zabiegani, nie mieli czasu, ale marzyli. No i w końcu tak zniecka, nie do końca planowane. Podarunek od losu, niebios się otworzyły, ziarenko spadło. Oni niewiele mi mówili, ale sądzę, że to właściwie uratowało ich małżeństwo. Męczyli się tacy samotni. Jak jest młodość w domu, to jest równowaga, można uciec od codziennych problemów. No i wreszcie coś się dzieje, a nie tylko we dwoje. Jak dla mnie to tak długo się znali, że zaczynali się ze sobą nudzić. A tu nagle jakiś chaos się wkrada. Cudnie było patrzeć na to, jak się w oczach zmieniali, przystosowywali do sytuacji. I częściej mnie odwiedzali. Czas się wnet znalazł, wie pan? Okazało się, że jak tu poprzekładać, z tego czy owego zrezygnować, to się nic nie rozpadnie.

Przygasa niedopałek. Walczy ze sobą, by nie wziąć kolejnego, ale przegrywa. Macha dłonią, widząc moje zdziwienie.

– Raz jeszcze można – bagatelizuje.

Pozwala mi odpalić.

– Porwana została w rocznicę ślubu rodziców – staruszka wraca do opowieści. – Poszli na wykwintną kolację do jednej z tych modnych wtedy restauracji na Nadrzeczcu, spędzić romantycznie czas. Policja mówiła potem, że ta kobieta weszła do ich domu. Nie zostawiła wiele śladów. Ostrożna, skrupulatna, a jednak desperatka. Wie pan, żeby zabierać małą dziewczynkę, to musiała być przecież desperatka. Nie chcę jej oceniać, od lat powstrzymuję się od tego. Nie wyklinam, choć nie rozumiem. Przynajmniej nie do końca, bo staram się wytłumaczyć to sobie. Bez powodu by przecież tego nie zrobiła. Najgorsze jest, że oni akurat wrócili, gdy była jeszcze w domu. Usłyszeli płacz małej no i tragedia się stała.

Zastrzeliła ich. We własnym domu, w pokoju wnuczki, we własną rocznicę. Policja mówi, że na oczach dziewczynki.

Milczę, pozwalając jej głęboko odetchnąć.

– Nic by się nie stało, gdyby pięć minut później przyszli. A tak zapewne zmusili ją do tego. Nie sądzę, aby chodziło jej o nich. Tylko o małą chodziło, a oni się natrafili. Nie winię jej, naprawdę, choć trudno w to uwierzyć. Pan pewnie nie wierzy. Ale ja już tak. Wmówiłam sobie, że nie zabiłaby ich, gdyby miała wyjście.

Tym razem to ja wyciągam następnego papierosa z paczki. Po chwili starsza pani powraca do swojej historii:

– Poszłam nawet do telewizji, do BC1 z apelem, aby nie robiła dziecku krzywdy. Na polecenie policji poszłam, ale nic to nie dało. Ona robiła to już wcześniej, to znaczy porywała pociechy z domów. Tylko że przed tym zdarzeniem podobno nikogo nie skrzywdziła. Służby już były na jej tropie, mieli świadków, jakieś nagrania z kamer. To nie była nienawistna osoba. Opiekowała się maluchami, a gdy mijał jakiś czas, zwracała je rodzinom. Budowali jej profil, pan rozumie? I jak się okazało, zgadzał się co do joty. Doszli do wniosku, że musi to być bardzo wycofana kobieta, prawdopodobnie o trudnym dzieciństwie. Nieszczęśliwa w małżeństwie, po jakiejś wielkiej traumie. No i też matka. Taka, która albo straciła, albo porzuciła własne dziecko i czuje wyrzuty sumienia. Zabiera więc innym, aby choć na trochę zapomnieć. Niegroźna, jeśli nie podstawi się jej pod ścianą.

Prostuję się, zaś papieros wypada mi z palców.

– Ależ niech pan podniesie, bo się mieszkanie spali!

Ale ostatecznie ona robi to za mnie. Wpatruję się w jej postać, myśląc tylko o tym, czy to przypadek? Nie, to nie może być jedynie złudne podobieństwo. Staruszka opowiada o mojej Matce.

Pamiętam, że gdy rozpoczynałem pracę w policji, chciałem przejrzeć akta jej sprawy. Nie udzielono mi zezwolenia. Ktoś uznał, że nie mogę znać prawdy, że rzecz mnie przerasta. Staralem się walczyć, pukałem do wielu drzwi, ale te pozostawały zamknięte. Nie byłem w stanie nawet zbliżyć się do dokumentów.

– I niech sobie pan wyobrazi – podejmuje na nowo gospodyni domu. – Niech pan choć spróbuje sobie wyobrazić, że mieli rację we wszystkim. Śledztwo stało się priorytetowe, poruszono niebo i ziemię, aby ją znaleźć. W końcu namierzyli kobietę. Była ukryta w jakimś domku na obrzeżach

Miasta, trudno dostępnym. Doskonała kryjówka. Tam zabierała wszystkie dzieci. Znalaziono w środku mnóstwo zabawek. Kobieta popełniła błąd, bo w końcu przysłała po własne maleństwo, które przejęła rodzina zastępcza. Po nitce do kłębka doszli prawdy. Przyjechali po nią, ale wtedy znowu ogarnęła ją furia, tak jak w przypadku mojej rodziny... Ścigali się na autostradzie, modląc się, aby w swoim szaleństwie nie zabiła własnego dzieciaka. To chyba był chłopczyk...

– Rozbiła się – przerywam jej. – Na barykadzie radiowozów. Umarła na miejscu. Chłopiec przeżył.

Zdezorientowanie staruszki jest olbrzymie. Zbita z tropu sięga po jeszcze jednego do paczki, ale powstrzymuję ją.

– Pani chce zapytać, skąd wiem, prawda? Tym chłopcem byłem ja. To mój ród zabił pani rodzinę.

Wychodzę, zabrawszy ze sobą papierosy.

*

Nie mówił wiele, gdy odwoził mnie do kuratorium. Zabrał tylko wcześniej na lody i do cyrku. Pozwolił opychać się słodyczami wedle uznania. Zjadłem ich tyle, że dojechawszy na miejsce, po prostu nie mogłem wstać z fotela o własnych siłach.

Widocznie chciał, aby ostatni nasz dzień pozostał miłym wspomnieniem, ale dla mnie nie miał on właściwie żadnego znaczenia. Każdy poranek pod okiem Ojca wyglądał tak samo. Wydaje mi się, że takie właśnie jest piekło dla dzieci – milczące, bezbarwne. Ojciec potrafił zaczarować ludzi, gdy tego chciał. Mnie jednak nigdy nie spotkał ten zaszczyt.

Wytrzymał ze mną rok, choć wydawało mi się, że był to wiek. Niczym nieróżniące się od siebie dni, wlokące się godzina po godzinie. Wspinałem się na wyżyny apatii, przygaszony, wypompowany z energii. Cichy charakter Ojca wymagał milczenia – w domu nie padało żadne zbędne słowo. Unosił się tylko dym z fajki, a słychać było stukot figur przesuwanych na szachownicy.

To wtedy nauczyłem się grać. To jedyna rozrywka, która tak naprawdę była mi zapewniona. Nie umiałem jeszcze dobrze czytać, ale debiuty szachowe znałem doskonale. Partia wiedeńska, obrona sycylijska, hiszpanka z wariantem zamkniętym i otwartym towarzyszyły mi prawie co

dnia. Wyćwiczony, coraz bardziej świadomy tego, co dzieje się na planszy, starałem się zaskoczyć Ojca w każdej partii, ale nigdy się to nie udało. Nie wygrałem ani razu, nie dałem rady również zremisować. Wszystkie potyczki kończyły się zebraniem mata, bo nie umiałem też nigdy zrezygnować z kontynuowania gry, choć od dawna widać było, że jest ona dla mnie porażką.

Myślę, że Ojciec oddał mnie, gdy ostatecznie się rozczarował – gdy nauczył mnie wszystkiego, a i tak nie dorosłem mu do pięt.

Od tamtego dnia ani razu nie spojrzałem na szachy.

*

Oślepiające światła padają wprost na mnie. Zdaje się, że słońce zeszło z horyzontu i wzięło mnie na cel, wymierzając obłądnie jasne promienie w twarz. Oczy pieką żywym ogniem, a skóra parzy.

– Nie ruszać się! Policja!

Zrywam się do ucieczki, zupełnie na ślepo. Dotykając ściany, wpadam za róg i biegnę przed siebie, nie zważając na nic. A więc jednak – dopadli mnie. Słyszę szcęk odbezpieczanej broni, tupot ciężkich butów. Jest ich kilku, nadciągających z opętańczego ryku syreny radiowozu.

– Stać! – krzyczą.

A ja pędzę, nie widząc kompletnie nic i polegając jedynie na szczęściu. Wpadam na jakiegoś przechodnia. Odbijamy się od siebie, wydając jęki bólu. Głową uderzam o bruk, a kolanem o jakiś pręt. Trwa to jednak tylko moment, mgnienie oka i adrenalina już pompuje astronomiczne ilości energii do ciała. Policjanci zbliżają się ledwie o parę kroków, gdy podnoszę się, by po raz kolejny biec byle dalej. Potrącony przechodzień klnie wniebogłosy.

Rozpruwane powietrze aż świszczy – czuję to, słyszę. Kieruję się w stronę ciszy, gdzie lepiej słychać odgłos moich własnych nóg, zwielokrotniony przez ciasne uliczki Miasta. Jak nietoperz w echolokacji namierzam swoje położenie i koryguję kierunek oraz pęd. Wzrok mętnie, powoli powraca, choć widać ledwie rozmazane cienie, plamy. Wyostrza się słuch.

Jak spanikowane zwierzę desperacko uciekam przez miejską dżunglę. Przeskakuję nad workami śmieci, by precyzyjnie się między ścianą a wozem służb oczyszczających. Skąd wiem, że to właśnie to? Po

smrodzie? Tak cuchnie całe to pierdolone miejsce.

Musiał natrafić na mnie jakiś patrol, zapewne przypadkiem. Nie sądzę, aby mnie wyśledzili. Gdyby mieli jakiekolwiek informacje o moim miejscu pobytu, dawno zrobiliby nalot, wygarnęliby mnie, zaciągnęli do celi, pokoju przesłuchań, spałowali. Nie, to musiał być szczęśliwy traf. Przecież każdy funkcjonariusz nosi przy sobie moją fotkę, rysopis, zapewne list gończy. Do tego czasu natrafili na ciało Marka, tego biednego skurwysyna, przez którego to wszystko się dzieje.

Nie zmienia to faktu, że są blisko, że polowanie czas zacząć i tym razem to ja jestem ofiarą gonioną przez drapieżniki, przez hieny, przez świnię... Muszę pędzić, co sił, choć płuca już pękają, a serce...

Jakie serce?...

Zaczynam się śmiać. Ryczę ze śmiechu, nie mogąc się powstrzymać. Czuję, że się oddalam, że zbiegam gdzieś w dół, nabierając szybkości, a oni zwalniają, bojąc się, że upadną, połamią się w niebezpiecznej pogoni. Komuś wypala broń.

– Kurwa, wpierw ostrzegawczy! – rozlega się daleko za mną wściekły głos.

Nie przestaję biec ani bezsensownie się śmiać, wyładowując nadmiar emocji. Wzrok wraca, choć wciąż kształty rozmazują się. Widzę jednak coraz więcej – kolory, kąty, co wyraźniejsze, bliższe rzeczy. Paradoksalnie zwalniam, jakby oczy nie były mi do niczego potrzebne. Zbiegam w zaułek, by zorientować się, że to ślepa uliczka.

Odwracam się. Są kawał drogi za mną, ale nie sposób się wrócić. Po co? By wpaść prosto na nich? Zauważam kilka zamkniętych drzwi. Łapię za pierwszą z brzegu klamkę, ale zostaje mi w dłoni. Dopadam następnej, zamkniętej. Dobijam się, wołając:

– Ratunku! Pomocy!

Wtedy w mur obok mnie trafia kula. W jednej chwili czuję się jak w samochodzie z Matką, w rajdzie ku śmierci, uciekając od odpowiedzialności. Niedoczekanie.

Niewysoko nade mną, tuż nad kontenerem odpadów, znajduje się okno. Klamką, którą nadal trzymam w dłoni, rzucam w szybę i ta roztrzaskuje się na tysiące kawałków. Ze środka słychać przeraźliwy pisk. To kot, brocząc krwią, wylatuje na podwórko i ucieka.

Wspinam się na kontener, jest mokry i śliski. Dłonią w brei łapię się za parapet i staram podciągnąć. Wreszcie moc opuszcza mnie. Ląduję

z powrotem na kłapie. Próbuję raz jeszcze. Natrafiam na odłamki szkła. Syczę z bólu. Wzrok znowu staje się zamglony.

Kolejny pocisk wpada do mieszkania. Rozbija sufitową lampę.

– Nie strzelaj, do chuja! Tam mogą być ludzie! – krzyczy jeden z policjantów.

Słyszę ich kroki pod oknem, ale resztką sił wybijam się. Łąduję na dywan perlący się od potrzaskanego szkła. Drobiny wplątują się w płaszcz i szybko dochodzą skóry. Spoglądam na wnętrze dłoni – całe czerwone od krwi.

W środku nie ma nikogo. Przemierzam małe pokoiki, znajdując korytarz. Odryglowuję zamki. Na klatce schodowej panuje cudowny chłód. A może to uciekające z tysięcy ran ciepło życia. Zbiegając w dół impulsywnie badam ciało, czy nie zostało postrzelone, ale zapominam o broczącej krwi z dłoni. Po chwili płaszcz przesiąka nią tak, że nie jestem w stanie powiedzieć, czy faktycznie dostałem.

Policjanci dopiero wpadają do mieszkania, słyszę ich nerwowe nawoływania. Roznoszą się echem po całym pionie. Ktoś uchyla wrota do swojej siedziby, ale widząc mnie, szybko zamyka, przerażony. Wypadam na zewnątrz, trzymając rękę tam, gdzie powinno znajdować się serce.

Przede mną wyrasta Bernard. Tak mnie to zaskakuje, że zatrzymuję się. Spoglądam wprost na lufę pistoletu wycelowanego we mnie.

Były kompan pociąga za spust.

A zaraz potem krzyczy:

– Kurwa! Kurwa! Co ja zrobiłem?!

I pakuje mnie na tylnie siedzenie radiowozu zaparkowanego przed budynkiem.

Odjeżdżamy z piskiem opon.

*

Rzuca mi apteczkę wygrzebaną spod siedzenia. Jedźcie szybko, ale nie pędzi na złamanie karku. Lata na policyjnej służbie wyrobiły w nim odpowiednie nawyki, długi romans z brudnym światkiem dilerów i kapusiów nauczyły lawirowania. Denerwuje się, ale jest opanowany. Jest pewny siebie, zorientowany, wyczulony. Chce odjechać jak najdalej, ale nie może zostać złapany. W końcu pomaga przestępcy, a to automatycznie czyni go winnym niewykonania obowiązków policjanta oraz pomocy

w ucieczce poszukiwanego. Jego życie może skończyć się przez jeden fałszywy ruch, gdy tuż za nim zabłyśnie niebiesko-czerwony kogut, gdy pieszy patrol zauważy najłżejsze odchylenie od normy. Prowadzi więc płynnie, choć czerwień zdenerwowania i stresu zalewa mu policzki.

Pierwszy raz widzę go w takim stanie.

– Szybko! – mówi. – Weź gazę i uciskaj. Zaraz się tobą zajmujemy. Kurwa, broń sama wypaliła, musisz mi uwierzyć!

Oczywiście nie wierzę w ani jedno jego zapewnienie i nigdy nie będę w stanie mu zaufać. Wycelował i z zimnym wyrachowaniem nacisnął spust, a teraz stara się zagłuszyć swoje sumienie albo bezczelnie wywozi mnie we wcześniej upatrzone miejsce, aby dobić, abym nie wydał, że to on powiedział mi o romansie mojej córki z Markiem.

Nie ma brudnych gliniarzy, bo gdyby byli, oznaczałoby to, że istnieją też krystalicznie czysti. On jednak najbliżej jest miana brudnego gliny. Skorumpowany, bez sumienia, robiący wszystko tylko dla siebie, dąży po trupach do celu – wyrafinowany pasożyt, wąż zmieniający skórę na zawołanie. Poznawszy obie strony monety wybiera rant, staje na sztorc pomiędzy moralnością a jej brakiem, na etycznej ziemi niczyjej. Bezpieczny, nienaruszalny, konieczny dla awersu oraz rewersu, spoiwo, linia łącząca, jak też demarkacyjna.

Bernard. Mój stary druh Bernard.

– Dasz radę! Już niedługo będziemy na miejscu, tam jest bezpiecznie. Nikt cię nie znajdzie. Spokojnie, nic się nie stało, nic się nie stało...

Terkocze swoje non stop, niczym mantrę. Nie mogę wyjść z podziwu dla jego dwulicowości. Przed chwilą bez wahania strzelił mi w pierś, a teraz udaje najlepszego przyjaciela. Zza szyby przepływają obrazy mijającego Miasta. Rozumiem już, że to właśnie on jest przyszłością Miasta, jest Miastem samym w sobie. Jego duszą, jego sercem – zepsutym do szczytu, ale nie pozbawionym racjonalności, kierującym się głosem najrozsądniejszej z dekadencji, istnej paradoksalności nastawionej na nieustanny wzrost ku chwale. On-Ono zagarniające wszelką możliwą przestrzeń, rozstrzygające wedle siebie tylko znanych prawideł dylematy, naprawiające własne błędy i popełniające wciąż nowe z masochistycznym zacięciem celebrujące swój jakże przepiękny upadek.

Mijamy Centrum i Rynek, siedlisko podłości i nadziei zarazem, przejeżdżamy po fatalnym moście Samobójców, budząc zdziwienie oraz zgorzienie. Widok na Nadrzecze, Grekę odgradzoną murem jak też drutem

kolczastym. Oto Zatorska, samochód podskakuje i Bernard zdejmuje nieco nogę z gazu, widząc potężne korki. Skręcamy w boczną uliczkę, tak ukochaną, wiecznie odtwarzaną przez Miasto w różnych wariacjach.

– Zaraz będziemy na miejscu. Nic się nie stało. Uciskasz? Uciskaj, ja pierdolę. To nie tak miało być...

Za nami ani przed nami żadnej niańki, ani śladu policji. Zatrzymujemy się. Jest piękny wieczór ustrojony chmurami dymu z pobliskiej elektrowni.

– Pokaż, pokaż – mówi Bernard, spoglądając wreszcie na mnie. – Cholera, ty go zabiłeś? Zabiłeś Marka? To prawda?

Odwzajemniam spojrzenie i uśmiecham się.

– Przecież wiesz – odpowiadam. – Wiedziałeś w chwili, gdy powiedziałeś mi, o kogo chodzi. Od początku wiedziałeś.

Ociera pot z czoła.

– Nie, przyrzekam, nie wiedziałem. Śledziłem Marię i trafiłem na nich.

– On ci kazał... Nie! On prosił. On prosił, a w zamian obiecywał, prawda? Tak było?

– O czym ty mówisz? Kuuurwaaa, majaczysz! Tylko mi tu nie umieraj! No dalej!

– Jesteś jednym z nich, jednym z nas. Przecież to jasne, nie musisz już się kryć. Ty nie wiesz... Ja widzę cudze dusze. Rozmawiam z duchami. Widzę czyjąś przeszłość. Przejmuję od innych ich fobie i namiętności. Posiadam ich dary.

Stara się uspokoić, bierze głęboki oddech.

– Posłuchaj, musisz się trzymać. Zaraz cię poskładamy. Wezwę kogoś, mam takiego. Wisi mi przysługę.

– On wszystkim wisi przysługę. I każdy wisi jemu.

– Przestań już, przerażasz mnie. Uspokój się, nic się nie stało...

– Bernard...

– Co? No mów!

Odsłaniam opatrunek ukazując mu brak serca.

Ukazując mu brak kuli.

– Masz rację. Nic się nie stało.

Jego oblicze staje się zupełnie blade.

– A teraz mam już twój dar. To cudne umiejscowienie między bielą a czernią.

Nie odpowiada, ale wiem, jak zmusić go do mówienia.

– Powiedz mi, gdzie jest Joseph K. Muszę go znaleźć.

*

Gdy uzyskałem odpowiedź, obiecałem Bernardowi, że pokażę mu lepszy świat. Nie wiem, czy uwierzył. Nie czekałem na to. Zresztą, nie musi ufać na słowo. Jeszcze zobaczy. Ujrzy całym sobą. I wreszcie przestanie tkwić na rancie monety.

Powiedziałem mu, że wyleczę go z grzechów, dam wytchnienie. Tak jak dałem Markowi, tak jak kobiecie na Targach Książki ofiarowałem wiarę w ludzi, Filozofowi możliwość spowiedzi, a staruszce spokój.

Pozbieram ludzkie winy.

Wzniosę prawdziwe Miasto.

Wygram z Ojcem w szachy.

Nie pozwolę Matce oddalić jej dziecka.

Muszę tylko wrócić tam, skąd uciekłem.

Nigdy nie powinienem uciekać przed przeznaczeniem mojego rodu.

*

Mojej rodziny nie pamiętam razem. Zawsze byłem tylko ja i Ojciec albo ja i Matka. Czasem Matka z Ojcem. Nigdy nie wszyscy.

Oddzielne, całkowicie różne światy połączone wiecznym węzłem. Choć w nieustannym rozpadzie, to i we wzroście. Najpiękniejsze chwile naszego życia to te momenty, w których byliśmy razem, lecz oddzielnie. Nie było tam miłości, bo jak można kochać bez serca i duszy?

Były jednak kajdany losu, które każdego z nas choćby na moment wyciągały z bagna na światło. Niewola, która ratowała życie. Byliśmy... Jesteśmy niewolnikami rzeczywistości.

Mogliśmy od siebie uciekać, pogrążyć się w chaosie, ale koniec końców skupimy się znowu w jedno, odnajdziemy się i wreszcie będziemy prawdziwą rodziną.

Trójcą.

*

Brud.

Brudne niebo odbijające się w brudnych kałużach brudnych ulic. Brudne myśli, brudne spojrzenia, brudne dusze. Prawdziwa pełnia życia.

Może się wydawać, że prawdziwe Miasto, to pierwotne, dawno

spoczywa pod grubą warstwą brudu i kurzu ludzkich pragnień oraz działań. Że jest gdzieś, tak głęboko, że jego onieśmielający blask dany jest tylko umarłym i zakopany w ziemi. Oni, oczyszczeni, wolni od zmartwień, a także snów, przechadzają się po pięknych alejkach czy parkach bez żadnej z trosk. Ale to nieprawda. Nie ma żadnego innego Miasta. Nie ma drugiego oblicza. Brud to upadek, ale też nieustanny wzrost. Umieramy w pyłe i rodzimy się z pyłu. Od początku skażeni ciężarem losu.

Na wielkim telebimie niedwuznaczna reklama środków antykoncepcyjnych, kawałek dalej klub go-go. Pomiędzy nimi skromny budynek organizacji charytatywnej dla ofiar patologii. Dalej szpital i siłownia. Kult życia w pełnej krasie – bez zahamowań, w pełnym biegu.

Piękno tego świata.

Już rozumiem Marię, rozgrzeszam Lilkę. Patrzę w szybę na skąpo odzianego manekina stojącego na wystawie sklepowej i uśmiecham się. Cały jestem brudny oraz zakrwawiony. W kolorze Miasta.

Mijam pusty lokal z zachowanym szyldem sklepu jubilerskiego, by przypomnieć sobie, że to było mojego Ojca, zanim jeszcze przyszedłem na ten świat. Nigdy mi nie mówił o tym miejscu, a jednak rozpoznaję je od razu. Po prostu wiem.

Po drodze bar Babilon, w którym grupa pijaków gra w karty, a przy okiennym stoliku siedzi prześliczna dziewczyna paląca papierosa. To dama stolikowa – moja Matka taką była, zanim mnie miała. Znikąd pojawia się wspomnienie, którego ponownie nie powinienem mieć.

Wyjące syreny pogotowia – znowu gdzieś komuś stała się krzywda. Pewien człowiek napisał kiedyś, że zawsze w którejś uliczce rozlega się syrena. Miasto ciągłego nieszczęścia. Miasto ciągłej ewolucji.

Miasto pełni życia.

Nie wiem, jak długo już idę. Straciłem rachubę czasu. To przecież nieważne. Już nic mnie nie dotyczy tak, jak dotyczyło jeszcze do niedawna. Istotne jest to tutaj, tam gdzie jestem ja. Zamykam oczy, przestaję słuchać, nie ma już niczego.

Nawet mnie.

Gdybyśmy wszyscy razem zamknęli oczy, nic by się nie stało już więcej.

Mija mnie tysiąc zagubionych dusz. Twarze powykrzywiane, powyginane, zgniecione jak kartki papieru – ukrywane pod maskami

nakładanymi co i rusz, bez opamiętania. Milczenie jest złotem, mowa srebrem, a krzyk koniecznością. Więc duchy krzyczą, lecz nikt nie może ich usłyszeć. Zignorowane, nieszczęśliwe, przemierzają wieczność wzdłuż płyt chodnikowych, jeżdżą tramwajami czy metrem. Wyglądają z okien, wyczekując lepszego jutra, nie pojmując tego, co ja, czyli że nie ma czegoś takiego.

To, co jest, to najlepszy z możliwych światów. W całości wyrzeźbiony przez człowieka, stworzony na jego podobieństwo. Pijany sobą, implodujący, barbarzyński. Ofiarowujący jedynie chwilowe zapomnienie. Spokój, ciszę, nicość, apatię.

Apateję.

Oto i Stoik, do którego wracam i który jest mój od dawna. Od niezliczonych pokoleń znajduje się właśnie tutaj, pod różnymi nazwami, ale ciągle ten sam, niezmienny. Najlepszy z pubów, a przecież najgorszy. To wszak jedno i to samo w tej chwili.

Już tu byłem, choć osobiście tylko przez moment. Jestem z nim jednak związany. To mój dom. Mój nowy stary dom. Przekraczam próg i czuję się jak na ciepłym, kobiecym łonie. Ukołyszany samym faktem przebywania w tym miejscu. Goście siedzący przy stolikach mają puste kieliszki – tak sądziłem, gdy zabłąkałem się tu po raz pierwszy, ale to okrutna bzdura. Oni mają w nich wszystko, co chcą – marzenia i ich brak, spokój i ciszę, pełnię nicości. Pijąc, widzą przez moment własne odbicie na dnie szkła. To jedyne, na co warto patrzeć.

Na mój widok wstają z miejsc. Cicha dotąd muzyka urywa się, jakby zamarzała w chłodzie życzliwej obojętności. Zebrani w Stoiku tak naprawdę nie na mnie zwracają uwagę, ale na fakt, iż jestem jednym z nich. Zawsze byłem, po prostu nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Nie są odgradzeni od rzeczywistości, teraz to widzę. Bardziej otwartym już być nie sposób. Po prostu świat przestał ich dotyczyć, a oni wyzbyli się jakiegokolwiek nań wpływu. Wypełniają swoje przeznaczenie, doskonaląc się w sztuce nieulegania namiętnościom. Stają się odmieńcami, definiując na nowo znaczenie słowa „człowiek”.

Jest ich legion. Cała rzesza ludzi bez serc.

Ostatecznie dochodzi do mnie, że brałem ich ideały opacznie. Nie byli uwikłanymi w gorzkie żywoty nieszczęśliwymi, a ledwie tym, czym mieli być w danej chwili oraz miejscu. Byli sobą w najprostszej, najszcześniejszej postaci – bez oczekiwań, bez żalów. Przybierali każdą

rolę, jakiej się od nich oczekiwało, gdyż sami nie mieli żadnych preferencji. Korzystali z pełni możliwości ludzkich, zachowując jednocześnie własne ja. Byli wszędzie i nigdzie. Gdy spoglądałem w ich dusze, moim oczom ukazywały się wszystkie możliwe kolory, często takie, o których nie miałem pojęcia, że istnieją. Mogli przyjąć każdą rolę, nie będąc tak naprawdę nikim innym niż sobą.

I Joseph K. był w każdym. Jego oblicze było bliźniaczo podobne do każdej z tych osób. Fizyczne cechy stały się nieistotne, ich dusze były złączone ze sobą. Stałem więc przed ogromem Josephów K.

I Miss Komando, i Matka, i Ojciec, i ja sam – każde z nas odbijało się w drugim. Pomiędzy ciałami przechadzały się żywoty dawno zmarłych. Sercem był pub, to on pulsował, przetaczał nasze myśli jak krew w żyłach. Wspólny los, wspólne sumienie, jedna pustka dla każdego z nas.

Dopiero kiedy któryś podszedł do mnie i położył dłoń na ramieniu, zrozumiałem, że nie tylko jestem nimi, ale też jestem kimś więcej – że skupiam ich w sobie.

– Pójdź tam. On już czeka – powiedział.

Wskazał palcem agorę.

*

Z początku nic się nie stało. Zwykle podwyższenie, wierzchołek. Szczyt, czyli miejsce, z którego można iść już tylko w dół. Nie można na nim pozostać. Za towarzyszy ma się tylko wiatr oraz samotność. Zdobywca świata może się już tylko stoczyć.

Nikt się nie pojawia, za to ludzie powoli znikają za mgłą. Ich sylwetki oddalają się, zakrywane jakąś iluzyjną, kruchą zasłoną. Stoik przeistacza się i nagina do moich myśli. Pokazuje to, co podświadomie chcę widzieć. A marzy mi się wielkość, wielkość mimo wszystko. I idąca z tym pewność, spokój, który nie burzy. Ta samotność, bycie dla samego siebie, staje się wyznacznikiem, czymś nadrzędnym. Nie chcę żyć tak jak kiedyś, ale coś jeszcze trzyma mnie przy ziemi. To potrzeba pamięci, dawne uczucia, które płoną dalej. Chciałbym wszystkiego, ale z czegoś muszę zrezygnować.

Obok mnie pojawia się córka. Jest już dorosła i po prostu piękna. Świat odcisnął na niej swoje piętno, twarz poorana tragediami, o których mogę się tylko domyślać, budzi podziw, ale i pewną obawę. Jest wiecznie spięta,

choć urokliwa w tym wszystkim. Śmieje się krótko, zachowawczo, a jednak szczerze. Ma własną godność, wreszcie to widzę. Ciągłe niedostępna, samotna – wyczytuję to z jej postaci. Czegoś bardzo pragnie i do tego dąży.

Teraz Lilka, krocząca koło mnie dziarsko, choć o lasce. Siwe włosy są niedokładnie pofarbowane, ale wiem, że to z premedytacją. Taki jej żart z samej siebie, manifest artystycznej duszy i ucieczka w przerysowaną starość czy też niedołęźność. Robi na przekór, wykorzystując stereotyp. To do niej podobne.

Czekam na innych, lecz nikt więcej nie przychodzi. Nie zjawia się też Pan Pneuma. Biel staje się gęsta i zupełnie nieprzejrzysta. Stoję w martwym punkcie, patrzę w martwy punkt, jestem martwym punktem.

I w końcu pojawia się lustro zaklejone czarną taśmą. Skrawki wystają poza ramy, więc próbuję je oderwać. Każde pociągnięcie sprawia fizyczny ból. Spod stóp sypią się odłamki skał i co mniejsze kamienie. Twarde podłoże agory zmienia się w prawdziwy wierzchołek. Zrywa się potężna wichura.

Wiatr odciąga mnie, odgania. Wysoka góra, niebezpieczny szczyt, rozpada się, a ja uchwycony lustra chwytam pasek za paskiem i z siłą, jakiej bym się po sobie nie spodziewał, odrywam dalej. Krew zalewa mi twarz w chwili, gdy udaje mi się pozbyć taśmy z miejsca, w którym ja-w odbiciu mam czoło. Dotykam dłonią twarzy i w palcach zostaje mi tylko równo odcięty, szerniały płat skóry.

Raz za razem, odkrywając taflę lustra, zrywam siebie aż do krwi, aż do kości. Już widzę odbijającą się czaszkę. Wpadam w istną furję. Szarpie i wrzeszczę. Z ust wypluwam czystą nienawiść – do siebie, do tego, co widzę. Tnę siebie z chirurgiczną precyzją, ujawniając żebra, mięśnie, żywe mięso, żyły. Skalpuję głowę, ból agonii, bezlitosnego końca oraz kurczący się wierzchołek.

Spadam, spadam, by uderzyć w dno z mocą eksplodującej gwiazdy. Dzieje się to w ułamku sekundy, trzask łamanych kości, rozrywające się organy, urwane kończyny.

I jęk, bardzo ludzki jęk pękającego na miliard kawałków lustra, które uderza w ziemię wraz ze mną.

Nie wiem, ile tak trwam, ale wreszcie nic nie boli. Oto spokój, zasłużony, wycierpiany. Gładzi mnie delikatną dłonią po nagiej czaszce. Tam, gdzie kiedyś na zrzuconej skórze rosły włosy. Dotyka prawdziwego

oblicza, nieschowanego za żadną maską. Szczerego, nieznającego fałszu, pieści po twarzy. Utula jak do snu, ale śnić już nie trzeba oraz nie można. Jestem bez powiek i nareszcie mam ogląd na prawdę. Na całą, nieskrępowaną prawdę.

Pod dotykiem tej dłoni porozrzucane części łączą się ponownie w jedną całość. Kości w stawach, zrosnięte na nowo żebra i jakby nigdy nic przytwierdzone mięśnie.

Wstaję, a strzaskane lustro także jest już całe. Widzę siebie w pełnej krasie. A obok Ojca, trzymającego kościaną dłoń na moim kościanym ramieniu.

*

– Przebyłeś długą drogę, ale w końcu jesteś – mówi szkielet w śmiertelnym uśmiechu. Zęby są śnieżnobiałe, a za nimi chowa się węzowy, syczący język. – Spójrz na nas. Jesteśmy dokładnie tacy sami.

Na dnie nie ma nic prócz nas oraz całej pustyni kości. Gnaty, piszczele, czaszki. Zwykle oraz zdeformowane – przerośnięte i pokurczone, z długimi kłami, jak też spiłowane *post mortem*. Pomimo iż panuje mrok, kości jaśnieją własnym światłem, wypolerowane, zadbane do granic absurdu.

– Tacy naprawdę jesteśmy – dodaje Ojciec. – Ja zawsze taki byłem, ty dopiero się stałeś.

Po horyzont góry i doliny ukruszonych, upiornych kości. Gdzieniedzie wyrastają przeraźliwe rzeźby, rzeźby śmierci w postaci krzyży, a także innych narzędzi tortur. Powietrze nie pachnie niczym, nie ma w ogóle wiatru. Panuje nieludzki chłód.

– To fundamenty Miasta – zostaje mi wyjaśnione. – Kopalnia przeszłości, wymazanej, niedostępnej dla zwykłych ludzi. Ale żaden z nas nie jest już jednym z nich. Wyniosłeś się nad ich poziom, upadając tutaj.

I zaraz potem kościej dorzuca:

– Cieszę się, że nareszcie przyszedłeś.

Ból, jaki odczuwałem jeszcze niedawno, ustępuje, ale czai się gdzieś na granicy, jakby zasłonięty za kotarą, gotowy do kolejnego ataku. Zaciskam pięści. Wciąż odbieram bodźce, czuję tak, jakby nic się nie zmieniło.

– Nie musisz nic mówić – zagaja znowu postać. – Pokażę ci wszystko.

W jednej chwili z kości tworzą się budynki. Wznoszone niepojętą siłą

formują się w ulice, domy, parki i drzewa. Śnieżnobiałe, upiornie martwe Miasto, bliźniaczo podobne jest do tego, które znam, w którym żyję. Stworzone na jego obraz z niepoznanych ludzi oddanych ziemi.

– Pod Miastem jest drugie Miasto, ale kto raz znalazł się w górnym, nigdy nie zstąpi w dół – mówi Ojciec. – Górne jest przeklęte, jest terenem niczym, tam gdzie chaos zbiera żniwo każdego dnia. Jest przekleństwem życia gdzieś pomiędzy, światem przerysowanym, pełnym emocji tak silnych, że aż zabijają. Tam kocha się aż do śmierci i umiera od miłości. Tam strach jest czymś więcej niż przelotnym dreszczem. Jest przerażeniem bezcelowej codzienności, dekadencją do potęgi. Spokój staje się tam luksusem, na który nie można sobie pozwolić. Górne Miasto jest karą za grzechy.

Ze szkieletów-domów wychodzą szkielety-ludzie, by niestabilnym, głóśnym krokiem szukać martwego szczęścia. Puste oczodoły wpatrują się w bezkres nekropolii, starając się dostrzec cel. Jednak gdziekolwiek nie spojrzeć, wszędzie jest tak samo i sens ich wędrówki zanika. Nieuświadomieni idą dalej przed siebie, każdy w swoją stronę. Żaden z nich nie zostawia po sobie nawet śladu.

– W górnym Mieście istnieje się tak mocno, że wszystko jest możliwe, ale nic nie ma znaczenia. Nie sposób być sobą, bo nie sposób odnaleźć siebie. Mieszkańcy zagubieni wśród martwoty, nie zdają sobie sprawy ze zgnilizny toczącej cały świat. To nie tak, że nie ma tam dobra. Dobro jest jednak spaczne, tak dogłębnie bezkompromisowe, że aż niemoralne. W jego imię można zabić, spalić i zgwałcić. Dobro nie robi kroku w tył i pozostawia ludzi za sobą, ucieka od nich, a oni bez ustanku je gonią.

Ojciec wychodzi przede mną.

– To nie tak, że nie ma też zła, ale jest ono tak samo nierozumne, co dobro. Jest czernią na tle bieli, jest wymuszeniem łamania zakazów, zabijania bez względu na konsekwencje. Jest nikczemnością głupca, który morduje jedyne przyjaciela w imię zemsty, mimo że tylko z nim jest mu po drodze. Nie szuka zwolenników ani towarzyszy. Wpędza w obłąd samotności.

Cofam się, jednak bez strachu, a raczej z odrazy.

– Ale myślisz pewnie, że przez to wszystko nie ma nic pomiędzy. Twój błąd, posługujesz się logiką nieprzystającą do świata chaosu. Oczywiście w górnym Mieście znajdziesz też szarość. Jest ona jednak tak szara, że nie sposób zwrócić na nią uwagę. Zmienia ludzi w ignorowany margines,

w takich, z którymi nikt się nie liczy. Szarość nie idzie w parze z nikiem i niczym, staje się więc wrogiem każdego. Nawet siebie samej.

Spoglądam na żywe trupy przed sobą i nie wytrzymuję:

– A kim ja jestem w tym wszystkim? Kim ty jesteś? I po co to wszystko?

Kości obleczone mięsem odpowiadają mi zniecierpliwionym głosem:

– Stworzyłem dla ciebie to tutaj, abyś zobaczył na własne oczy swoją ojczyznę. Ale ty jednak nic nie rozumiesz.

Mięśnie jego twarzy obdartej ze skóry wyrażają smutek i coś na wzór pogardy.

– Trudno – dodaje.

– Więc wytłumacz mi – odpowiadam. – Mówisz zagadkami. Jakby szalone wizje i majaki miały mi cokolwiek powiedzieć. To przecież czyste szaleństwo!

Szczęka rusza się w rytm jego śmiechu.

– To obłąd, masz rację – słyszę pasję w jego głosie. – Tak cudowne piekło, jakiego nikt by nawet nie zdołał wymarzyć. To otchłań cierpienia dla wszystkich, dla ludzi, a nawet dla demonów. Sam diabeł zapewne nie chciałby spędzić tu ani chwili.

– Ty jesteś diabłem. Pneuma jest diabłem!

Prycha.

– Myślisz, że to takie proste? – kpi. – Myślisz wciąż wpojonymi kliszami, wymysłami obłąkanych. Myśli wykręcone, nieokreślone, zrodzone z niewiedzy. Diabeł to tylko mit powstały z konieczności wytłumaczenia sobie świata. Marna metafora, nietrafna definicja, która ma za zadanie dać iluzję świadomości słabym, zaś silnym powód do zbrodni. Naprawdę nie rozumiesz? Te kości, te fundamenty, które teraz widzisz, to obdarta z fałszu prawda. To górne Miasto takie, jakim jest naprawdę. Puste, marne, jednolite. Wcześniej widziałeś je oczami nauczonymi dostrzegać tylko kłamstwa.

Ponownie podchodzi do mnie i jeszcze raz kładzie kościaną dłoń na moim ramieniu. Ściągną poruszają paliczkami i czuję, jak ściska mnie coraz mocniej.

– Jesteś moim synem. Synem potwornego tworu, który widzi, jak jest naprawdę. Jesteś też dzieckiem kobiety, która chciała ujrzeć prawdę. Wreszcie jesteś celem i planem, który ukuł sobie ktoś większy niż ty i ja – słyszę. – Ten ktoś też jest potworem, skazanym na życie w górnym

Mieście, ale chce wrócić tam, skąd go wygnano. On nie tylko widzi prawdę. On jest prawdą.

I chwilę później dodaje:

– Byłeś przeznaczony, aby poznać oba te światy i wziąć jeden w posiadanie. Urodziłeś się nikim, będziesz wszystkim.

Spoglądam na kościaną rzeczywistość. Czuję smutek tak przeraźliwy, jak nigdy wcześniej. Moja życie było cierpieniem z nielicznymi momentami szczęścia. Byłem chodzącym trupem wśród innych nieumarłych. Tylko szarpanie się, sprzeciw miały sens i zaprowadziły mnie właśnie tutaj. Uwikłany w intrygę przerastającą mnie, doszedłem po nitce do kłębka. Zmanipulowany, zdradzony, chowam wściekłość w rękach.

Doskakuję do Ojca i uderzam go w szczękę. Zęby upadają na kościaną ziemię, z mięśni tryska krew. Druga dłoń już płynie w powietrzu na spotkanie z przeznaczeniem. Dochodzi celu. Wnet pojmuję, że jedyne co znam, to przemoc. Brutalność wpojona mi z wiekiem, z doświadczeniem. Przebijanie się przez wysokie mury oraz druty kolczaste, przepychanie się przez groźny tłum nieistotnych istot. To balansowanie na krawędzi, ranienie stóp na wystających, ostrych kościach – to właśnie jest moje. Z tego zawsze czerpałem siłę, dlatego zostałem sobą – by zaprowadzić swój ład.

Nigdy nie mogłem go zrealizować, ale zawsze walczyłem. Wybijałem życie z życia tak, jak teraz. Rozłupuję czaszkę Ojca. Krzyczę:

– Każde dziecko musi zabić swoich rodziców!

Matkę zabiłem dawno temu, w pędzącym samochodzie. Umarła przeze mnie, ogarnięta opętańczą tęsknotą do straconego niegdyś dziecka. Wypiłem z niej radość, zawiodłem oczekiwania. Widziała, jak dzień po dniu staję się podobny do monstrum, które właśnie morduje. Zobaczyła moją przyszłość, wiedziała, że ten dzisiejszy dzień musi nadejść. Bała się i nie chciała na to pozwolić. Wpędzało ją to coraz dalej w ciemność otchłani zmysłów. Traciła rozum, krzywdziła innych, aż w końcu dla mnie skrzywdziła samą siebie.

Więc niech teraz on, Ojciec, przez którego to wszystko, niech on wreszcie sześcinnie. Niech zdechnie, spełniwszy obowiązek. Już wiem, do czego dążył. Nie mógł patrzeć w lustro, więc stworzył karykaturę siebie w nadziei, że to zmniejszy jego cierpienie. Widząc sobie podobnego, nie czuł się samotny.

Teraz więc będzie sam po kres. Niech stanie się pyłem.
Ocieram krew z twarzy. Zostałem ostatnim z rodu.

*

Iluzja rozplywa się i zaczynam dostrzegać rzeczy za mgłą. Pojawiają się kontury agory, ściany Stoika, blade lica obserwatorów. Już wiem, że to był ostatni przystanek przed ostatecznością. Przede mną tylko to, co znam, żadnej więcej niewiadomej. Koniec końców okazuję się winny wszystkiego, co tylko możliwe. Każda rzecz stała się po to, aby zaprowadzić mnie tutaj.

Panie Pneuma, tylko ty zostałeś – myślę. – Wyjdź i pokaż, kim naprawdę jesteś.

Schodzę z podwyższenia, zaś goście baru rozstępują się. Nie znać na nich strachu ani też obawy. Nie okazują szacunku czy pogardy. Są obojętni, wyprani z emocji, czyści. Nie należą już do tego świata. Ich ciało pozostało, ale umysł uleciał gdzieś indziej, do pustki.

Przy ladzie zamawiam kieliszek apatei i przechylam go, nie licząc na nic. I dokładnie nic się nie dzieje. Prócz tego, że czuję chłodny powiew na plecach oraz stukanie palcami po blacie jednego ze stołów.

– A więc jesteś – mówię, nie odwracając się.

Barman znika, jakby nigdy go tu nie było. Muzyka milknie, a ja wyciągam papierosa. Przyjemności z dymu nie ma już żadnej, ale palę i tak. Przyzwyczajenie drugą naturą każdego z nas, ludzi.

Ludzi?

Bębnienie paznokci o drewno wciąż dobiega zza pleców, nieco szybsze niż wcześniej.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – pytam. – Oczywiście, że nie. Wszystko jest już jasne. Chcesz, żebym to ja mówił? Nic dziwnego. W końcu muszę przyzwyczajać się, aby zabierać głos w swoim imieniu. Przecież mam cię zastąpić.

Na chwilę stukot ustaje, jednak powraca ze zdwojoną siłą.

– Jestem twoim następcą. Właścicielem tego baru – śmieję się. – Stoik będzie mój, tak jak wszyscy jego goście. Multum zbłąkanych dusz, którym naobiecowałeś wszystkiego, czegokolwiek by pragnęli. A teraz ja mam spełnić obietnice, być wykonawcą twojej woli. Już od dawna tym jestem, prawda? Od początku nim byłem, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Pod nieobecność barmana sięgam za ladę i sam polewam sobie nicość.

– Ostatnio widywałem Matkę i Ojca, wiesz? – kontynuuję. – Całe ich życie migąło mi pod powiekami. Ona młoda desperatka, dogłębnie nieszczęśliwa, zniszczona. I on oszukany, wygnany z miejsca, z którego i ty pochodzisz, zagubiony w tym świecie. Oni mieli szansę na zawsze odmienić swoje losy, ale nie pozwoliłeś im na to. Podsunałeś fałszywe myśli, obce pragnienia. Zrobiłeś z nich swoje marionetki. Wreszcie ja...

Przechylałem kieliszek.

– Ta cała sprawa morderstwa... Nigdy nie chodziło o to, kto zabił, ale o to, kto zostanie winnym zbrodni. Twoich zbrodni. Domyślałem się, że sam nawet nie wiesz, kogo nasłałeś na tych biednych ludzi. Dla ciebie każdy jest taki sam. Nikt przecież, kto ci zaufał, nie ma serca. Nie ma własnej tożsamości.

Zduszam niedopałek w popielniczce.

– Nikt oprócz mnie.

Odwracam się w jego stronę. Siedzi przy stole i też kończy palić. Natychmiast wyciąga następnego. Ostentacyjnie wyciąga paczkę w moją stronę. Jak do starego przyjaciela, wręcz druha.

– Zastanawiam się, jak ci się to udało? – częstuję się bez skrupowania fajkiem. – Trudno jest omamić tyle osób. Jak nie licząc się z nikim i niczym, posiadać rząd dusz? Zacząłeś tutaj, to jasne. Mały, niepozorny bar w zaułku dzielnicy przestępców. Przychodzili ci, którzy mieli dość, chcieli czegoś więcej albo nawet czegoś mniej. Ty oczywiście rozumiesz, że świadomość jest przekleństwem, więc zaoferowałeś im ucieczkę, a oni sądzili, że wybierają ją sami. Nawet o nią prosili. Ty przecież nie dajesz nic, jeśli ktoś nie prosi.

Pan Pneuma uśmiecha się i kiwa głową z zadowolenia. Wciąż milczy, czekając i pilnie łowiąc każde słowo.

– Apateja była pierwsza, dzięki niej inni lgnęli do ciebie. Tak jak pierwsza miłość mojej Matki. Wykorzystałeś go, aby zdobyć jej zaufanie. Gdy dotarła do granicy, gdy spadła ostatnia kropla goryczy i przelała czarę, zapewniłeś ją o kolejnej, tym razem spełnionej miłości. Znowuż mój Ojciec, kiedyś podobny tobie, znalazł się tutaj, gdyż okazał się niewystarczająco dobry dla waszego świata. Nie oszukałeś go, ale dałeś nadzieję, pozwoliłeś, aby zrzucił kajdany, aby przestał udawać. Odrzucił więc wszelkie normy, przestał interesować go ten świat, własna rodzina. No i ja, od najmłodszych lat szkolony, by zająć po tobie tron. To pieprzone

krzesło, na którym teraz siedzisz i ćmisz papierosy.

Nie przerywam, coraz bardziej podnosząc głos:

– Wielki manipulatorze, odwieczny morderco! Chcesz wrócić, skąd przybyłeś. Ciebie też przepędzono, też zostałeś banitą! Nie sprawdziłeś się i poniosłeś porażkę, więc teraz chcesz, aby wszyscy inni też przegrali! Zrobiłeś wszystko, abym ci zaufał, ale nie wierzę ci ani trochę! Uczyniłeś mnie potężnym, czuję więcej, widzę wyraźniej, znam cudze pragnienia i myśli, ale nie będę ci służył, podły skurwielu! Żyłem twoim życiem, takim, jakie mi zaplanowałeś! Nigdy nie miałem swojego! Nigdy! I nie wybaczę ci tego!

Pneuma wypuszcza chmurę dymu i odpowiada:

– Więc mnie zabij.

Kładzie na stole pistolet.

– Zabij mnie – powtarza. – Wiesz, jak to się robi.

Tym razem to ja nie mówię nic.

– Zabij mnie – mówi jeszcze raz. – Nie masz z tym problemu. Zdradziłem cię. Wykorzystałem. Uwierzyłeś, że dam ci odkupienie, ale nic z tego. Cały twój ród się nabrał. A ja patrzyłem i ćmiłem papierosy.

Pochyla się nad stołem. W oparach dymu jego oczy wydają się całe szare.

– Wiem, o czym myślisz. Że to kolejna gra. Będę z tobą szczery, ja nigdy nie kłamię. Nigdy też nie mówię całej prawdy. To tylko twoje życie, nie moje. Nie masz serca, ale masz wybór. Cały problem polega na tym, że wiem, co zrobisz. Dzięki temu sam wiem, co mam zrobić. Cokolwiek nie powiem, nie zmienię twojego zdania. Każdy wybór, którego dokonałeś przedtem, zostałyby przez ciebie dokonany. Jak nie tak, to inaczej. Ja tylko pozwoliłem, aby wszystko stało się według mojej myśli. Jesteś wolny, chłopcze, i nie mam siły zmusić cię do niczego. Ja tylko reaguję na to, co się dzieje. Nie ma dla mnie znaczenia, czy strzelisz, czy nie. Osiągnę swój cel. Tak czy inaczej. Już to zrobiłem. Czekam tylko na twój wybór. Dzięki niemu sam będę mógł wybrać drogę do celu. Bo mylił się twój staruszek, a mój przyjaciel. To wszystko ma sens. Trzeba tylko wiedzieć jaki.

Znowu opiera się wygodnie.

– Strzelaj. Albo nie strzelaj. Jeśli myślisz, że zależy mi na tobie, to nie miej złudzeń. Zależy mi tylko na tym, co robisz.

Jego palce powracają do wystukiwania rytmu. Szybkiego, irytującego rytmu.

Orientuję się, że to rytm mojego serca.

Uśmiecham się, pojmując wreszcie jego grę. Wstaję i spoglądam na salę Stoika. Tak naprawdę nie ma w niej nic. Tylko pustka.

– Rozumiem – odpowiadam. – Już rozumiem.

Podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Mój Ojciec potrzebował ciebie, abyś zwolnił go z obowiązku bycia kimś innym niż on – szepczę. – Ty potrzebujesz mnie. Wcześniej to ja o coś cię prosiłem. Teraz ty prosisz mnie.

Biorę pistolet.

– Jestem wolny. Za to ty jesteś więźniem.

Zmierzam ku drzwiom.

– Raz jeden skłamałeś – rzucam. – W tej ostatniej, kluczowej chwili. Więc siedź na swoim tronie, Pneuma. Zasłużyłeś na niego.

Wstaje gwałtownie, aż krzesło przewraca się na podłogę.

– Tylko na niego zasłużyłeś – dodaję.

I wychodzę. Wychodzę, by już nigdy nie wrócić.

Zabieram ze sobą rytm własnego serca.

Ostrołęka-Olsztyn-Warszawa

zima 2012 – lato 2014

Emil Strzeszewski

O Autorze

Emil Strzeszewski – rocznik 85. Urodzony w święto niepodległości w Łomży. Obecnie warszawski słoik z duszą olsztyńską i sercem ostrołęckim. Doktorant Instytutu Filozofii na UWM w Olsztynie (praca magisterska o tytule Ontologia światów fantastycznych). Bywa, że nauczyciel. Założyciel i niegdysiejszy redaktor naczelny e-zinu „Creatio Fantastica”. Publicysta „Czasu Fantastyki”, „Dzikiej Bandy” oraz okazjonalnie „Nowej Fantastyki” i „Hatak.pl”. Do literackich zainteresowań fantastycznych zalicza steampunk, cyberpunk oraz wszelkie przejawy miejskiej grozy; do poza fantastycznych – pisarstwo Chucka Palahniuka, Olgi Tokarczuk. Wielbiciel filmów Lyncha i Finchera. Beznadziejny, ale zacięty szachista. Zdeklarowany fajczarz (neofita) oraz mięsożerca (zaawansowany).

Lista publikacji:

- Wersja dokumentalna, „Magazyn Fantastyczny” 1(7)/2006;
- Crackowi szydery, „Fahrenheit” nr 57/2007;
- Gliniany Golem, „Fantastyka – Wydanie Specjalne” 2/2008;
- Trzy życzenia, [w:] antologia opowiadań „City 2009”, wyd. Forma, 2009.

W internecie:

- rheged.wordpress.com – blog autorski;
- www.creatio.art.pl – witryna czasopisma „Creatio Fantastica”.